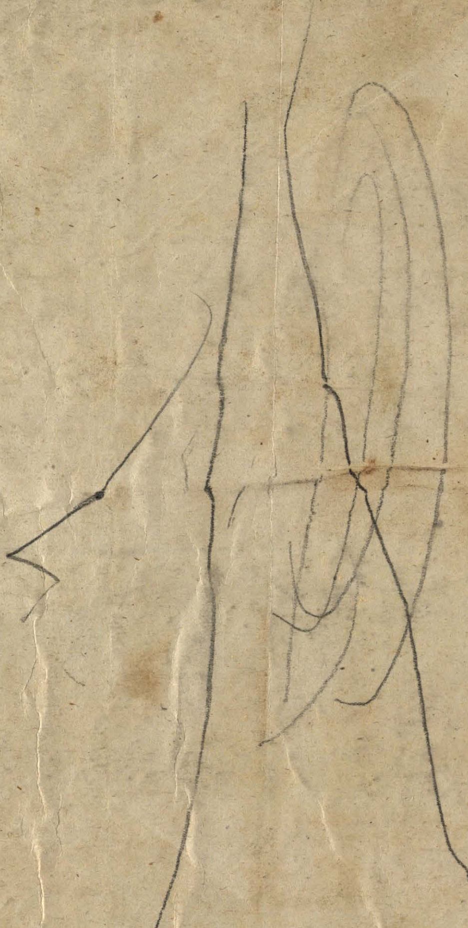


SWIATŁO I CIENIE.

POWIEŚC

NIEBOSZCZYKA PANTOFLA,

OGŁOSZONA

PRZEZ

Eleonorę Sztyrmer.

TOM II.



Wydanie Redakcyi Tygodnika.

W S.-PETERSBURGU.

W DRUKARNI WOJENNEJ.

1848.

POZWALA SIĘ DRUKOWAĆ,

z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury liczby exemplarzy prawem przepisanej. W S.-Petersburgu, 1 Września 1848 roku.

Cenzor I. Sreznıewskı.

TREŚĆ TOMU II.

EPIZOD DRUGI.

ROZALIN.

1809.

EPIZOD TRZECI.

WARSZAWA.

1812.

ZAKOŃCZENIE.

X.

Dzień po dniu upływał spokojnie z wielkim zadowoleniem PP. Łobzowskich którzy widząc wyraźną zmianę w obejściu się córki z Walerym, wyobrażali sobie że dziewczyna rozpieszczona i harda z natury lubo dała się uwieść swej wyobraźni, lubo pokazała wyraźny opór woli rodzicielskiej, jednakże lepiej rzecz rozważywszy uczuła niewłaściwość swego postępowania i sama chce całą sprawę załatwić. Obaje kochankowie byli powiększej części zamyśleni, w stanie jakiegoś roztargnienia, i coraz rzadziej nawet do siebie mówili, jakby porozumiawszy się otwarcie i widząc niepodobieństwo dokonania zamiaru, czekali tylko końca dwóch tygodni ażeby wzajemnie ukłonić się sobie i zapomnieć tego co ich serca łączyło. Walery szczególniej zdawał się przesiadywać wieczory jakby na mękach, jakieś zmartwienie całę uwagę jego pochłaniało i tylko kiedy niekiedy tkliwy wzrok młodzieńca zwracał się na kochankę, Ewa rozmawiała z nim poważnie, sucho, czasami nawet z szyderstwem, a szczególniej nielubiła jego zamyśleń, i każdą razą kiedy im się oddawał, karciła go niemiłosiernie perjodami naj-

wykwintniejszej salonowej ironii. Tak systematyczne i rozumne wedle zdania P. Łobzowskiego postępowanie dziewczyny, cieszyło go niezmiernie. Powtarzał żonie w sekrecie, że był pewny posłuszeństwa córki. Cóż to dziwnego, mówił, że Ewcia, przyzwyczajona od dzieciństwa do łagodnego obejścia, niepojmująca nawet żebyśmy jej mogli czegokolwiek odmówić, oburzyła się, kiedy pierwszy raz w życiu spostrzegła że rodzice chcą ją przemocą zmusić do posłuszeństwa. I tyś winna i ja winien, nietrzeba było jej się sprzeciwiać, a tylko P. Waleremu w sekrecie powiedzieć *verba veritatis* i wymódz na nim przyrzeczenie iż sam swego zamiaru zaniecha. Z dzieckiem tak rozumnym jak Ewcia najlepszy sposób otrzymania wszystkiego jest perswazja, delikatność, i ostrożność żeby niezadrasnąć jej miłości własnej. Teraz pojmuję że tak najlepiej jak ona rzecz prowadzi, powoli, powoli, da mu poznać żeby dał jej pokój, odstrychnie się od niego i przyzwoicie tę sprawę skończy. Bądźmy spokojni, niema o czém myślić!

Przedostatniego dnia tych fatalnych dwóch tygodni Ewa żegnając się z Walerym w przytomności rodziców, doszła do tego, że powiedziała mu z wielką obojętnością — jutro jeszcze, jeżeli się panu podoba, możemy się z sobą zobaczyć i pożegnać, albowiem dalsze jego wizyty mogły by potwierdzić te plotki o zamiarach pańskich co się na nieszczęście rozeszły po okolicy, a ktorych bezzasadność najlepiej się pokaże skoro dotychczasowe stosunki między nami będą zerwane.

Młodzieniec zarumienił się, jednakże, chociaż z wyraź-

ném wysileniem odpowiedział, że zanadto drogo ceni te stosunki ażeby je chciał dobrowolnie o jeden dzień skrócić.

Kiedy wyjechał, P. Łobzowski jowialnie roześmiał się i rzekł do córki — *Ma chère enfant!* winszuję sobie żem usłuchał rady tego P. Notkiewicza i pozwolił tobie samej zerwać z P. Prądnickim. Jednak zdaje mi się że nadużywasz swej władzy nad tym biedakiem. Trzeba było obejść się z nim grzeczniej! Ale mniejsza o to! Nie jesteś już dzieckiem żeby cię uczyć jak masz z ludźmi postępować. W tym interessie ufam ci więcej niż sobie samemu, i jutro nawet umyślnie wyjeżdżam z domu żeby nie być świadkiem ostatecznego wypędzenia tego młodzieńca. Bywał u mnie miłym gościem tyle czasu, choć niebogaty ale szlachcic — doprawdy żal mi go. Jak tylko ochłonąłem z pierwszego gniewu, osobliwie zaś odkąd spostrzegłem jak zaczęłaś go sucho traktować, uczułem dla niego litość. Hélas! całe życie miałem serce czułe! Niemogę być świadkiem jutrzejszej sceny bobym się może rozbeczał. Lepiej wyjadę.

Ewa uśmiechnęła się tylko. Wiedziała dobrze że cała ta tirada o czułości serca jest szczérą bajką, wiedziała gdzie i poco ojciec wyjeżdża, bo sama zawczasu ten wyjazd przygotowała. Chcąc go się na ten dzień pozbyć z domu, rozesłała skrycie do kilku osób w okolicy bilety zapraszające ich na obiad do jednego z obywateli który słynął z wyśmienitej kuchni. P. Łobzowski odebrał podobneż zaproszenie. Nikomu do głowy nieprzyszło żeby to mógł być figiel dziewczyny której potrzeba było ułatwić sobie ucieczkę z pod rodzicielskiego dachu, a P. Łobzowski co sobie racho-

wał za grzech śmiertelny odmówić dobrego obiadu, natychmiast po odebraniu biletu zapowiedział stangretowi żeby nazajutrz przygotował podróżną karetę. Wartowanie córki, które był rozpoczął z bojaźni ażeby plan jego niezostał zniweczony, wraz z przemianą jej postępowania zaczęło go nudzić, samotność stała się dla niego nieznośną, i te niespodziane w wojennym czasie zaprosiny uszczęśliwiły go zupełnie. A przytém jeszcze cały wieczor deszcz pada, zanosiło się na kilkódniową słotę — Cobym ja tu robił w domu w taki brzydki czas? pomyślał sobie P. Łobzowski.

— Kiedyż papa do nas wróci? — spytała Ewa z udaną niespokojnością.

— A, już to zapewne nieprędzej jak za parę dni,— odpowiedział ojciec, przykro mi że was tu samotnych zostawiam, lecz wiecie, u gościnnego gospodarza najtrudniej zgadnąć czas wyjazdu.

— Niech tylko papa o nas niezapomni.

— Bądź spokojna *chère enfant* — co to dziś mamy? Niedziela, 5 Maja, no, tak; czekajcie mnie we Czwartek, sądzę iż choćby mi wypadło uciec, to powrócę.

Nazajutrz rano pogoda cokolwiek się wyjaśniła, lecz pod wieczór znów zaczęła się słota, i zmieniła się w tak nazwaną mokrę, to jest nieustający drobny deszcz z jakąś mgłą w powietrzu. Zrobiło się ciemno, wiatr i szaruga najobrzydliwsza. Matka skarżyła się na słabość nerwową, nudziła się i pragnąc mieć kogokolwiek dla rozrywki a niespodziewając się już w taką pogodę wizyty Walerego, zatrzymała na wieczór obydwóch Łaszczów którzy w dniu tym jedli

obiad we dworze. Stary został niechętnie, bo mu się bardzo niepodobały rozmaite przebiegi zalotnictwa któremi Ewa doświadczała swej potęgi nad Stanisławem. Dziewczyna to spostrzegła, zmieniła nagle manierę, zrobiła się poważną, arystokratką, nadętą i wziąwszy jakąś xiążkę ze stołu spytała Komissarza czy pozwoli Stanisławowi głośno czytać?

— A dla czegóż nie? odrzekł stary — tać to czytać drukowaną xiążkę to wyraźny pożytek! niechaj korzysta z okazii. Czytaj Waść Panie Studencie Warszawski!

Była to Swiątynia Wenery Szymanowskiego.

Stanisław zaczął deklamować z wielką energją. Ewa nieprzerywała mu zamyśliwszy się zupełnie o czém inném, ojciec z początku słuchał z uwagą, lecz nieprzygotowany do podobnych przedmiotów, nierozumiejąc ani mitologii ani poezii sławnego wierszopisa, znudził się wkrótce, dał za wygraną, i niedługo czekając, pożegnał kobiety wymówiwszy się zajęciem i brzydką pogodą. Przed wyjściem szepnął synowi do ucha żeby po skończeniu lektury nie gawronił się i natychmiast powracał do domu. Pani Łobzowska niesmakując w literaturze polskiej, osobliwie zaś nielubiąc wierszy, niebawem także oddaliła się do swego pokoju zostawiwszy córce zupełną swobodę doczekać się wizyty Walerego.

Wypada sądzić iż w tej świątyni Wenery jest pewne miejsce od którego interess poematu nagle się powiększa, i że Stanisław właśnie doszedł był do tego miejsca w chwili kiedy ojciec drzwi zamknął za sobą i Pani Łobzowska wyszła z salonu, bo Ewa co dotąd obojętnie słuchała

czytania, stopniowo zaczęła natężać uwagę na przedmiot i na wiersze, przerywać lekturę wykrzyknikami uwielbienia, zadawać Stanisławowi różne pytania estetyczne, żądać objaśnień lub powtórzeń ustępów, w których upatrywała najdelikatniejsze uczucie i takim sposobem młoda para porzuciła wreszcie xiążkę i przeszła nieznacznie do rozprawy o miłości. W tej rozmowie niezawodnie było więcej poezii niż w całym poemacie Szymanowskiego, który służył tylko do rozkołysania ich młodych uczuć i wyobraźni. Ewa, jak każda poczynająca swój zawód zalotnica, powzięła zamiar łudzenia Stanisława, bez żadnego namysłu; zrobiła to z przyrodzonego instynktu tak jak szuler zabawia się nieraz samotny hazardowną grą bez pieniędzy. Później jednak piękna poezja, ponętne obrazy miłości, zapaliły jej imaginacją a młodość i obecność przystojnego Łaszcza odjęły jej zimną rozwagę, tak dalece iż słowa jej były już szczerem wyrażeniem uczucia. Prawda że samo uczucie było tylko chwilowe, nienaturalne, sztuką wydobyte z serca, wszskże ona sama niemyślała o tém i znajdowała w zabawce wielką przyjemność. Co się tycze Łaszcza, ten słysząc pierwszy raz w życiu kobietę mówiącą o miłości, kobietę cudownie piękną, która paliła go ognistym spójrzeniem, której pierś kołysała się od wewnętrznego wzruszenia, której słowa tchnęły zapałem i najrozkoszniejszą poezją — odbijały się w jego sercu czarującą muzyką; patrząc jej oko w oko, czując jej oddech gorący — wpadł w stan prawdziwie extatyczny. Upojony szczęściem, utopiwszy wszystkie myśli i uczucia w jedném nieobjętém uczuciu nadziemskiej błogości, zapo-

mniał rozkazu ojcowskiego, zapomniał przestróg matki i niemyśląc wcale o powrócie do domu siedział jakby przykuty głosem syreny napawając się rozkosznym jej widokiem. W tém zapomnieniu upłynęło im kilka godzin, póki nareszcie dał się słyszeć na podworzu turkot powozu Walerego. Stanisław nagle zmienił się na twarzy, odsunął z niechęcią swoje krzesło i w milczeniu surowy wzrok utopił w oku Panny Łobzowskiej. Zdało się, pytał ją tym wzrokiem z którego z nich dwójga czyni sobie igraszkę? Ewa niepokazując iż pojęła zapytanie, najmilej jeszcze uśmiechnęła się do niego, a ten uśmiech rozproszył wszystkie złe myśli które zawichrzyły się w jego głowie, wszystkie bolesne uczucia które mu serce ścisnęły. Stanisław pożegnawszy ją z głębokim westchnieniem, zimno ukłonił się wchodzącemu do pokoju Waleremu, a potém puścił się kłusem do domu, przez wilgotną mgłę wieczorną, w ciemności, po szkaradnym błocie. Wiatr chłodny świszczał mu w uszach, a w każdym jego podumchu zdało mu się słyszeć — nie słowa gniewu ojcowskiego, nie ciche narzekania matki których oczekiwał z rezygnacją poczuwając się do winy — o nie! słyszał wyraźnie echo miłosnej rozmowy szczęśliwego kochanka, i gadziny zazdrości, rozpaczy, szaleństwa, szarpały mu łono!

W domu, pomimo spóźnionej pory przyjęto go bez żadnych wyrzutów, tylko stary Łaszcz rzekł mu z pewnym przekąsem — «A czy Acpana piersi nie zabolały od długiego czytania.» — Stanisław uspokoił ojca, lecz wkrótce potém widząc że za nic niemoże przyjść do zupełnej przytomno-

ści, i lękając się żeby matka, co nieustannie zwracała na niego badawczy wzrok, niedomyśliła się wszystkiego, udał że jest zmęczony i prosił żeby mu pozwolono udać się do spoczynku.

— Otóż to do czego prowadzi lenistwo! zawołał ojciec z niechęcią, Waść całe dni bąki strzelasz, odzwyczaiłeś się zupełnie od pracy, to i cóż dziwnego że jak ci wypadło porządnie poczytać w głos, zhasałeś się jak gdybyś cepem młócił! Pierwszy raz we dworze użyto cię do czegoś poczciwego, mogłeś się popisać z nauką i pokazać żem nie daremnie tyle kosztu dla ciebie poniosł, i cóż? Jegomość nad xiążką się zmęczył! widzisz go jaki delikacik! na marcypanach wykarmiony! Oj truteń z Waści, truteń! idź spać!

Jakkolwiek wymówki Łaszcza były niesprawiedliwe, Stanisław przyjął je w milczeniu, ucałował ręce rodziców z pokorą i wolnym krokiem wyszedł do swojej izdebki — myśleć, myśleć i jeszcze myśleć o tej żywotnej poezii która z powodu wierszy Szymanowskiego, lecz nie przez zaletę tych wierszy rozogniła mu wyobraźnią, zmieniła całą jego istotę!

Ewa tymczasem opowiedziawszy Waleremu w jakim usposobieniu wyjechał ojciec i jak wszystko, nawet sama pogoda zdawała się sprzyjać ich zamiarom, spytała go, co ze swej strony ułożył dla zakrycia śladów ich ucieczki?

— Nie jest to rzecz trudna odrzekł Walery — Kto dziś nie potrafi wykraść pannę? Wszakże, ponieważ i najlepiej ułożone projekta niekiedy się nieudają, więc ażeby w podobnym przypadku reputacja twoja została nieposzlakowaną,

żeby w razie jakiejkolwiek bądź przeszkody nikomu nawet do głowy nieprzyszło że miałaś zamiar opuścić dóm rodzicielski — musiałem obmyślić plan cokolwiek skomplikowany. Ale za to sama przyznasz iż niepodobna ostrożniej rzecz urządzić.

— Ta ostrożność jest dowodem prawdziwej miłości. Dziękuję ci, i słucham ciekawie.

— Powiedziałem memu kamerdynerowi francuzowi że oficer Austryacki z którym kiedyś za granicą byłem w zażyłości, uciekł z naszej niewoli i teraz właśnie ukrywa się w lesie twego ojca, czekając póki mu dalszej ucieczki nieułatwię. Pod pozorem więc tej hazardownej przysługi którą mam wyświadczyć niemcowi, wysłałem kamerdynera z naładowaną karetą podróżną naprzód, i kazałem zatrzymać się w ukryciu niedaleko od wrót waszego ogrodu. Tam on będzie mnie i mego przyjaciela oczekiwał. To zrobiwszy sam przyjechałem jak zwyczajnie do ciebie. Pobawię tu do 9-tej, pożegnam was i wyjadę w najkwaśniejszym jak można humorze. Dojechawszy do lasu, wysiądę ze strzelbą którą umyślnie wziąłem z sobą i odeszlę powóz pod pretextem że jutro skoro świt będę z jednym panem polował a noc przepędzę w domku waszego gajowego. Stangretowi polecę żeby jutro wieczorem po mnie i mego towarzysza przyjechał, i pozbywszy go się, pieszo dobiegnę do wrót ogrodu, zobaczę gdzie się zatrzymał francuz, przekradnę się w ciemności aż do szklannych drzwi twego pokoju, zabiorę cię, poniosę na swoich ramionach do karety i *fouette cocher!*

— Wybornie!

— Ależ matka twoja czy przypadkiem nieprzeszkodzi nam.

— Pomyślałam o tém dawno. Bądź spokojny. Matka od pewnego czasu ma zwyczaj pić przed snem winną polewkę, którą ja sama zawsze jej przynoszę do łóżka. Wypiwszy ją natychmiast zaśnie. Służąca która się kładnie w sąsiednim z moim pokoju, to samo będzie już spała o 10-tej. Za to ręczę. Ale cóż to? jeżeli się niemylę, jesteś dziś smutny? roztargniony, jakby przygnieciony jakimś wyrzutem sumienia? czy nie przypomniałeś sobie dawnych skrupułów?

— Nie; — skrupułów żadnych niemam, a przynajmniej o nich niemyślę, ale jakaś tajemnicza, nierozgadniona trwoga od samego rana niedaje mi pokoju. Niespokojność cały dzień mnie dręczy. Zdaje mi się że jakieś wielkie nieszczęście mnie spotka.

— *Fi donc!* niemów-że mi o tém przynajmniej w takim czasie kiedy ja sama potrzebuję ośmielenia. Przyznam ci się że i ja się czegoś lękam i czuję w sobie niespokojność, lecz z mej strony jest to rzecz bardzo naturalna. Opuścić rodziców co mnie dotąd tak czule kochali nie tak łatwo jakem się spodziewała. Jednak krzepię się na duchu, i powiadam sobie że właśnie to przywiązanie które mają dla mnie, zapewni mi ich przebaczenie, skoro pobrawszy się rzucimy im się do nóg. O ja znam moich rodziców! Lecz czegóż ty się lękasz? jakie nieszczęście może ciebie spotkać?

— Zdaje mi się że ciebie stracę moja droga.

— Przysięgam, że wiecznie będę twoją — szepnęła Ewa ścisnąwszy go za rękę.

— O nieprzysięgaj! mimowolnie zawołał Walery — w

tej chwili kiedy z ust twoich słyszę zapewnienie niezmiennej miłości, serce moje zamiast roskoszy którą głos twój anielski zawsze w niém obudzał, ściska się jakimś zimnym dreszczem, jak gdybym nagle ujrzał przed sobą bezdenną przepaść. Daruj mi droga Ewo tę słabość niegodną mężczyzny, niedostojną twojej miłości! Wiesz że cię kocham nad życie, że na jedno twoje skinienie rzuciłbym się na tysiące niebezpieczeństw, że dla twego uśmiechu chętnie bym śmierci zajrzał w oczy — ale to zimno co w tej chwili jak by ścięło w lód całą krew moją, tak jest nienaturalne, tak pełne czegoś tajemniczego, że niemogę się oprzeć smutnym przeczuciom.

— Walery, jeszcze czas — zapytaj dobrze siebie samego czy istotnie mnie kochasz?

— Czy ja ciebie kocham? O mój aniele, jeżeli najmniejszą masz w tym względzie wątpliwość, powiedz mi to jeszcze raz, a padnę do nóg twoich i skonam pod ciężarem tego podejrzenia. Czyliż nieoddałem ci się jak niewolnik swej pani? czyliż niepoświęciłem ci wszystkich moich myśli, marzeń, uczuć, nadziei, widoków w przyszłości? O moja luba! z tobą ziemia dla mnie rajem, twoje spojrzenie jest dla mnie słońcem które życie moje utrzymuje, uszlachetnia i zmienia w stan błogiego, nieustającego zachwytu. Bez ciebie, bez twej wzajemności świat byłby dla mnie dziką pustynią albo raczej piekłem. O zaklinam cię! nigdy więcej niemów mi nawet iż jesteś zdolną posądzić mnie o jakąś oziębłość.

— Ja ciebie nieposądzam mój drogi — rzekła Ewa z

uśmiechem zadowolenia. Poświęcenie które dziś czynię dla ciebie jest tego najlepszym dowodem. Niepojmuję tylko twojej dziwnej trwogi.

— Alboż ja ją rozumiem? wierz mi że gdybym przewidywał co mnie może spotkać, wprzódbym skonał od wstydu niż się przyznał do bojaźni.

— No, kiedy sam niewiesz co cię trwoży, to porzuć te próżne myśli. Mówmy o czém inném i starajmy się być wesołemi żeby mi niebrakło odwagi w stanowczej chwili.

Tymczasem matka uwiadomiona o przyjeździe Walerego weszła do salonu, uważając sobie za obowiązek być obecną przy ostatniém pożegnaniu dwójga rozłączających się na zawsze kochanków. Przytomność jej naturalnie zmusiła młodą parę przyjąć na siebie umówione role, zaczęła się nuda ogólna, nuda straszna. Młodzieniec ciągle poglądał z ukosa na zegar i nakoniec doczekawszy się 9-tej pożegnał matkę i córkę i oświadczywszy iż ma zamiar wyjechać w jakąś daleką podróż, prosił o zachowanie go w przyjaznej pamięci. Potém coraz więcej zmieszany, schwycił z pośpiechem za kapelusz, i zapomniawszy nawet ucałować rękę Pani Łobzowskiej, jak to zwykle czynił, pobiegł do swego powozu. Stangret, na którego krzyknął dziwnym jakimś głosem, zaciął konie gwałtownie i z miejsca ruszył galopem.

— Szkoda tego biednego Walerego — rzekła matka kiedy się wszystko uciszyło, że niepomyślawszy dobrze zaraz się rozkochał. Zdaje się być bardzo smutny. Ale u takich młodych męczyzn, smutek nie długo trwa; świat szeroki, znaj-

dzie sobie właściwszą partją i zapewne o tém co było zapomni.

— Obiecał mi że się o to postara — odpowiedziała Ewa.

— Czy aż do tego objaśnienia między wami doszło?

— Przy ostatniem widzeniu się niepodobna było tego przedmiotu uniknąć. Zresztą każdy ma swoją miłość własną; chciał mi pokazać że o mnie niedba.

— Zuchwały! — to mi się niepodoba!

— Albož to jedno? — nasłuchałam się dzisiejszego wieczora niemało ucinków od niego; przekonałam się że umie się gniewać i. że z tak niedelikatnym człowiekiem nigdy bym niemogła być szczęśliwą. A mama jakby umyślnie tak długo zostawiłaś nas samych jednym.

— Ach! kiedyż to nudna rzecz być obecną rozmowie młodych ludzi co zbliżywszy się zanadto do siebie potém się rozłączają. A przytém jestem cokolwiek słaba.

— To niech się mama położy. Ja zaraz każę zgotować polewkę.

Matka usłuchała tej rady.

Ewa miała zwyczaj kazać przynosić do swego pokoju imbryczek z polewką, sama niosła matce do łóżka filiżankę a resztę albo zostawiała sobie, albo też oddawała swej pokojówce. Potém najczęściej jeszcze czytała xiążkę i nareszcie zgasiwszy świecę rozbierała się i udawała do spoczynku.

Pokojówka właśnie postawiła na stole polewkę i wyszła kiedy Walery stanął pod szklannemi drzwiami pokoju swojej kochanki. Serce biło mu gwałtownie w piersi, jakaś lękliwość opanowała go, wstydził się siebie samego i niepojmował co się

z nim stało, wszakże czuł wyraznie że od chwili pożegnania Pani Łobzowskiej co moment tracił jakąś część przytomności i odwagi tyle mu potrzebnych dla dokonania planu ucieczki. Obawa żeby kochanka niewzięła go za tchórza, zmusiła go do zastanowienia się nad sobą, i wtedy dopiero spostrzegł że mu było zimno, że drżał nie od strachu, lecz prosto od chłodu wieczornego. Przypomniał sobie że siadając do kocza niewłożył na siebie płaszcza, i zostawiwszy go w powozie dotąd był w jednym fraczku! przeklinał w duszy fatalne swoje roztargnienie, kulił się jak mógł i ręce po cichu zacierał lub chuchał w dłonie, jednakże to niewiele pomagało. Wieczór był nadzwyczajnie chłodny, wiatr przejmował go na skróś, drobny deszcz przemoczył go i szczypał mu twarz nieprzyjemnie, a nogi jego grzęzły w błotnistym, rozmokłym gruncie. Spójrzał na zegarek — jeszcze pół godziny zostawało do 10-tej. A ja nieszczęśliwy! zawołał, poki matka i służąca zasną, póki Ewa się ubierze w drogę, wypadnie mi tu wartować pod drzwiami. Przyłożył ucho do ściany — cisza zupełna. Potém jakby drzwi stuknęły. Zajrzał przez szybę — była to Ewa, która wszedłszy do swego pokoju poszła prosto do stolika na którym stał przygotowany imbryczek. — Ach! dopiero będzie nalewała polewkę pomyślał sobie, i czém prędzej odsunął się ode drzwi.

Ewa z wielkim pośpiechem napełniła filiżankę polewką i dobywszy ze swej toaletki dwie flaszeczki Notkiewicza, ostrożnie wpuściła do filiżanki z pierwszej flaszeczki kilka kropel rozrzadzonego opium, który Doktor dał jej od bezsenności, a potém obojętnie, nierachując już kropel, nalała opium

mocnego, z drugiej flaszeczki do imbryczka, i schowawszy obie do toaletki poszła z filiżanką do matki.

A Walery drżał od chłodu na dworze. Obuwie jego rozmiękło w błocie, zaczynało mu być zimno w nogi. Spróbował dryptać na miejscu dla rozegrzania się, ale niesposób było, bo pluskanie błota rozlegało się zbyt głośno. Gniewając się sam na siebie za swoje roztargnienie spójrzał znów przez szybę — pokój był pusty, imbryk z polewką stał na stoliku. Patrzał, patrzał, i dziwna rzecz! — zapomniał na chwilę o miłości, o wdziękach kochanki, o bliskim szczęściu, o całej przygodzie dla której przybył, o wszystkim na świecie i wzrok jego nieruchomie zatrzymał się na imbryku! i myśl cała zajęta była tylko tą gorącą winną polewką co stała na stole! Ciało bardzo często bierze górę nad duszą, o tém każdy wie, lecz niekażdy może zauważał tę niedołężność człowieka, tę *mizerją* naszej natury, że nieraz ostatnia drobnostka, bagatela nic nieznacząca w oczach filozofa, rzecz którą by człowiek w innym czasie z pogardą odepchnął od swej uwagi, pochłania całą jego duszę, staje się dla niego dziwnie zajmującą, zmusza go do zapomnienia wszystkiego co dla niego najdroższe, popycha go niekiedy wyraźnie w przepaść. Właśnie w tym samym przypadku znajdował się Walery. Gorąca polewka wydała się przeziębłemu nektarem, zapragnął jej gwałtownie, passował się kilka sekund z samym sobą, nareszcie korzystając z tego że w pokoju nikogo niebyło, otworzył szklanne drzwi, wszedł pocichu, łyknął porządnie polewki i ostrożnie powrócił na dawne stanowisko.

Ledwie wyszedł, wróciła Ewa, oddała pokojówce resztę napoju dziwiąc się cokolwiek że go bardzo mało zostało w imbryczku, i kiedy wypiła do ostatniej kropli, kazała jej iść spać, a sama siadła niby czytać xiążkę.

Waleremu, po napiciu się polewki zrobiło się z początku bardzo dobrze. Jakieś przyjemne ciepło rozlało się po wszystkich jego żyłach, imaginacja rozkołysała się w jasnych i błogich marzeniach, czuł się odważnym, zdolnym do największych poświęceń, zapomniał o wietrze, deszczu, słocie i myślał jedynie o tej szczęśliwej chwili kiedy drżącą kochankę poniesie na swoich ramionach do karety. Stopniowo jednak niepojęta ociężałość, zimno, dreszcz i senność zaczęły coraz wyraźniej przemagać nad miłosnemi jego marzeniami. Walery gniewał się na siebie i wyrzucał sobie nieczułość, niewdzięczność dla tej która tak wielkie dla niego czyni poświęcenie. Wprawdzie usprawiedliwiał siebie tém, że ostatnią noc przepędził bezsennie, będąc zajęty przygotowaniami do podróży, i że bez płaszcza w dżdżystą i chłodną noc najczulszy nawet kochanek może zziębnąć, jednak pomimo wszelkich rozumowań ciężyła mu na sercu mniemana jego zbrodnia. Nie zważając już na plusk błota dryptał heroicznie na miejscu myśląc że ta agitacja go orzeźwi, lecz gdy i to nic niepomagało a senność coraz więcej brała nad nim gorę, uderzył się obydwiema pięściami w czoło, bił się w boki, targał się za włosy z rozpaczą i nareszcie przypisując wszystko wpływowi nieznośnej słoty, a lękając się jakiej nagłej choroby od przeziębienia, postanowił się schronić do pokoju przyszłej

swojej małżonki. Stanąwszy ostróżnie przy drzwiach, spostrzegł że oprócz Ewy nikogo niebyło w pokoju, i zastukał z lekka w szybę.

Ewa nieco przestraszona położyła xiążkę na stole, podbiegła na palcach do drzwi i uchyliwszy je bez hałasu, spytała cichym głosem — to ty Walery?

— Ja, — odpowiedział młodzieniec.

— Cóż? czy kareta gotowa?

— Czeka nas za ogrodem.

— Dobrze. Zaczekaj jeszcze z pół godziny. Zbiorę niektóre rzeczy, napiszę kilka słów do rodziców i pojedziemy.

— Zmiłuj się moja droga, śpiesz się, na dworze diabelnie zimno, a ja zapomniałem wziąść płaszcza z powozu.

— *Fi donc!* czy tak mało mnie kochasz żeby ci miłość płaszcza niemogła zastąpić?

Młodzieniec westchnął.

— Wiesz co? szepnął po chwili, zapewne przeziębiłem się bo mi bardzo słabo, ledwie na nogach się trzymam. Pozwól mi jaki kwadransik posiedzieć w twoim pokoju i ogrzać się, potém jeżeli każesz wyjdę natychmiast. Przysięgam że nienadużyję w niczém twego pozwolenia.

— Ach! pocóż to? to niewypada — to niedobrze.

— Aniele mój! rzekł młodzieniec solennym głosem, miałbym siebie za najpodlejszego człowieka, za potworę niegodną twojej miłości, gdyby jakakolwiek myśl zbrodnicza mogła znaleść wstęp do mego serca. Bądź spokojna! zanadto cię kocham, szanuję, ubóstwiam iżbym mógł na

chwilę zapomnieć winnych ci względów. Przysięgam na pamięć rodziców, na naszą miłość, że jedno tylko osłabienie zmusza mnie prosić cię o przytułek.

Dziewczyna zlękła się i otwierając drzwi spytała go z największą niespokojnością — cóż ci jest? czy bardzo czujesz się słabym? — ach! w takim momencie! . . .

— To nic, to nic! odrzekł nieszczęśliwy, chwiejąc się na nogach, i wszedłszy do pokoju z pośpiechem usiadł na pierwszém krześle które znalazł — to przejdzie samo! ot, już mi teraz daleko lepiej. Ja sądzę, że to było prosto znużenie po niedospanej nocy, po chłodzie i słocie tego wieczora.

Twarz Ewy rozpogodziła się natychmiast, zwyczajny sarkastyczny humor jej wrócił, zaczęła żartować ze zniewieściałości kochanka, i rozgniewała się nawet spostrzegłszy że błota naniósł do pokoju. *Fi donc!* zawołała z przekąsem, *comme c'est mauvais genre!* nie obetrzeć obówia przed wejściem do pokoju — co sobie pomyślą jutro moi ludzie? cały twój rozumny plan zniweczyłeś nogami. Kto tylko ma oczy, pozna że tu był mężczyzna!

Walery pochylony nieco na wznak, oparty bezwładnie o tył krzesła, spójrzał na nią wzrokiem w którym malowało się i zadziwienie że tak błaha uwaga mogła jej się natrącić w owej stanowczej chwili, i żal jakiś że widząc go chorym może mu robić wyrzuty i obrażona miłość własna że go uczą przyzwoitości i wreszcie jakieś dziwne przeczucie że ta kobieta go niekocha prawdziwą, czystą miłością, że namiętność jej mogła być skutkiem kaprysu, albo jakiegobądź podobieństwa które upatrzyła w nim do bohatera

jednego z przeczytanych romansów, a ucieka z nim więcej z uporu i przez podszept romansowej wyobraźni, niż z głębokiego przywiązania. Słowem umysł jego rozjaśnił się w tej chwili jednym z tych tajemniczych błysków co zapadają niekiedy w duszę człowieka, i w ulotnym momencie odkrywają mu daleko więcej niż zwyczajna rozwaga w kilka lat, a nawet przez całe życie. Wzdrygnął się na swoim krześle, chciał powstać, lecz niemiał siły, chciał wszystkie swoje uczucia wylać w słowa: wszystką gorycz wydobyć z łona, lecz język nie podawał się już woli i tylko mógł wyjąknąć niewyraźnie — Ewo! nie spodziewałem się.... teraz.... kiedy.... wkrótce....

— Otóż to przerwała dziewczyna — i wyrzuty zaczynają się już przed czasem! A, przyznam się, że to zabawna rzecz o prawdę się gniewać! Niedość że dla ciebie rodziców porzucam, jeszcze chcesz żeby po śladach twego obuwia ludzie domyślili się żeś był w moim pokoju.

— O! rzekł Walery — to — okrop-nie! ty — mnie — niekochasz!

— Coraz lepiej! coraz lepiej! fuknęła Ewa z gniewem, P. Walery zaczyna hałasować w moim pokoju żeby go cały dwór usłyszał — *Fi! c'est une lâcheté!*

— Kobieto! rzekł słabym głosem młodzieniec — Bóg — cię — skarze! ser-ca, nie-masz! Potém głowa jego zwiesiła się zupełnie z krawędzi krzesła, usta zostały otwarte, oczy stanęły kołem pod powiekami na pół przymkniętemi, twarz pokryła się straszną bladością. Zdało się że to trup siedzi na krześle!

*

Ewa, która przez czas sprzeczki niepatrzała na niego, rzuciwszy teraz wzrok i spostrzegłszy tę okropną zmianę w całej postawie kochanka, struchlała od strachu. W naturze jej było że i bojaźń jej różniła się od bojaźni innych kobiet. Druga na jej miejscu byłaby krzyknęła z trwogi i może zemdlała — Ewa przez jakąś instynktową przezorność ścisnęła usta i tylko załamawszy ręce, zatrzymała się na miejscu, jakby skamieniała. Kilka minut przeszło w tém osłupieniu.

Można sobie wyobrazić jej położenie, lecz niepodobna przedstawić co się działo w jej duszy. Nic to że wszystkie ej plany w proch się rozsypały, rozwiały się jak kurzawa pod tchnieniem wiatru, nic to że ją Walery tak dobrze jak przeklął, nic to nawet że mężczyzna znajdował się w jej pokoju, bo gdyby go kto zobaczył mogła by przy swojej przebiegłości jakkolwiek się wymówić, oszukać rodziców lub przeprosić — ale to nieszczęście, że ten mężczyzna może już niewróci do życia, że na miejscu jego zostanie trup! Martwe ciało znalezione tam gdzie być niepowinno, jest to pierwszy arkusz sprawy kryminalnej ze wszystkiemi jej następstwami! Ostatnie jej obejście się z kochankiem, wiadome ludziom, stanie się jakby aktem jej oskarżenia o podłe trucicielstwo i chociażby się uniewinniła przed kratkami sądu zostanie zawsze splamioną w obliczu świata, i wyłączoną ze wszystkiego poczciwego towarzystwa. Sąd, hańba, niesława, — podejrzenie o morderstwo, rozpacz rodziców, — o! okropność! wszystkie te myśli jak z gór lecąca lawina zwaliły się razem na umysł Ewy i przygniotły ją aż do

zwątpienia o samej sobie. Cichy jęk który wydała z głębi piersi, zaważył by może tyle na szalach Szatana ile cierpienia całego życia innej niewiasty. Wszakże przyrodzona energja tej dziwnej duszy natychmiast podniosła się z olbrzymią mocą, jakby dowodząc tego że i w świecie ducha prawdzi się ten ogólny teoremat materjalnego świata, podług którego każda siła wywołuje równe sobie oddziaływanie czyli opór. Powiedziała sobie że zamiast lękać się, trzeba naprzód rozpatrzyć bliżej stan przestraszającego przedmiotu. Zbliżyła się więc ze świecą do Walerego i opatrzyła go z największą uwagą. Widok jego był okropny! Nietrwożąc się wzięła go za rękę — ręka była zimna, lecz puls bił wyraźnie chociaż bardzo nieregularnie, to mocno, to znów tak słabo że go ledwie czuć można było. W miarę tego bicia krwi rosły i upadały nadzieje badającej. W tym samym czasie Walery zaczął się rzucać na krześle lecz ruchy jego konwulsyjne niebawem przeszły w bezwładność. Spostrzegła tedy wyraźnie że jeszcze żyje.

— Może sen jaki chorowity? pomyślała sobie — i jęła go targać z całej mocy, łechtać pod nosem choragiewką od pióra, wreszcie ukłuła go mocno angielską igiełką — wszystko to niezdołało go obudzić.

— O! — jęknęła Ewa, i wpadła w zamyślenie.

— Albo letarg, albo jaka śmiertelna choroba — rzekła po chwili. Lecz czy powróci do życia czy umrze, dla mnie prawie równe nieszczęście. Jeżeli letarg, to będzie trwało dość długo, a przez ten czas uchodzić będę za trucicielkę. Jeżeli choroba o śmierć go przyprawiła, kto uwierzy że

w moim pokoju bez mego udziału zachorował? Gdyby nawet po pewnym czasie odzyskał przytomność, powiedzą tylko że zamało trucizny dałam mu wypić!

— O ja nieszczęśliwa! — zawołała z prawdziwą rozpaczą i zimny pot trwogi wystąpił na jej czoło. Wzrok jej sztywny zatrzymał się na Walerym.

Wkrótce młodzieniec znów zaczął się konwulsyjnie rzucać w krześle, pochylił się i byłby upadł, lecz Ewa lękając się żeby padając nienarobił hałasu, zatrzymała go za ramie a potém powoli ściągnęła na podłogę.

Ta okoliczność nawet w rozpaczliwym jej położeniu pobudziła ją do gniewu — Mazgaj! rzekła z przyciskiem wzgardy — o! pocóżem się oddała takiemu mazgajowi! jednej nocy niedospał, godzinę przebył na słocie bez płaszcza i natychmiast rozchorował się! — jeszcze w jakim czasie! ha! w tym to właśnie zawiera się całe nieszczęście! — wprzód albo później niech by sobie chorował, niechby umarł. . . . ale teraz! teraz! i do tego w moim pokoju!

Zaczęła chodzić niewiedząc co począć, otworzyła ostróżnie drzwi sąsiedniego pokoju, a zbliżywszy się do śpiącej służącej spostrzegła że i ta była bardzo blada, tylko nie rzucała się i chrapała podług zwyczaju. — Ot, jeszcze druga historja! — rzekła — co to będzie jeżeli Antosia przynajmniej o 10-tej zrana się nieobudzi? — jeżeli spać będzie do wieczora albo nawet dłużej? — No, o tej wiem przynajmniej że się obudzi kiedyś. A matka? pomyślała sobie z trwogą lecz natychmiast uspokoiła się — nie! ta będzie tylko cokolwiek mocniej spała. Wszakże do jej filiżanki wla-

łam krople podług przepisu Doktora. Lecz Antosia? Antosia? hm! jeżeli za wiele wlałam do imbryczka? Notkiewicz mówił mi że opium, jest trucizna — Czy zawiele, czy niezawiele użyłam? o, kto mi to powie? a pytanie to znaczy czy jutro będzie jeden trup czy dwa trupy w domu?

Ha! ha! straszno! okropnie! Boże! będę się modliła, Matko Boska, zmiłuj się nademną, ratuj mnie! ratuj! Oczy jej były obłąkane, twarz blada, włosy targane rospaczliwemi dłońmi opadły na ramiona, łono drżało od bezmiernej trwogi. Podobna była do jednego z tych duchów co z anielskim jeszcze obliczem lecz przez grzech już skażoném, strąceni zostali w otchłań piekielną, padła na kolana, wyciągnęła ramiona, złożyła ręce na piersiach i machinalnie mówiła pacierz, lecz ta modlitwa nieuspokoiła jej, bo jej nietowarzyszyła prawdziwa wiara, bo myśl jej niepodniosła się do góry lecz wśród błota ziemskiego rzucała się konwulsyjnie między dwóma trupami!

— Przecie cóśkolwiek muszę postanowić — rzekła podnosząc się z podłogi. Przecie muszę znaleść w mej głowie jakiś środek ratunku. Niepodobna żebym nic złego niezrobiwszy, niepotrafiła rozplątać tych fatalnych sieci w które wpadłam!

Co do Walerego — ten jeżeli się przebudzi, to choćby był najsłabszy niebędzie się wahał dla ocalenia mego dobrego imienia wyczołgać się na rękach i na nogach do ogrodu — a tam jeżeli go zobaczą, przyjmie całą rzecz na siebie.

Jeżeli się nieobudzi, to go potrzeba niezwłocznie scho-

wać — ale gdzie? jak? — o! w tém wszystko! w tém cała przepaść niepewności! a jeżeli jeszcze zostanie na zawsze w letargu, jeżeli umrze? o! co z nim zrobić? — schować go naprzód, tak schować, a po tém myślić co dalej począć — teraz najgwałtowniej potrzeba mi wiedzieć gdzie na przypadek przechować trupa? — i zaczęła opatrywać pokój.

Niebawem zwrócił jej uwagę na siebie duży kufer w którym zwyczajnie leżała bielizna przeznaczona do prania, a który właśnie był próżny. Ha! w razie potrzeby — rzekła — na pierwszy czas można go będzie włożyć do kufra, lecz co dalej? — ha! dalej jest czas do namysłu — jest nadzieja.

Możeby lepiej było wyciągnąć go teraz do ogrodu? O! nieszczęście! — noc wypogodziła się zupełnie, uciszyło się i przeklęty xiężyc poziera z góry na moją rospacz! — zrobiło się jasno, stróże mogą mnie zobaczyć i wszystko się wyda! Ach, jaka szkoda! bo w każdym razie ten środek byłby najlepszy!

A z dziewczyną co zrobić? hm! jeżeli się nie obudzi rano, obleję zimną wodą, szpilkami pokłuję — bądź co bądź tej łatwiej poradzę, jeśli nie otruta!

Na tę myśl że mogła zawiele opium nalać do imbryczka i pozbawić Antosię życia, znów ją opanowała niewymowna rospacz. I tak wpadając naprzemian to w nieograniczoną bojaźń, to w zuchwałą zarozumiałość w środki które przy swej przebiegłości miała nadzieję znaleść — przepędziła noc, oka nie zmrużywszy. W czasie tej bolesnej bezsenności może i myśl żalu zabłysła w jej przewrotnej duszy. Może

zrozumiała że nieprzewidziana katastrofa Walerego niebyła ślepym trafem, lecz raczej dowodem iż karząca dłoń Boża dotyka niewdzięczne dzieci wtedy właśnie, kiedy najmniej tego oczekują. Może wśród natłoku czarnych myśli zajaśniało w jej umyśle jakieś ulotne postanowienie poprawy, może łza nawet zrosiła jej powieki — lecz niestety! wkrótce to pochłonęła coraz gwałtowniejsza potrzeba namysłu w obecnem niebezpieczeństwie!

Biały ranek znalazł ją siedzącą na pościeli w głębokim zadumaniu. Wzrok jej błądził machinalnie w kierunku Walerego i pokojówki. Nie powzięła przez całą noc żadnego pewnego postanowienia, lecz wycieńczona długą rospaczą, obojętnie już roztrząsała w umyśle swoje fatalne położenie. A na dworze majowe słońce w cudownym blasku i majestacie wstępowało na sklep niebieski oblany jeszcze purpurą niknącej jutrzni, ptastwo świegotało w ogrodzie hymn poranny, pogoda wyjaśniła się jak lica dziewicy po przejściu chwilowej niechęci którą zdało jej się widzieć w spojrzeniu kochanka. Kwiaty stęsknione do słońca wychylały ku niemu barwne swoje kielichy, świetne muszki i chrząszcze migały w ciepłym, balsamicznym powietrzu, — cała natura tchnęła jakąś błogością, krasą i pokojem. I w duszy Ewy przeszła gwałtowna burza, lecz niestety! zostawiła po sobie ciemność i ruiny nad któremi nie wschodziła jutrzenka rezygnacii, niemożna było oczekiwać słońca pokoju, którego promienie jaśnieją tylko na niebie czystego, bogobojnego sumienia!

W tém dał się słyszeć trzask bicza i turkot powozu wjeżdżającego na dworski dziedziniec.

— Ha! zawołała Ewa skoczywszy na równe nogi, ojciec wrócił! — spójrzała na zegarek; — była 6-ta z rana. Cóż teraz? na czémże ostatecznie zatrzymałam się? Kufer — tak kufer, i ostrożność — i zresztą jak los rozrządzi! Oto cała nadzieja.

Istotnie był to P. Łobzowski. Wizyta u gościnnego zwykle obywatela zupełnie mu się nie powiodła. Przyjechawszy z kilku innemi, zastał gospodarza nieprzygotowanym i niebardzo zadowolonym z niespodziewanych gości. Szperano długo ktoby był sprawcą figla przez który kilka osób zjechało się, wszakże skończyło się na tém że nikt się niedomyślił intrygi. Obiad był zły, wieczorem P. Łobzowski zgrał się w karty i nieczekając dalszych przygód w nocy wyruszył do domu.

Za pół godziny Ewa zupełnie rozebrana leżała w łóżku.

O 7-mej niespokojna zerwała się z pościeli, pobiegła budzić służącą i nareszcie przywiodłszy ją do przytomności, posłała dowiedzieć się co robi ojciec? Antosia mocno jeszcze senna spełniła rozkaz i doniosłszy pannie że P. Łobzowski po przyjeździe natychmiast udał się do spoczynku zaleciwszy żeby go nikt nieważył się budzić póki sam nie wstanie, chciała na nowo rzucić się na pościel, lecz Ewa wyburczawszy ją za ospalstwo, wyprawiła do kuchni.

Potém jęła znów probować czy się nieuda obudzić Walerego, lecz wszelkie jej usiłowania były daremne. — Sam Szatan chce jego zguby! szepnęła, a może i mojej. I to

mówiąc zamknęła kufer w którym leżało ciało młodzieńca, schowała klucz i położyła się do łóżka.

Po chwili drzwi jej pokoju z cicha otwarły się.

— Kto tam? zawołała przestraszona.

— Ja, odrzekła Rózia, pokojówka Pani Łobzowskiej.

— Czego chcesz?

Tu w kufrze dało się słyszeć jakieś poruszenie. Ewa drgnęła.

— Pani mnie przysłała obaczyć czy panienka śpi.

— Więc mama już wstała? podchwyciła Ewa z radością — Czegoż mama chce odemnie?

— Antosia przyszła do kuchni i położyła się spać, niemożemy jej się dobudzić, więc mnie Imość posłała, bo P. Łaszcz przyszedł z jakimś pismem od Niemców co przez Rozalin mają przechodzić. Imość sama niemoże przeczytać, P. Łaszcz także, a Jegomość niekazał siebie budzić, więc pani prosi żeby panienka przyszła pomódz, bo pismo pilne, pewnie niemcy chcą liwerunku.

— Przynieś mi tu pismo.

— A P. Łaszcz i Imość czy tu mają przyjść?

— Ach, P. Łaszcz czeka:

Tu wpadła druga służąca z oznajmieniem że sierżant Austryacki wszedł do salonu zniecierpliwiony i krzyczy na P. Łaszcza o prędką odpowiedź, a Jmość prosi panienkę co prędzej.

W kufrze znów się cóś poruszyło.

Ewa odprawiwszy służące ubrała się i pobiegła do matki pewna będąc że w nieobecności nikt do pokoju niewejdzie.

Lubo nieposiadała dobrze niemieckiego języka, jednakże uczyła go się na pensii, miała koleżanki niemki, i krótkie pisano Komendanta nieprzyjacielskiego oddziału jakkolwiek obecnym wytłumaczyła. Chodziło o to żeby dla komendy wydać pewną ilość prowizii i furażu.

Ledwie pozbyli się sierżanta, matka zaczęła jej opowiadać jakie dziwne sny miała tej nocy. Wystaw sobie moja Ewcin — rzekła, z początku nadzwyczajnie przyjemne miałam marzenia, ale potém wszystko się przemieniło. Jakieś okropne obrazy przesuwały się przedemną — jeden z nich został mi nawet w pamięci. Widziałam ciebie z Walerym w najlepszej zgodzie. . . .

— Ach! przerwała Ewa — w zgodzie z Walerym? po co mama o nim mi wspomina?

— Ależ to tylko sen moja córko — wysłuchaj cierpliwie zobaczysz że koniec wcale różny od początku. Otóż widziałam cię jakeś niby spacerowała z Walerym nad jakąś rzeką, i zdaliście się oboje być bardzo szczęśliwi. Na brzegu rosły piękne kwiaty które on idąc zrywał i oddawał tobie. Już się ich zebrał był duży bukiet, który trzymałaś przy piersi, lecz w tém Walery potknął się i zdaje się trącił cię niechcący łokciem. Twarz twoja zachmurzyła się, rozgniewałaś się na niego za tę niezgrabność i cały bukiet rzuciłaś z niechęcią do wody. Walery tak był tém dotknięty że z największą rospaczą rzucił się z brzegu do rzeki żeby ratować swoje kwiaty, lecz po niejakim czasie siły go opuściły, woda się zapieniła, — zaczął tonąć. A ty śmiałaś się

stojąc na brzegu i powtarzając obojętnie — «będzie jednym głupcem mniej na świecie.»

— Ach mamo! krzyknęła Ewa strwożona — poco mama takie sny mi opowiadasz? — i nieczekając odpowiedzi pędem pobiegła do swego pokoju. Zamknąwszy drzwi otworzyła kufer i zaczęła się przyglądać. Walery leżał nieruchomy. Twarz jego miała jakieś przerażające wyrażenie. Oczy były otwarte i zawrócone.

Wzięła go za rękę — ręka była zimna! — za puls — puls niebił. Przyłożyła dłoń do piersi — serce nie kołatało w niej zupełnie. Przyłożyła do ust zwierciadło — niezwilgotniało!

— Umarł! rzekła.

Spojrzała na niego sztywnym wzrokiem — Oczy trupa stojące kołem zdały się wyrzucać jej morderstwo. Ręce jej opadły bezsilnie, pobladła, pot zimny ją oblał, zachwiała się i upadła zemdlona przy otwartym kufrze. Kilka minut leżała bez przytomności.

Kiedy odzyskała zmysły i obejrzała się w około, gwałtowne drżenie wstrzęsło całą jej postać, zęby dzwoniły jak u człowieka przeziębłego do szpiku, oczy jakby chciały wyleść z orbitów tak się wytrzeszczyła na wieko kufra. — Gdyby kto był wszedł — pomyślała sobie — albo zajrzał przez okno w czasie mego omdlenia! Hm! może tu kto był? — nie; gdyby tu był ktokolwiek, to pewnie by był niewyszedł.

— Ha! teraz wszystko skończone! — zawołała zamykając czém prędzej kufer. Co tu począć? co tu począć? — o ja nieszczęśliwa! Spójrzała w lustro i odskoczyła z przestra-

chem. — Każdy na mnie pozna że popełniłam zbrodnią — Jak to? ja dopuściłam się zbrodni? Ktoż to śmie mówić? Ja? — to fałsz wierutny! Ja nic niezrobiłam! Ja niewinna! Przysięgam na ojca, na matkę żem niewinna jego śmierci! Alboż z mojej przyczyny zasłabł? alboż przezemnie życie skończył? Przyszedł już chory — i chory śmiertelnie!

Ha! co to? Któż mi to szepce do ucha że przed położeniem go do kufra puls i serce biły, ręka była ciepła — a teraz skościał? — to cóż? to cóż? zawsze ja go niezabiłam! Udusił się? udusił się może w kufrze? — Ha! to okropnie! Ha! przeklęctwo na tego austryaka! on mnie zmusił wyjść z pokoju — inaczej byłabym słyszała poruszeoie jego, szamotanie się w kufrze. . . . Cha, cha, cha! i cóżbym była zrobiła lepszego? byłoby może jeszcze gorzej! O jakaż okropna przepaść rozwarła się na moją zgubę! — próżno się rzucam w strony, próżno szukam ratunku — wszędzie zguba — zguba — zguba!

Po tych słowach rzuciła się zupełnie osłabiona w najokropniejszej rospaczy na łóżko.

O 10-tej, potém o 11-tej i 12-tej stukano do jej drzwi, lecz nieodzywała się. W domu myślano, że niedospawszy nocy, słodko spoczywa sobie.

A w tym czasie, zwolna jak ziarnka klepsydry ciekły chwile jej męczarni!

XI.

Wieczorem tego dnia którego ranek opisaliśmy w poprzedzającym roździale kamerdyner Walerego z podróżną karetą i stangret z powozem powrócili do domu niezmiernie zakłopotani. Francuz wyglądał swego pana i jego przyjaciela, austryackiego oficera do samego rana u wrót ogrodu, a potem obawiając się żeby go przypadkiem ludzie nie dostrzegli i niezagabnęli na kogo w owém miejscu czeka? postanowił zjechać z tego stanowiska. Pomniąc że zbieg austryacki przechowuje się w lesie PP. Łobzowskich, skierował się do lasu, z trudnością dowiózł karetę do domku gajowego i złamanym językiem jął go ostrożnie wypytywać czy P. Prądnicki niedał mu jakiego polecenia? Gajowy odparł że o niczém niewie. Zdziwił się niemało francuz, wyprosił dla siebie i dla koni pożywienie i postanowił doczekać się wieczora. Przed zmrokiem zjawił się stangret z powozem i znów jął wypytywać gajowego czy polowanie już się skończyło?

— Co wy powarjowalista obydwa? zawołał stary myśli-

wy — nikomu się nie śniło o polowaniu! pana waszego na oczy niewidziałem; — dajta mi pokój, i jedźta sobie do domu.

— Co wej plecies stary — odgryz się Stangret — a dyć ja sam widziałem jak pan z fuzją posedł wczoraj do lasu — jużci na polowanie a nie na co innego.

— A to go szukaj, kiedyś widział!

— Ta, dla czego by też nieposzukać? — obaczemy.

To powiedziawszy uwiązał konie i wyszedłszy na gościniec, z tego samego miejsca gdzie wczoraj Walery wysiadł z powozu, puścił się w las. Chodził po gęstwinie, nadstawiał ucha, czy nieusłyszy wystrzału, oglądał się na wszystkie strony — niebyło żadnego poszlaku. Nareszcie, kiedy już miał wracać, zaczepił przypadkiem o cóś nogą — spójrzał, była to fuzja Walerego!

Stangret długo stał na miejscu i rozmyślał coby to mogło znaczyć? nareszcie skonkludował, że ponieważ ta fuzja, jak mu wiadomo było, szczególniej była lubiona od Pana, który ją przywiózł sobie z zagranicy, to jużci bez ważnego powodu jej nie rzucił w lesie. Musiał być ściganym albo od zbójców albo, co pewniejsza, od żołnierzy austryackich co przez Rozalin przechodzili.

Francuz, któremu Stangret ten swój domysł opowiedział, zachwiał głową, uderzył się dłonią w czoło i wedle możności swego języka, dał furmanowi do zrozumienia że Pan wzięty do niewoli Austryackiej! Ta suppozycja trafiła do przekonania wszystkich ludzi Walerego, niebawem gruchnęła w okolicy.

W Rozalinie, ludzie dworscy po kolacii, zaczęli zwyczaj-

ną gawędkę o pobieżnych sprawach ubiegłego dnia i w krótce wpadli na niektóre wątpliwości.

— At, gadajcie co chcecie, rzekła szafarka — to dziwna rzecz żeby wszyscy w domu spali jak żabici do południa.

— Jakże wszyscy? odparł kucharz — Pan tylko jeden i to dla tego że całą noc był w drodze.

— A Pani?

— Pani wstała rano i nawet kazała P. Łaszczowi dać niemcóm liwerunek.

— Ale potem znów położyła się spać, panienka to samo, Antosia to samo—spytaj tylko Antosi jak jej się spać chciało albo wiele diabłów przez tę noc widziała we śnie.

— O, wielka rzecz, raz w rok zaspać — odezwał się lokaj zakochany w Antosi. Po morce zawsze się człowiek przeciąga.

— Morka swoją drogą — odparła szafarka, a to Panie odpuść! prosto zmora!

— Zmora? powtórzyło kilku — a czy dusiła za gardło? czy gniotła piersi?

— Spytajcie się Antosi.

— Dla czegoż to zmorą zawitała.

— Hm! dla czego? wiecie że Zmora, Panie odpuść, do starych ludzi nie tyle się garnie ile do młodych, to też widzicie że Jegomość i Jmość jeszcze jakkolwiek wyglądają ale panienka i Antosia to prosto jak z krzyża zdjęte.

— Oj, prawda! — podchwycił lokaj, na panienkę strach było patrzeć przy obiedzie, taka blada jak trup, oczy jak węgiel gorejący, ręce się trzęsły, nic prawie nie jadła i

zaraz od stołu wróciła do swego pokoju. Taka zamyślona, taka niecierpliwa, taka zła dziś była jak jeszcze nigdy niepamiętam. Rodzice się przelękli i chcieli po doktora posłać, tylko sama niekazała.

W tém wpadła żona gajowego i opowiedziała całą historję o zniknieniu Walerego i znalezieniu tylko fuzii w lesie. Na drugi dzień od służących wieść ta doszła do państwa. Różne ztąd powstały domysły o politycznych stosunkach Walerego. P. Łobzowski udając że go szczerze żałuje, rzekł — Ja zawsze powiadam że gdzie drwa rąbią tam trzaski lecą, siedźmy cicho w domu i do wojny niemieszajmy się, przecie tak albo siak się skończy. Ot, co to znaczy polityką się zajmować, teraz w niewoli wątpię żeby mu wesoło było! Jak go z czasem wypuszczą, spodziewam się że przestanie nad gazetami ślepić, a nauczy się porządnie grać w wiska. — Pani Łobzowska kilka razy westchnąwszy, rzekła do córki — Widzisz Ewciu! *j'avais un pressentiment*, że mu się cóś złego przydarzy! ten sen, ta rzeka, te kwiaty, wszystko to od razu mi się niepodobało.

Ewa zatrzęsła się. Mamo! rzekła w pół-głosa, zapomnijmy już nazawsze o tym śnie!

Łaszcz który w tej chwili wszedł do pokoju, przyjęty został z prawdziwą przyjemnością, bo stary skrzętnie zbierał krążące po okolicy wieści o wojnie i zawsze miał cóś nowego do powiedzenia. Zatrzymano go dość długo, a kiedy chciał się oddalić, P. Łobzowski oparł się temu zawoławszy skwapliwie—at, zjedz Waćpan z nami obiadek a potem

pogramy w Rumel-pikietę — licho z tą wojną! człowiek sąsiadów nawet nie śmie odwiedzać.

Przy stole Ewa szczególnie była grzeczna dla Komissarza i tak zręcznie rozmowę prowadziła że jej sam zapytał czy Stanisław ostatnią razą jak należy sprawił się w czytaniu?

— O bardzo Panu jestem wdzięczna, za fatygę jego syna — odpowiedniała; od pewnego czasu czuję się nieco słabą, a dziś więcej niż kiedy, głowa mnie boli okropnie, w oczach mi ciemuieje, tak dalece że xiążki czytać niemogę. A bez czytania mi nudno. Co na wsi robić jeżeli nie czytać cóś pożytecznego? Sam Pan powiedz?

Łaszczowi niezmiernie podobało się to ostatnie zdanie, i ujęty odwołaniem do jego osobistej decyzii, zawołał ze szczerą radością — a możeby i teraz posłać po chłopca żeby znów czytał?

— Jeżeli to kawalerowi niebędzie przykro?

— Co to przykro? bardzo ja na to uważam czy to dla niego przykre albo przyjemne! lepiej żeby się nauką zajął niż ma chodzić tam po domu jak mruk i ciągle tylko o wojaczce rozmyślać. Czytać xiążkę to *profit* oczéwisty!

— Czy wojskowość bardzo się podoba P. Stanisławowi?

— A, na nieszczęście podoba mu się! Widzi że naokoło młodzi ludzie garną się do wojska, to i on chciałby iść za ich przykładem, bo i w nim krew szlachecka a nie woda! Ale cóż robić kiedy to być niemoże.

— Dla czego?

— Ba, dla czego? dla tego że ja niechcę! Alboż to ja dla tego tyle kosztu łożył, tyle lat go do szkół posyłał i

w Płocku i w Warszawie żeby potem cielęcą skórę na plecach nosił albo konia zgrzebłem czyścił? Wszakże to syn powinien na starość być rodzicom pomocą, a tej pomocy oczekiwać od wojaka, to podobno na jedno wychodzi co gruszek szukać na wierzbie. Jeżeli go niezabiją na wojnie to się rozhultai i o Bogu i rodzicach zapomni. Nie — już ja powiedziałem Panu Studentowi że się ma w Trybunale forytować.

— Bardzo słusznie! to najpiękniejsza karjera! będzie Adwokatem, Mecenasem, dorobi się znaczenia i pieniędzy! winszuję Panu żeś mu tę drogę wybrał.

Stary niezmiernie się ucieszył że nawet lekkomyślna Ewa zdanie jego potwierdziła. Posłał natychmiast po syna i spokojnie siadł do Rumel-pikiety.

Po niejakim czasie przybył Stanisław. lecz tak był zmieszany, tak nieprzytomny, że gdyby ojciec niebył zajęty kartami i mógł się był przysłuchać nieskładnym odpowiedziom jego na pytania kobiet, byłby go potem porządnie wyburczał w domu. Wszakże P. Kasper zbyt gorąco liczył grę żeby aż na drugi koniec pokoju mógł sięgać uwagą, skończyło się więc na tem że obecność syna wtedy dopiero stała się przedmiotem jego uwagi, kiedy donośnym głosem zaczął czytać Krasickiego Wojnę Chocimską, i swoją deklamacją liczyć mu przeszkadzał.

— Co to Waść wyrabiasz? zawołał nagle P. Łobzowski, 65 a potem 86! — Hola! to się niegodzi! Numeracja niechrześciańska! protestuję!

— Ale bo — rzekł Łaszcz, i podczesawszy czuprynę zwrócił się ku czytającemu synowi.

— A co takiego? jaka racja, że zła ummeracja?

— At, i jegomość Dobrodziej wiersze składa! — Tać to wiersze wszystkiemu przyczyną.

— Jak to? moje wiersze? czy złe, czy co takiego?

— Aj, nie te, a at, tamte co mój chłopiec tak głośno deklamuje że aż mi liczyć przeszkadza.

— A to co innego! to my wróćmy do 65 a oni niechaj sobie wędrują do drugiego pokoju.

Na rozkaz ojca, Ewa poprosiła Stanisława nietylko do drugiego lecz do czwartego pokoju i tam jak najdalej usiadłszy kazała mu czytać po cichu żeby przypadkiem grającym nie przeszkadzał. Rumel-pikieta ciągnęła się do wieczerzy i tyleż czasu trwało czytanie Wojny Chocimskiej albo raczej rozmowa między Ewą i Stanisławem. Naturalnie że cała ta lektura była tylko przygotowanym manewrem dziewczyny która postanowiła sobie stanowczo o czemś pomówić z niedoświadczonym Studentem. Widać ża chodziło jej o coś bardzo ważnego, i że niełatwo dopięła swego celu, bo kiedy oboje wrócili do salonu, twarz Ewy lubo zachowała jeszcze na sobie ślady tej okropnej burzy która jej duszę zawichrzyła, jednakże była już wypogodzona i jasniała wyrazem tryumfu — przeciwnie czoło Stanisława zasępiła jakaś myśl głęboka, ciężka, nowa dla niego i ryła na nim ostre bruzdy: Gdyby nie płomienne spojrzenia, które niekiedy zwracał ukradkiem na młodą syrenę, można by sądzić że z jej powodu dotknęło go jakieś wielkie nieszczęście.

Przy wieczerzy, rodzice zauważali że Ewa widocznie ma się lepiej i przypisując to wpływowi czytania dziwne ztąd wyprowadzali wnioski. Przy tej okoliczności niemało pochwał zlało się na Wojnę Chocimską. Tylko stary Łaszcz niechętnie słuchał tej rozmowy, bo w zmienionej twarzy Stanisława zdało mu się widzieć odświeżoną czytaniem wierszy tęsknotę do wojska. Ba! pomyślał sobie, niemogli znaleść drugiej xiążki! co to chłopcu czytać wiersze o wojnie kiedy on i bez tego rwie się do niej. Wyraźnie podleli oleju do ognia. I powiadają jeszcze że te wiersze pisał Biskup czy nawet Arcybiskup? nigdy temu nieuwierzę, żeby święta osoba namawiała ludzi do morderstwa! Ile mnie wiadomo, niebyło u nas w kraju takich Biskupów. Oczywista *kalumnja!*

Nazajutrz Ewa spała do południe, pokojówka jej to samo. A jednak kiedy siadła do śniadania zdała się być niewywczasowaną. Stanisław tego rana był blady jak trup. Matka przelękła się obaczywszy go tak zmienionym, a P. Kasper pierwszy raz spytał go z nieukrytą troskliwością czy nieczuje się być chorym?

— Niech Jegomość Dobrodziej będzie spokojnym — odpowiedział młodzieniec — jak mi Bóg miły zdrów jestem, tylko mi markotno.

— Aha, podchwycił stary zwracając się do matki, mówiłem że te głupie wiersze o wojnie do dobrego nie doprowadzą! Powiadam Waści żebyś o tém zapomniał. Ot, masz świeży przykład z Pana Prądnickiego, jak to źle palec położyć do ognia. Pokazuje się teraz że chciał jakiegoś Au-

stryaka wielkiego przyjaciela swojego z niewoli uprowadzić. I cóż? celu swego niedopiął a sam przepadł gdzieś i śladu po nim nawet nie zostało, Powtarzam, przestań Waść myślić o wojaczce. Idź lepiej na polowanie, to się rozweselisz. Życie czynne pomaga do zdrowia i do spokojności. Weź fuzją i marsz do lasu, a żeby mi dziś wieczorem powrócić z torbą naładowaną.

Stanisław z lekka się uśmiechnął kiedy ojciec mówił o zniknieniu Walerego, lecz nagle smutek ocienił jego twarz, pożegnał rodziców i poszedł na polowanie.

— Ale, ale rzekł Łaszcz do żony kiedy syn się oddalił, piękne polecenie dano mi we dworze. Zgadnij czego chcą odemnie?

— A co takiego? spytała Komissarzowa.

— Niestrachaj się Teklusiu, odezwał się stary, nie jest-ci to kryminał co mam zrobić, wszakże przyznam ci się żebym wolał nie mieszać się wcale do tej sprawy. Wczoraj po wieczerzy pan wziął mię na stronę i rzekł — Wpan zapewne wiesz, bo to na nieszczęście nie sekret w Rozalinie, że moja córka przez dziecinną płochość okazywała Panu Waleremu Prądnickiemu więcej względów niż się należało i tém ośmieliła go do zuchwałego zamiaru pozyskania jej ręki. Może być że czuła nawet dla niego pewne przywiązanie. Czy tak było lub nie, teraz jest rzeczą zupełnie obojętną, bo Ewci to dzieciństwo już z głowy wywietrzało a P. Walerego austryacy z placu uprzątnęli. Jeżeli został przy życiu — czego mu z całego serca życzę, to kiedyś powróci do swego majątku, jeżeli zabity, to ktoś z krewnych spadek

po nim weźmie — w każdym razie zostaje mi jeden jeszcze interes do załatwienia w tej sprawie, i z tym udaję się do ciebie P. Kasprze. Przeżyliśmy z sobą niemało czasu; — zdaje mi się że mam prawo polegać na przyjaźni Wpana i jego dyskrecii?

Ukłoniłem się tylko nisko i czekałem co dalej powie. Myślałem że chce żebym mu pieniędzy dostał na zapłacenie jakiego długu zaciągniętego u Pana Prądnickiego.

— Otóż widzisz Acpan — rzekł P. Łobzowski, wiem ja to z doświadczenia że kiedy młodzi się kochają to nie obejdzie się bez tego żeby listów romansowych do siebie niepisali. Supponuję że i moja córka dopuściła się tej nieroztropności i zapewne sama jej teraz żałuje. Niechcę ją o to pytać, bo mi żal biedną dziewczynę doprowadzać do konfuzii, a jednakże chciałbym wiedzieć o tém z pewnością, i gdyby podejrzenie moje było prawdziwém, to pragnąłbym listy Ewy wydobyć z rąk P. Walerego lub jego sukcessorów. Teraz zdaje mi się najlepsza do tego zręczność — Dom P. Prądnickiego został bez gospodarza....

— Jak to? przerwałem zdziwiony — Jegomość byś chciał gwałtu użyć?

— Ach! co też Waści przychodzi do głowy — odpowiedział niecierpliwie — po co tu burdy robić? Wiesz Waść że w porządnym towarzystwie, młodzi ludzie kiedy z sobą zerwą, to sobie dobrowolnie oddają całą romansową korrespondencją. Tuszę, że P. Walery pewnie by to samo uczynił, wszakże poniewasz go teraz niema w domu, to jego

kamerdyner francuz powinien odszukać te listy i oddać Waszmości.

— Ale jakże ja się z nim rozmówię?

— Alboż on zupełnie po polsku nierozumie?

— Podobno że się nie nauczył niczego.

— No, to przywieź go tu do swego domu, żeby ani żona ani córka moja nic o tém niewiedziały. Potém daj mi znać, to już ja sam ten interes z nim załatwię.

Otóż widzisz Teklusiu jaka to sprawa. Nie kryminał w prawdzie a wszakże podobno i niezupełnie poczciwa. A bądź co bądź trzeba jechać, bo przyrzekłem.

Pod wieczór Łaszcz przywiózł francuza i poszedł do dworu zawiadomić swego pryncypała, ktory zostawiwszy go z kobietami, sam udał się do jego domu. Skoro znalazł się sam na sam z kamerdynerem i opowiedział mu swoje żądanie, francuz wyznał że istotnie listy Ewy znajdują się w szkatułce jego pana, lecz zarazem spytał z wszelką grzecznością dla czego by niezaczekać powrotu P. Walerego i od niego tych listów się dopomnieć? P. Łobzowski oświadczył że córka jego może w prędkim czasie wyjść za mąż a termin powrotu Walerego a nawet pewność czy żyje lub nie, nie są wiadome. Używał całej wymowy żeby przekonać przeciwnika że ma prawo żądać od niego korrespondencii swej córki, lecz francuz zbijał wszystkie jego dowody i tyle tylko przyrzekł że jeżeli za dwa miesiące los jego pana nie będzie dostatecznie wiadomy a Panna Ewa będzie wychodziła za mąż, w takim razie listy wyda.

P. Łobzowski wrócił niechętny do dworu i wziąwszy

Łaszcza na bok polecił ażeby w swoim czasie dopomniał się u francuza o całą korrespondencją córki. Potém siadł z nim do Rumel-pikiety, a kobiety znów posłały po Stanisława.

Wysłuchawszy opowiadania młodzieńca o polowaniu które mu się wcale niepowiodło, Ewa, za pozwolenium matki wyszła z nim do drugiego pokoju, i tam dała mu czytać w głos jakiś romans rycerski, tłumaczony z francuzkiego. Autor, opisywał podług ogólnej w owym czasie recepty, czułą miłość jakiegoś giermka i nieśmiałą wzajemność młodej córki zamożnego xiążęcia, wikłał przygody i niebezpieczeństwa w których giermek zawsze okazywał dowody szlachetności i niepospolitego męztwa i tak posuwając swego bohatera coraz na wyższe szczeble zasługi rycerskiej, skończył nareszcie na przewidzianém od czytelnika weselu jego z nadobną xiężniczką. Romans był niewielki, Stanisław w lot go przeczytał do wieczerzy i złożywszy xiążkę rzekł z westchnieniem — szczęśliwe to były czasy!

— Jakie czasy? podchwyciła Ewa.

— Te, kiedy giermek mógł przez swoję waleczność pozyskać i złote ostrogi i sławę i co droższe nad to wszystko, serce xiężniczki!

— Albož to dziś rzecz niepodobna?

— Ach, dziś! — jęknął Stanisław i odwrócił się z niechęcią.

— Tak! rzekła Ewa — masz pan słuszność. Dziś złotych ostróg już niedają i to szkoda. Wszakże sądzę że i żelazne mogą je zastąpić. Czy tak?

— Ostrogi to najmniejsza rzecz — ale reszta!

— Więc o sławę panu chodzi? co do tego, zdania nasze są cokolwiek różne. Sądzę że pan utyskujesz niesłusznie. Cóż to, czy czasy nasze tak niefortunne żeby młodzieniec, tęskniący do rycerskiego zawodu, niemógł sobie znaleść szranków dla popisu? żeby szlachetność, męstwo, i zasługa niezarobiły sobie u ziomków na dank, u kobiet na względy? O mylisz się pan całkowicie! nie czasy winić należy lecz samą zniewieściałą młodzież. Alboż wojska niemieckie nie plądrują po kraju? alboż kraj nieprzywoływa swych synów pod sztandary? alboż krew oddawna już nie leje się na rodzinnych polach? Oto droga do sławy otwarta, ale cóż? młodzież szuka tej sławy nie na polach bitew, lecz jak najbliżej od mamy i papy, w lesie, polując na bekasy! A potém jeszcze przymawia kobietom że tych wielkich czynów cenić nieumieją.

Stanisław wysłuchał tej niespodzianej wymówki prawie ze łzami wstydu. Wszystkie jego żołnierskie zapały posłuszeństwem synowskim zagłuszone w piersi, wybuchły i rozpłomieniły mu wyobraźnią. Czarujący obraz zawodu wojskowego, krwawe bitwy, huk armat, attaki piechoty i kawalerii, życie obozowe, stopień oficera, krzyże i sława, uśmiech Ewy wywołany odgłosem jego zasług, jej miłość i nareszcie nadzieja pozyskania jej ręki, wszystko to w dziwnym blasku zajaśniało w jego umyśle. Wstydził się że dotąd siedzi u rodziców za piecem, kiedy los zdaje się powoływać go do najświetniejszych zaszczytów, i w tej chwili gotów był wyłamać się z karbów posłuszeństwa synowskiego,

zapomnieć nawet na czułą miłość matki i uciec do wojska.

Przenikliwa Ewa dostrzegła natychmiast co się działo w duszy niedoświadczonego młodzieńca, i podżegając jego nieśmiałość, podnosząc nadzieje, łudząc go oznakami udanej tkliwości, zostawiła w przekonaniu, że skoro tylko się dosłuży szlif oficerskich, z roskoszą odda mu rękę — że tej szczęśliwej chwili oczekiwać będzie z tęsknym upragnieniem!

Wieczerza którą niebawem podano przeszkodziła mu uciec do wojska, a stary Łaszcz jedném spojrzeniem utwierdził znów powagę władzy rodzicielskiej która mimo jego wiedzy tak mocno była się na moment zachwiała! Wszakże ta głównia rozżarzona którą Ewa maleńką rączką rzuciła w serce młodzieńca, niedawała mu już odtąd pokoju i czyniła go tém nieszczęśliwszym że będąc dobrym synem niechciał się sprzeciwiać woli ojca, a prośby które ze łzami zanosił do matki, i nawet desperacka rezygnacja z którą rzucił się rodzicowi do nóg błagając o pozwolenie zaciągnienia się do szeregów, zostały bez żadnego skutku. Nawet protekcja P. Łobzowskiego, którego córka najusilniej prosiła o wstawienie się za Stanisławem, nic niepomogła. Stary Łaszcz wszystkim wręcz odpowiedział że syn za nadto już dorosły iżby go mógł uwiązać na sznurku, lecz jeżeli by się odważył przestąpić niezłomną jego wolę, to chociażby został nawet Generałem, błogosławieństwa mu swego odmówi i jako niegodnego wyrodka wyprze się.

Ten stanowczy wyrok zamknął wszystkim usta. Łaszcz zupełnie się uspokoił i zostawił synowi wszelką swobodę

rozporządzenia swoim czasem, zapowiedziawszy mu tylko że po wojnie, której pomyślny koniec można już było przewidywać, natychmiast wyprawi go na Trybunał.

Tym czasem szale Bellony stanowczo przechylały się na stronę rycerstwa xięstwa Warszawskiego, lecz ażeby dać o tém dokładniejsze pojęcie, nie odrzeczy będzie chociaż w kilku słowach skreślić działania tej pamiętnej kampanii.

Austrja w 1809 roku wystawiła przeciw Francii do 300,000 wojska i 800 dział. Oprócz tego rezerwy jej licząc i węgierską *insurrekcją* liczyły do 230,000. Z tej pół miljonowej armii 177,000 pod dowodztwem Arcyxięcia Karola wkroczyło do Bawarii, 47,000 z Arcyxięciem Janem do Włoch, 10,000 pod naczelnictwem Markiza Szatelera przez *Pusterthal* i *Brixen* poszły podać rękę powstańcom Tyrolskim i nareszcie 30,000 piechoty, 5,000 kawalerii przy 94 działach, pod dowództwem Arcyxięcia Ferdynanda miały wtargnąć w granice Xięstwa Warszawskiego.

Francuzi skierowali na Dunaj 140,000 swoich i 80,000 sprzymierzonych niemieckich wojsk, a 50,000 do Włoch. Oprócz tego na ich stronie był sprzymierzony 30,000 rossyjski korpus Xięcia Golicyna, przeznaczony do działań przeciw Galicii i wojska Xięstwa Warszawskiego. Oczewiście że walka w granicach xięstwa miała składać tylko ustęp wielkiego zapaśnictwa dwóch zachodnich Mocarstw, niemniej jednak można powiedzieć że w skutek politycznej zależności ówczesnego kraju polskiego od korony francuzkiej, dalsza jego exystencja i wszystkie nadzieje polepszenia bytu zależały więcej od rozwiązania tego ustępu niż od wypadków

na głównym teatrze wojny, byleby ten tylko niebył zupełnie niepomyślny dla Francii.

W początku marca Król Saski przybył do Warszawy i polecił zebranym sejmującym stanom uchwalić środki obrony kraju. Armia liczyła 12 pułków piechoty z których 3 znajdowały się we Francii i 1 w Gdańsku, 6 pułków kawalerii, 9 kompanii pieszej i 1 konnej artylleryi i 3 kompanje saperów. Cała siła zbrojna w kraju wynosiła 17,400 własnego i 3,400 saskiego wojska. Sejm uchwalił zaciąg 8,000 konskryptów.

Pierwsze wiarogodne wieści o zamiarach austryjaków odebrano w Warszawie w połowie kwietnia, to jest wtedy kiedy arcyxiąże Ferdynand zebrawszy swój korpus u *Odrzy-Woli* przeprawił się przez Pilicę u *Nowego-miasta*. Xiążę Józef Poniatowski zaledwie z 14,000 zdołał mu zastąpić drogę pod *Raszynem*, lecz pomimo heroicznej obrony, straciwszy w bitwie 1,500 ludzi i opuszczony od saskiego żołnierza musiał się cofnąć nocą do Warszawy. Niebawem, stolica, na mocy zawartej kapitulacii została zajęta przez nieprzyjaciela, Praga jednak została przy nas i garnizon jej pod dowództwem walecznego pułkownika *Hornowskiego*, zbrojnym swoim widokiem podnosił ducha mieszkańców lewego brzegu Wisły. Szczątki armii cofnęły się na *Narew* a Rząd narodowy przeniósł się do Tykocina.

Austryjacy obchodzili się z mieszkańcami Warszawy niezmiernie łagodnie i ostróżnie stosując się w tém do manifestu którym Cesarz Franciszek wzywał polaków do poddania się jego ojcowskiemu berłu. Hornowski był im solą

w oku, przeprawili się więc przez Wisłę pod *Górą* i awangarda ich pod dowództwem Mohra zaczęła sypać szaniec przedmostowy u *Ostrówka* ażeby zapewniwszy sobie komunikacje na obu brzegach Wisły, wziąć Pragę. Xiążę Józef zmiarkowawszy ich zamiar pobił Mohra pod *Karczewiem*, *Radzyminem* i *Grochowem*, zdobył niedokończony jeszcze szaniec pod Ostrówkiem i zmusił nieprzyjaciela bez żadnego sukcessu wrócić na lewy brzeg Wisły. Po tym wypadku Arcyxiążę z częścią sił swoich pociągnął ku *Toruniowi*, owładnął szańcem przedmostowym, lecz sama twierdza trzymała się uporczywie, co wreszcie zmusiło austryjaków do odwrotu ku Warszawie, tym bardziej że właśnie w tym czasie Xiąże Józef wzmocniwszy się na prawym brzegu Wisły, ogłosił powstanie, zdobył *Lublin*, *Sandomierz* i *Zamość* — Generał Dąbrowski wdarłszy się z jednym szwadronem do *Poznania* zaczął uzbrajać Wielką Polskę — rossyjski korpus Xięcia Golicyna posunął się ku granicom Galicii, *Sztuart* dowodzący garnizonem *Częstochowy* zmusił do odwrotu austryacki oddział *Grammonta* który tę forteczkę oblegał. Tak nieprzyjazny obrot był powodem że austryjacy 2 Czerwca opuścili Warszawę i cofnęli się aż do Pilicy. Generał Zajączek ścigał ich, lecz pobity przez *Mondeta* pod *Jankowicami* odstąpił przez *Kozienice* do *Góry* (blisko Puław). Arcyxiąże przyłączywszy do siebie wojska *Geringera* i *Mondeta* w połowie Czerwca, pomimo mężnej obrony Generała Sokolnickiego wziął Sandomierz przez kapitulacją, na mocy której wojska polskie opuściły twierdzę ze wszystkiemi honorami wojskowemi. Xiąże Józef

przeszedłszy w Puławach na lewy brzeg Wisły i połączywszy się z oddziałami Sokolnickiego i Dąbrowskiego z 23,000 już armią, szarpiąc nieprzyjaciela pod *Żarnowcem*, *Xiążem*, *Miechowem*, i zmuszając go do nieprzerwanego odwrotu, nareszcie w miesiącu Lipcu wszedł do Krakowa. Cała wschodnia Galicja, zajęta przez nasze wojska, została przy zawarciu pokoju przyłączona do Xięstwa Warszawskiego.

Pośród przewrotów tego krwawego dramatu przechód bokowego oddziału kolumny Austryackiej która się kusiła wziąść Tozuń lubo niezakłócił spokojności Rozalina, przecie jak widzieliśmy stał się ostateczną przyczyną tajemniczej śmierci Walerego. Przy powrócie tego samego oddziału, po bezskutecznym oblężeniu, właśnie kiedy przechodził przez Rozalin w nocy, zapaliła się karczma i zgorzała do szczętu. Podejrzenie o umyślne jej podpalenie padło naturalnie na nieprzyjaciela. Niektórzy z mieszkańców lubo widzieli że austryacy śpiesznie uchodzą ze wsi nieżądając nawet jak pierwszą razą liwerunku, przecież nieśmieli żydowi arendującemu karczmę podać najmniejszej pomocy, a niektórzy z nich niebardzo się gniewali o to że pożar razem ze drzwiami karczmy zniweczy i te kreski podwójnej kredy, któremi Herszko długi ich zapisywał. Jakkolwiek bądź, przed świtem, biedny żyd z żoną i dziećmi, oprócz jednego które zgorzało, siedział w ponurém milczeniu na zgliszczach, i gorzkie łzy wylewał nad swoją niedolą. Wieśniacy z litości okryli ich swoim odzieniem i obdarzywszy wedle możności ofiarowali przytułek w stodole, mając sobie za skrupuł po

tomków Izraela zaprosić do chaty, gdzie na ścianach wiszą obrazy Zbawiciela przez nich ukrzyżowanego, Najświętszej jego Matki i świętych pańskich.

Stary Łaszcz dopiero rano dowiedział się o pożarze i uważając go za jedno ze zwyczajnych nieszczęść towarzyszących każdej wojnie, westchnął tylko, a potém spokojnie siadł do śniadania, lecz zaledwie spojrzał na swoją żonę zląkł się jak gdyby kto nóż skierował przeciw jego sercu. Co tobie niewiasto? zawołał drżącym głosem — żeś taka blada i przestraszona?

— Stasia dotąd niema! — odrzekła nieśmiało.

— Jakto niema? wszakże wczoraj powiedziałaś mi że wróciwszy z polowania natychmiast spać się położył. Czyliż by w nocy dom opuścił?

— Daruj mi Kasperku; — skłamałam żebyś się na chłopca nie gniewał. On wcale niepowrócił z polowania.

— Hm! mruknął Łaszcz z pod wąsa i gwałtownie targnął się za czuprynę, co zawsze było znakiem gniewu. Zleś Acpani zrobiła żeś mi prawdy niepowiedziała! Kłamstwo pierwszy gradus do piekła. Jakież ja teraz będę miał zaufanie w języku Acpani?

— Daruj, daruj Kasperku! wszak to pierwszy raz w życiu i tylko dla syna.

— Właśnie to źle że dla syna! Zle — bardzo źle!

Komisarzowa szlochała, Łaszcz chodził po pokoju zachmurzony i zrzędził na nieroztropność matek co pieszczą dzieci, osobliwie synów, a tym czasem rozmyślał gdzieby tak długo mógł się bawić Stanisław? Nareszcie spostrzegł-

szy że żona coraz mocniej szlocha, zawołał łagodnym już głosem — No cóż tam wielkiego że chłopiec na noc do domu niepowrócił? Teraz lato, wilki go w lesie nie zjadły, a najpewniej zaproszono go gdzieś w sąsiedztwie na hulankę. Może w tym czasie kiedyś ty przez całą noc oka niezmrużyła, bo widzę wyraźnie że tak było, on sobie wesoło się bawił. Bądź spokojna, jestem pewny że na obiad powróci. Potém zjadłszy na prędce śniadanie wyszedł z domu rozpatrzeć szkodę od pożaru.

Przechodząc koło dworu ujrzał żyda pogorzelca, który stał pod wrotami nieruchomy jak słup, w głębokim zamyśleniu.

— Herszko! — zawołał Komissarz.

— Aj waj mir! — jęknął żyd niepatrząc na niego.

— Herszko! słyszałem o twoim nieszczęściu, żal mi ciebie biedaku, ale cóż robić? Tak się Bogu podobało. Bądź jednak spokojny, pan ci da zapomogę i my cię opatrzemy wedle możności, to się powoli straconej chudoby dorobisz.

— Aj waj mir! aj waj mir! krzyknął znów karczmarz głuchym, przerażającym głosem.

— Co tobie Herszku? czy nie straciłeś kogo z familii?

— Aj waj mir! Lejbe się spalił!

— Twój mały Lejbuś zgorzał! o biedny ty, jak mi żal ciebie!

— Och! jaki to bul Lejbe! aj maj mir!

— A żona i drugie dzieci?

— Jest wszystki, jest, tylki Leibe nima!

— Ach! wierz mi Herszku że ciebie szczerze żałuję! Co o za smutek musi być dla matki!

— Och! niemow Jegimość!

— A czy niezgorzał kto z obcych?

Żyd spójrzał mu w oczy dziwnym jakimś wzrokiem, a widząc że był spokojny, odwrócił się i rzekł — na co tege? ja niepamiętam.

— Jakto niepamiętasz? niewiesz kto był u ciebie w karczmie kiedy się zapaliła.

— No i co jeżeli ja wiem?

— To mnie powiedz; może kto potrzebuje pomocy.

— Och! poco Acpan o to pitasz?

To ociąganie się z odpowiedzią zdziwiło Łaszcza i jął nalegać na żyda żeby mu prawdę powiedział.

— Acpan, dobry człowiek — odrzekł żyd — mojego Lejbę pożałował, nu! co ja Acpanu powiem? spitaj Acpan drugiego.

— Herszku! Herszku! zawołał stary, wyciągnąwszy ściśnięte dłonie i utkwiwszy w niego wzrok badawczy — na miłość Boską co to znaczy? gadaj zaraz co wiesz, niemęcz mnie jeżeli ci życie miłe.

Żyd drgnął i odskoczył krok w tył.

— No cóż? krzyknął Łaszcz.

— Nu, ja Acpana żałuje — Acpana syn się spalił!

Łaszcz opuścił ręce, zachwiał się i ledwie nieupadł na ziemię, lecz nagle zatrzymał się i z krzykiem Jezus, Marja, Józef! co tchu pobiegł do spalonej karczmy zwołując po drodze wszystkich wieśniaków których tylko spotkał.

Tym czasem ze dworu wyszła Antosia i kazała żydowi iść za sobą do pamienki, a gdy Herszko pogrążony w roz-

paczy zdawał się słów jej nierozumieć wzięła go gwałtem za odzienie i ciągnąc za sobą wprowadziła do pokoju Ewy.

Panna Łobzowska, z najtkliwszym jak się zdawało udziałem wypytała Herszka o szkodę poniesioną na chudobie i niezmiernie się zasmuciła kiedy jej opowiedział stratę swego Lejbusia.

— No mój Herszku! rzekła wysłuchawszy go, syna wrócić ci niemogę lecz co w mojej mocy to dla ciebie uczynię, i oprócz tego łaskę rodziców ci wyproszę.

To mówiąc podała mu spory pęk odzienia dla żony i dla dzieci na pierwsze potrzeby, a potem wsunęła mu w rękę kilka nowych holenderskich dukatów.

Jakkolwiek Herszko miał szczególne przywiązanie do swego Lejbusia i z powodu jego straty pogrążony był w rozpaczy, przecież na widok błyszczącego złota natura żyda przemogła na chwilę afekt ojcowski, schwycił dukaty i najczulsze swej dobrodziejce wynurzył podziękowanie. Ewa przypomniała mu że to jest tylko zadatek tego wsparcia które spodziewa się wyjednać mu od rodziców. Żyd zdziwił się niezmiernie, bo sądząc z doświadczenia kilku lat arendy, w czasie której nietylko żadnej łaski niedoznał od dworu lecz przeciwnie musiał się wszelkiemi sposobami ratować od straty — teraz na taką łaskawość nie był przygotowany. Biedny Herszko stał zamyślony, ściskając złoto w dłoni, i tak mało wierzył w to co słyszał że mimowolnie otworzył rękę i zaczął się przypatrywać dukatom, jak gdyby się chciał przekonać czy nie we śnie o nich

marzy? Widząc iż rzecz istotnie dzieje się na jawie, zaczął znów powtarzać nieumiarkowaną swoją wdzięczność.

— Dajże pokój Herszko! rzekła Ewa z uśmiechem, wam się zdaje że każdy Goim was nienawidzi i w nieszczęściu nieporatuje, a u nas wspierać bliźniego jest najświętszym obowiązkiem. Ale przestańmy o tém mówić. Opowiedz mi lepiej jacy to podróżni byli u ciebie wieczorem i co się z nimi stało?

— Ach! podróżni? herstu! jacy oni podróżni? u żadnego ani koni ani bryki niebyło. To dzieci szlachty z okolicy i syn Pana Komissarza.

— Stanisław? podchwyciła Ewa natężając uwagę.

— Ten sam, JWPanienko.

— Cóż oni u ciebie robili?

— Och! albo ja wiem? albo ja ich pitał? P. Stanisław był z fuzją i z torbą i z ptastwem zabitém, to pewnie w ten dzień polował, a drudzy dwaj razem z nim przyszli.

— No i cóż?

— No co? gadali, gadali o wojnie i wódkę pili.

— I Stanisław?

— Niech Pan Bóg broni! on jeden tylko kieliszek wypił i ten gwałtem mu wleli w gardło.

— Cóż więcej? powiedz mi wszystko.

— Nu, co więcej? była może 10 godzina kiedy P. Stanisław chciał do domu powrócić a drudzy go namawiali żeby z nimi w karczmie nocował i potem do wojska przystał, ale on się niezgadzał. Wszystko powiadał że ojciec i matka mu niepozwalają. Ja dla tamtych położyłem słomę

na nocleg, a P. Stanisław się żegnał i powiedział że żałuje bardzo, ale niemoże z nimi iść do wojska. Chciałbym was przynajmniej uczęstować przed rozejściem się — powiedział, chciałbym winka buteleczkę wam postawić, ale teraz już późno, a u żyda niema. — Wtedy kuchcik dworski co był w karczmie, przyskoczył do P. Stanisława i powiedział mu — ja panu przyniosę ze dworu. P. Stanisław niechciał, ale drudzy nalegali i posłali kuchcika po wino. Jakoż po niejakim czasie przyniósł butelkę tylko niepełną — widać po drodze sam się napił.

— Ukradł zapewne w kredensie!

— Albo ja wiem? albo ja jego pitał? tylko był pijany bo, jak wyszedł za drzwi, tak zaraz przy drzwiach w stajni upadł i zasnął. Mój Jankiel sam widział.

— Trzeba mu była kazać do dworu wrócić.

— Nu, kiedy on chciał spać? aj waj mir! jak zasnął tak już się więcej nieobudził!

— Jakto? spalił się? spytała Ewa i oczy jej zaiskrzyły się dziwnym ogniem.

— Herstu? jak pijanemu się niespalić kiedy ja i moja balabusta i dzieci co wódki niepijem ledwie uciekli z ognia. Uch! karczma stara, drzewo suche, a dach słomiany, jak tu się niespalić?

— A twoi goście?

— Och! oni pili wino i śmieli się z P. Stanisława że taką słabą głowę ma jak kura bo tylko jeden kieliszek wypił i już mu się w głowie zawróciło i więcej pić niechciał. A oni chwalili wino że dobre i wszystko wypili. A Panu

Stanisławowi było markotno że go do domu niepuszczali, siedział na ławie i wszystko myślał i myślał a potem zasnął. I oni popili się i na słomie zasnęli. A po północy karczma się zapaliła. Aj waj mir.

— I oni się spalili?

— Och! albo ja wiem? albo ja ich pitał? tylko ja ich już więcej niewidział.

— Żaden się z nich niewyratował?

— Och! podobno żaden!

— Szkoda tego dobrego Stanisława! rzekła Ewa z westchnieniem i twarz jej straciła dotychczasowy wyraz natężenia uwagi i spojrzenie przestało zatrzymywać się z badawczą ciekawością na żydzie — Szkoda! a jeszcze więcej mi żal ojca—nieszczęśliwego ojca!

Te słowa przypomniały Herszkowi stratę Lejbusia, porwał się za głowę: krzyknął z boleścią — albo ja nie biedny? Aj waj mir! aj waj mir!

Ewa nie kusiła się już uspokajać strapionego, lecz dała mu zebrać rzeczy dla familii i pożegnała zapewnieniem dalszej pomocy.

Tym czasem Łaszcz z kilkunastą wieśniakami z desperacką skrzętnością zajmował się uprzątaniem zgliszcza karczmy i rozpatrywaniem każdego przedmiotu który miał jakiekolwiek podobieństwo do szczątków ludzkiego ciała, lub odzieży. Rozrzucili całe rumowisko, znaleźli ostatki niedogorzałych goleni, rąk, nóg, głów, lecz wszystko to było tak strawione ogniem, tak zakopcone i zmienione iż niepodobna było wyrzec z pewnością czy Stanisław stracił

życie w tym pożarze lub nie? Że był w karczmie o tem świadczyła znaleziona od jego fuzyi lufa — lecz co się dalej z nim zrobiło? to była bolesna zagadka której poszukiwania Łaszcza nierozwiązały.

Już prawie wszystko było uprzątnione, a Komissarz stał ciągle na miejscu ze znalezioną lufą w ręku i dumał czy niewypada jeszcze uczynić jakiego poszukiwania? Kiedy jeden z wieśniaków, spostrzegłszy cóś opodal na drodze zawołał.

— Aj! a dyć tam człowiek leży!

Wszyscy pobiegli na to miejsce, a biedny ojciec najpierwszy, spodziewając się że może przynajmniej na pół żywego syna znajdzie. Niestety! omylił się — był to w samej rzeczy człowiek, lecz martwy zupełnie, i nie Stanisław ale żołnierz austryacki. Co on tam robił? trudno było zgadnąć, bo na ciele nie znaleziono najmniejszego znaku rany, tylko około szyj sine plamy. Chłopi patrzali na niego z zadziwieniem, czyniąc rozmaite domysły o przyczynie jego śmierci. Łaszcz który jej się natychmiast domyślił, zawołał — widzicie że go krew zabiła w czasie marszu — padł trupem i niepodniósł się. — Wieśniacy przeżegnali się pobożnie i jeden z nich odezwał się — A czy nie on to karczmę podpalił?

— A jużci pewnie on — odrzekli drudzy, kiedy go widoczna kara boska trupem powaliła.

W tej chwili przybiegł posłaniec od niecierpliwej Komissarzowej, z doniesieniem że Stanisława dotąd niema w domu.

— Och! może już i nigdy go niebędzie! zawołał Łaszcz podniosłszy wzrok ku niebu. Boże i Panie! widać podobało Ci się pozbawić mnie syna, bo gdzież by się podział kiedy fuzja jego tu, a on sam dotąd do rodziców niepowrócił!

Załamał ręce i zaczął głośno szlochać, aż się serce wieśniakom krajało od żalu. Nieśli go prawie pod ramiona, bo na nogach niemógł się trzymać od słabości, płakali z nim razem i prostemi słowy, wedle bogobojnych swych pojęć starali się pocieszyć go w strapieniu. Łaszcz ciągle powtarzał wśród łez — Dziecko moje, syn mój kochany, Staś mój nieżyje! Moj Staś opuścił mnie w starości, kiedy na nim spoczywały wszystkie moje nadzieje. O mój Boże! zá co mnie tak ciężko karzesz? Mój Staś! mój Staś!

Dopiero kiedy się zbliżyli do Komissarii, na mostku przez strumyk rzuconym Łaszcz nagle się zatrzymał, wyprostował się na nogach i rzekł do wieśniaków — Dziękuję wam dzieci za pomoc i wasze dobre serce, idźcie do domu, — ja dalej sam pójdę i muszę udać spokojnego, bo któż biedną matkę pocieszy? Kto o niej będzie pamiętał jeżeli ja ręce opuszczę. O Boże! Boże! jakże mnie ciężko doświadczasz!—lecz niechaj imie Twoje będzie błogosławione!

XII.

Boleść duszy bogobojnej ma tę może najwybitniejszą cechę że po wytrwaniu pierwszego ciosu nieszczęścia, nie przechodzi ani w chroniczną rospacz ani w czarną melancholją, w ktorej wszystko na świecie staje się dla człowieka nieznośném, lecz w spokojną rezygnacją. W takim stanie smutku połączonego z przekonaniem że Bóg daje dzieci i Bóg je odbiera i że sarkać przeciw Jego woli jest wielkim grzechem — znajdował się Łaszcz i jego żona po upływie kilku tygodni od śmierci Stanisława.

Wieczór był prześliczny jak zwyczajnie u nas w początku Czerwca. Słońce oblawszy zachód złotem i purpurą dopalało się na krańcach widnokręgu w ogromnym promiennym ognisku, bydło wracało z pola, ptaszki świegocząc wesoło zdały się opowiadać sobie przygody całodzienne, a ciepły wieczorny wietrzyk łagodnie szumiał między drzewami. Komissarz w białej parusinowej kapocie siedział z żoną w swoim małym ogródku i czytał głośno z familijnego exemplarza X. Skargi żywot S. Józefa patryarchy. Był to może już dziesiąty raz po spaleniu się karczmy, a

jednak Łaszcz i jego żona tak mocno byli zajęci tą historją jak gdyby im wcale niebyła znajoma. Kiedy doczytał do tych słów strapionego Józefa — «o synu mój, na jakąś śmierć przyszedł? O jako mam cię opłakać jedyna pociecho starości mojej? bym cię przynajmniej był pogrzebł i położył w grobie.» — Nagle łzy rzuciły mu się z oczu, położył xiążkę na kolanach, zdjął okulary i szlochając z pamięci już dokończył słów Jakuba — «już tak w płaczu i smutku dokonam, a pójdę w żałobie do syna mojego.» — Komissarzowa od samego początku czytania płakała po cichu, głowę na dłoń pochyliwszy, a teraz dała swobodę uczuciom serca i rzewnie jęczeć zaczęła.

Spostrzegłszy to Łaszcz, natychmiast otarł oczy chustką, westchnął i rzekł do żony — At, Teklusiu, już więcej nie będę czytał w głos historii o S-tym Józefie, bo to jakoś zawsze na płaczu się kończy. A co gorsza niemając oczewistych dowodów śmierci naszego chłopca, łudzimy się ciągle jakąś nadzieją że on jeszcze żyje i jak Józef ojca, kiedyś nas do siebie przygarnie. Może to i grzech nawet żądać wyraźnie cudu od Pana Boga. Lepiej dajmy pokój i nieczytajmy więcej historii S. Józefa tylko w dzień jego święta.

— Już to szósty raz Kacperku robisz to postanowienie odpowiedziała Komissarzowa, a ciągle o niém zapominasz.

— Ale bo historja widzisz tak szczególnie piękna i do łez poruszająca. A jak człowiek zapłacze i do Boga westchnie, to i na sercu lżej. W nocy znów jakby z oczéwistego miłosierdzia Boskiego, zawsze mi się śni że chłopiec żyje,

że się gdzieś dosługuje honorów, że się zrobił personatem, i prosi mnie żebym na starość przestał się biedzić a na jego chlebie odpoczął. Kto wie? może on istotnie żyje?

— Dałby to Bóg! i mnie się śni to samo.

— Ach! sen mara — podobno lepiej o tem zapomnieć. Jużci żeby żył, toby pewnie dotąd dał o sobie jakąkolwiek wiadomość. Ale zresztą jakżeby mógł zostać żywy kiedy Herszko sam widział jak po kieliszku wódki i po kieliszku wina w głowie mu się zakręciło do tego stopnia iż zasnął na ławie. Karczma słomą kryta i zapalona z góry i z dołu gorzała tak gwałtownie że zupełnie przytomny arendarz ledwie siebie i większych dzieci mógł wyratować. Cóż tu mówić o tych co głowę mieli trunkiem zawróconą!

— Ty ciągle utrzymujesz że karczma podpalona!

— To niezawodna! Opatrywałem jak najstaranniej zgliszcze — cały dach do szczętu zgorzał, podwaliny to samo, a środkowe bale na wysokości okien tylko się okopciły. Jakże to się stać mogło? czy to ja jedno zgliszcze w życiu widziałem? Oczewiście że domostwo podpalono z góry i z dołu. Jak się dach i podwalina spaliły, karczma musiała się rozsypać, ogień się rozrzucił i nie mógł całkowicie strawić srodkowych balów.

— Ale ktożby karczmę z dołu zapalał?

— Dla czegóż by podpalacz niemiał tego zrobić, kiedy Herszko na swoje nieszczęście cały zapas lnu, który od wieśniaków wziął w długu, rozłożył w tym dniu przy podwalinie dla przesuszenia — zresztą sama podwalina spróchniała zajęła się jak łuczywo.

— Aj te niemcy, żeby ich Bóg ciężko skarał!

— Wiesz Teklusiu! zawołał Łaszcz w pół głosa i oglądając się na stronę czy go kto niesłyszy, niech to zostanie między nami, ale ja mam podejrzenie że to nie austryacy karczmę podpalili.

— A któżby?

— Kto? ıego niewiem chociaż to się z czasem może odkryje. Żadna zbrodnia się nie utai. Na to Pan Bóg w Niebie. A co się tycze niemców, to powiedz mi kobieto, na coby im przy tak śpiesznym odwrócie do Warszawy, jedną tylko karczmę na całej drodze zapalić i to mianowicie w Rozalinie? Po co by im bez potrzeby oburzać na siebie ludzi, kiedy tego excessu od samego Torunia po trakcie nigdzie się niedopuścili? Żeby to jeszcze jaką bogatą karczmę którą by mogli zrabować, ale taką nędzną jak nasza! — nie, to nie austryacy! to ktoś inny zrobił. Mam ja już niektóre poszlaki.

— O? doprawdy? — a jakie?

— Naprzód kiedy o tej mojej suppozycii mówiłem niedawno we dworze, to Jegomość i Imość słuchali mnie cierpliwie, i nawet już zgadzali się na moje zdanie, lecz Panna Ewa od pierwszego mojego słowa, jakoś przemieniła się w twarzy, a potém tak gwałtownie zaczęła dowodzić, że to sztuka niemiecka, żem się zdziwił. Po co by jej tak mocno obstawać za tem że austryacy karczmę podpalili?

— Po co? — po to że niemcy to zrobili!

— Dobrze, dobrze, to jedno; — a drugie, wiesz że na ścieżce co od dworu idzie prosto do karczmy, na drugi dzień po pożarze, znaleziono rozsypane siarniczki?

— Prawda! — cóż ty z tego wnosisz?

— Co wnoszę? hm! to wnoszę że podpalacz albo wyszedł ze dworu albo przynajmniej po dopełnieniu zbrodni do dworu wrócił.

— Ale wstydź się Kacperku! ludzie dworscy wszyscy poczciwi.

— Ba! alboś ty ich spowiadała? Bóg tylko wie jacy oni w duszy, a zresztą i poczciwy może się dać skusić do złej sprawy.

— Nacóż by się komu przydało biednego Herszka z kretesem rujnować? Przeciwnie, widzisz że go we dworze hojnie obdarzono, że się z nim nadzwyczaj ludzko obeszli; co tobie do głowy przychodzi?

— Ja też powiadam że wszystkiego jeszcze niewiem, i że reszta później się wyda. Słuchaj reszty. A butelka wina skąd się wzięła? czy nie ze dworu? A teraz nikt się nie przyznaje żeby ją dał kuchcikowi, i Panna Ewa bezczelnie posądza Stasia że namówił chłopca ukraść ją z kredensu! O żeby mi to kto z państwa powiedział w oczy, jak mi Bóg miły chociaż biedny jestem i stary ale bym mu odparł bez wahania się że jest podłym kłamcą, proch z obuwia bym otrząsnął na progu dworskim i poszedłbym z torbą raczej aniżeli tu dzień jeden zostać. Żeby mojego Stasia tak szkalować! ha! wstyd i hańba że tę potwarz Panna Ewa pierwsza wymyśliła! Co on jej kiedykolwiek złego wyrządził? poczciwy chłopczysko ostatniemi czasy piersi sobie zrywał a czytał i czytał jej w głos xiążki kiedy jej nudno było. I taka za to nagroda! tfu! — Przy tych słowach rozgniewany Łaszcz

wstał z miejsca, wziął pod pachę exemplarz X. Skargi a drugie ramie podał żonie i salwując się przed rosą wieczorną a śpiesząc na wieczerzę, wszedł do swego domku.

Na tém zatrzymały się podejrzenia Komissarza, który i w późniejszym czasie pomimo wszelkich badań i wywiadywań się, niemógł odkryć prawdziwego winowajcy pożaru. Czas upływał, nareszcie, już po oswobodzeniu Warszawy od nieprzyjaciela, przyjechał długo oczekiwany Hrabia Olborski.

Był to człowiek mający pod 50 lat, czerstwy zupełnie, krzepki, ruchliwy, na głowie dla zakrycia łysiny nosił perukę która go czyniła daleko młodszym niż był w istocie; żaboty jego odznaczały się najwyśmienitszym gustem, lubił szczególniej perfumy, mówił zawsze po francuzku, otwarcie się przyznawał że niema żadnego i niewierzy w żadne uczucie oprócz miłości własnej w tysiącznych jej odcieniach i przemianach, a całe postępowanie swoje w życiu sprowadzał jak się zdało do tego, żeby mu było dobrze i spokojnie na świecie. Dodawał tylko, że jeżeli można zaspokajając własne żądze niezaczepić interessu drugich, albo nawet być im pożytecznym, to przez grzeczność starać się o to potrzeba. Słowem był to Epikurejczyk z imaginacją poety, z sercem niezłym i manierą francuzkiego *petit-maitr'a* a przynajmniej za takiego chciał uchodzić. Naturalnie że z tej strony poznany, podobał się niezmiernie P. Łobzowskiemu i wzajemnie okazywał mu niemałą przychylność.

Hrabia lubił nadewszystko wygodę i spokojność. W podróż nigdy inaczej niewyjeżdzał jak z kucharzem, z zapasem wiktuałów, podróżną piwniczką, i nawet ze składanem łoż-

kiem i pościelą. Ludzie jego wyprzedzali go o całą stacją, dla tego żeby przybywszy na popas lub nocleg znalazł już wszystko przygotowane. Takim sposobem w Rozalinie przybycie jego zawczasu stało się wiadome. P. Łobzowski niezmiernie był kontent i postanowił tak szanownego gościa przyjąć z należytą okazałością. Jedna tylko okoliczność nabawiała go kłopotu, — niemiał pieniędzy; a reputacja jego jako dłużnika tak już była zepsuta w całym powiecie, że niedawno Łaszcz wręcz mu odmówił swego pośrednictwa dla nowego zaciągu. Oświadczył że zabiegi jego będą daremne. Na ten raz jednak P. Łobzowski spodziewał się Komissarza skłonić na swoją stronę wystawiwszy mu wymownie pobudki zmuszające go do zaciągnienia długu. Posłał czém prędzej po Łaszcza i po najmilszym przyjęciu go rzekł — kochany P. Kacprze najdalej za kilka godzin będziemy mieli honor oglądać Hr. Olborskiego, który nie uprzedziwszy mnie, zupełnie niespodzianie do nas gościć przyjeżdża.

— Rad jestem, odpowiedział Łaszcz obojętnie, domyślając się co dalej nastąpi.

— Ba! ja to samo bardzo rad jestem, ale nie oto chodzi P. Kacprze, — trzeba wystąpić jak się należy! bo to widzisz wygodniś, przyzwyczajony do dobrego życia, jak zobaczy że złe wino na stole, to wymyśli jakikolwiek pretext i swoim nas poczęstuje, jeżeli obiad mu do smaku nieprzypadnie, to z największą grzecznością swego kucharza zaproponuje — a ja niechcę w moim własnym domu dostać się na sumpt i wikt gościa. Cóż P. Kacprze? tyle lat z sobą

przeżyliśmy, nie jedną beczkę soli zjedliśmy razem; powiedz co tu robić? wszak ty znasz moje interessa tak jak swoje 10 palców, idź no do głowy po rozum i dostań dla mnie pieniędzy. Pożycz gdzie chcesz i jak ci się podoba, byle były.

Łaszcz spójrzał mu w oczy i rzekł — Jegomość Dobrodziej wiesz dobrze że w całej okolicy na żadną lichwę nikt nam grosza nieda.

— Ale zmiłuj się P. Kacprze — potrzeba mi koniecznie! niebędę przed tobą robił sekretu, bo to między nami zostanie — spodziewam się że moja Ewcia będzie wkrótce Hrabiną Olborską! wtedy i ten dług zapłacimy. Lecz cała ta sprawa zależy bardzo wiele od przyjęcia naszego drogiego gościa. Broń Boże spostrzeże niedostatek albo zły ton, wszystko przepadło! weźmie nas za hołyszów lub skępców i pojedzie sobie dalej. Czyliż ty P. Kacprze dla losu jedynego mego dziecka nic niezrobisz? Sam jesteś ojcem, zapytaj własnego serca a zrozumiesz w jakiej jestem obawie.

Łaszcz porwał się z miejsca i uszy sobie zatknął rękoma — Ach! po co to Jegomość Dobrodziej przypominasz mi że jestem ojcem, zawołał drżącym od wzruszenia głosem i łzy mu w oczach stanęły — byłem nim nie dawno i byłem szczęśliwy, lecz Bogu podobało się na starość pozbawić mnie jedynej podpory i nadziei — teraz cóż ja jestem? dziad nieprzytomny, roztargniony, do niczego niezdatny! O po co mi moją bolesną stratę przypominać.

— P. Kacprze, serce mi się kraje z żałości nad twoim nieszczęściem, zapytaj się żony, codzień z nią przypomina-

my sobie twego poczciwego syna, bośmy go oboje jak własne dziecko kochali — lecz niestety! strata twoja niewynagrodzona!

— At, przestańmy o tém mówić — odezwał się stary ocierając rękawem łzy co mu ciekły po jagodach.

— Ja też ci nie dla tego przypominam żebym serce twoje chciał na nowo rozkrwawiać, lecz i mnie samemu ciężko zapomnieć dobrego Stasia. A z kimże o nim pomówić jeżeli nie z ojcem.

— Na miłość Boga przestań Jegomość! — mówmy lepiej o interessie. Czego to Jegomość chce? dalibóg zapomniałem. W głowie jak w wiatraku; wszystko się kręci!

— Odwołuję się do twoich rodzicielskich uczuć mój P. Kacprze. Bądź moim wybawcą, dowiedź mi swojej przyjaźni. Dostań pieniędzy! jak Ewcia za mąż wyjdzie, co niezawodnie wkrótce nastąpi, to ten dług oddam co do grosza i z procentem.

— Zrobię to dla Jegomości ale nie dla Panny Ewy! Na nią jestem bazdzo zażalony. Wszak to ona pierwsza rozsiała najniegodziwszą potwarz na mojego biednego chłopca jakoby on namówił kuchcika co się spalił, ukraść z kredensu butelkę wina....

— Przestań, przestań P. Kacprze wierzyć tym plotkom które czeladź rozsiewa. Ewcia nigdy tego niemówiłą. To fałsz wierutny! Jakże, zmiłuj się, czy to ja raz widziałem jak płakała żałując Stasia i modliła się za niego?

— Panna Ewa płakała? modliła się? przerwał Łaszcz chwiejąc głową — to być niemoże!

*

— Ale tak jest w samej rzeczy, daję ci słowo honoru że tak jest!

— Niędawaj Jegomość słowa, co ja wiem tego mi i klinem nikt z głowy niewybije. Panna Ewa nigdy nieżałowała mego syna. Ale niechaj sam Bóg będzie dla niej sędzią, ja jej wszystko przebaczam!

— No cóż P. Kacprze? na czémże kończemy?

— Ha! zawołał Komissarz i poskrobał się po głowie. Przygotuj Pan skrypt na moje imie — co mam to dam.

— Albo ty masz pieniądze?

— Nic o tém Panu niemówiłem że mi Pan Bóg przed kilką laty dał niewielką sumkę, bom te pieniądze chował dla Stasia. Teraz co innego!

— Jakże to ci Pan Bóg dał? spytał P. Łobzowski zwracając przenikliwy wzrok na Komissarza.

— Co Jegomość Dobrodziej tak ciekawie na mnie patrzysz? Będzie temu 4 lata kiedym jeździł z Kalisza do Warszawy, na stacii w Pleckiej Dąbrowie namówiono mnie do kart. Bóg mnie z razu skarał za to żem się dał skusić, ale potem nietylko odegrałem swoje, lecz nadto wygrałem niezłe grosiwo. Z tego wychowałem syna i jeszcze mam remaneutu 500 talarów.

— 500 talarów! o mój wybawco! — i P. Łobzowski rzucił się Komissarzowi na szyję. O! jakże ci będę wdzięczny!

— Oddaj Jegomość tylko na termin.

— Bądź spokojny! to zupełnie pewne pieniądze. Idźże do domu a ja skrypt przygotuję.

Łaszcz oddalił się i po drodze myślał sobie — przegra-

łem wtedy pańskie pieniądze i pańskiemi pieniędzmi odegrałem się, grzechem byłoby żebym mu teraz odmówił pomocy — chociaż Panna Ewa może tego niewarta!

P. Łobzowski tym czasem pośpieszył do pokoju córki i siadłszy przy niej odezwał się — wiesz Ewciu żem dopiero co zrobił z siebie wielką ofiarę i bardzo przykrą — lecz potrzebną dla zapewnienia twego przyszłego losu.

— Słucham ciekawie — odpowiedziała Ewa.

— A jakże! wyobraź sobie *mon enfant*, musiałem z pół godziny prosić starego Łaszcza, pochlebiać temu błaznowi, i z ubliżeniem mego honoru płaszczyć się przed nim żeby mi dostał pieniędzy.

— Cóż się to ma mnie tyczeć?

— Naturalnie że to jedynie dla ciebie uczyniłem! za kilka godzin Hrabia Olborski będzie nakoniec naszym gościem — *Vous sentez bien* że go trzeba przyjąć przyzwoicie, a mówiłem ci nieraz jaki to wybrydniś.

— Cha, cha, cha! *cher papa!* zawołała Ewa z wielką wesołością — o tym projekcie wydania mnie za jakiegoś Hrabiego Sybarytę istotnie zdarzało mi się bardzo często słyszeć od papy, lecz sądziłam zawsze że to żart!

— Wcale nie żart moje dziecko! wkrótce go zobaczysz. Ewa wiedziała już od ludzi o bliskim przyjeździe oczekiwanego gościa, wszakże niepokazując tego bynajmniej na sobie spytała z udaném zadziwieniem — doprawdy?

— Niezawodnie!

— Dla czegóż papa pożyczasz pieniędzy?

— Ba! przyczyna bardzo naturalna — bo ich sam niemam!

— Cóż? czy jest przynajmniej nadzieja ich dostania?

— Łaszcz przyniesie natychmiast 500 talarów.

— 500 talarów? gdzież je tak prędko weźmie.

— Kto by się spodziewał że stary kutwa ma grosiwo? toć to on pożycza mi własnych pieniędzy.

— Cha, cha, cha, własnych! to jest zdartych z naszego majątku!

— *C'est possible!* powiada jednak że je wygrał przed kilką laty w karty. Zresztą gotów jestem zgodzić się z twojém zdaniem Ewciu. Ale kto go tam będzie kontrolował — dobrze że mi pożycza.

— Ja sądzę że nie należałoby trzymać wilka w oborze.

— A zmiłuj się Ewciu, on tyle lat u mnie służy, polubiłem go, przyzwyczaiłem się do niego, po cóż miałbym szukać drugiego coby mnie może jeszcze więcej okradał? — Czy niegniewasz ty się na starego Łaszcza?

— Ja? broń Boże! to on się na mnie gniewa za tego mazgaja Stanisława.

— Szkoda kuchcika! już się był przyuczył zastępować niekiedy kucharza. No, cóż robić? pomówmy o ważniejszych rzeczach. Eh bien! Ewciu, Hrabia wkrótce będzie.

— Jak przyjedzie tak sobie i wyjedzie.

— Jabym sobie tego wcale nieżyczył. Przeciwnie chciałbym żebyś z nim była grzeczna, bardzo grzeczna, żebyś mu się starała podobać.

— Cher papa! pocóż mi się tak dobijać ręki Hrabiego? czy ja sobie męża nieznajdę?

— Wierz mi moja Ewciu że takiego jak on nieznajdziesz.

Człowiek bogaty, ma 20,000 talarów rocznego dochodu, lubi żyć porządnie, ma związki w kraju i nawet niebardzo stary. Będziesz sobie panią Hrabiną, będziesz opływać we wszystko, jeździć w karetach, stroić się jak królewna, dawać u siebie świetne bale, widzieć u nóg swoich całe wyższe towarzystwo, wojażować za granicą, słowem wszystko co tylko pomyślisz natychmiast spełnioném zastanie. O, powtarzam ci Ewciu! zostanów się dobrze — takiego męża niełatwo znaleść. W całej Polsce może niema drugiego podobnego.

— Piękny obraz papa mi kreślisz! w samej rzeczy chciałabym tak żyć, ale pocóż mam wychodzić za starego, kiedy przy moim posagu, mogę wyiść za mąż wedle swego gustu i mieć prawie te same przyjemności?

— Więc ty się spodziewasz wielkiego posagu?

— Sądzę że kiedyś cały majątek mnie się dostanie.

— Naturalnie, że *wszystko* co mamy do ciebie należy; lecz to *wszystko* znaczy bardzo niewiele.

— Jakto? przecie papa bogaty?

— *Helas! ma chère*, kiedyś byłem nim — teraz. . . .

— Ach papo! powiedzże mi szczerą prawdę — Mama napomykała mi już że wiele straciliśmy, lecz nie chciałam temu wierzyć. I teraz nieuwierzę żebyśmy byli biedni — ja chcę być bogatą! ja niemogę pomyślić bez strachu żeby mi kiedykolwiek brakowało tych wygód do których przywykłam, żebym niemogła zaspokoić każdego swego życzenia. Wszak prawda papo? że to żart — my jesteśmy bogaci?

— Nie! odrzekł P. Łobzowski ponuro.

— Nie? więc my biedni? O! to niemoże być! gdzież się podział nasz majątek? Wszak klucz Rozalińśki w naszym ręku?

— Tak — ale długów mamy więcej niż wart majątek.

— I papa nie żartujesz?

— Bynajmniej! przysięgam ci że to szczera prawda!

— O ja nieszczęśliwa! krzyknęła Ewa — pocóżeś mi papa tego niepowiedział — póki żył Walery, to jest póki go Austryacy nie porwali — byłabym zupełnie inaczej postąpiła!

— Cóż to się ma tyczeć Walerego? spytał ojciec zdziwiony — wszak zerwałaś z nim i bez tej wiadomości? Cóż to cię teraz obchodzi?

Ewa milczała. Myśl jej zatrzymała się na okropnym dramacie śmierci Walerego, i budziła w jej duszy niewczesne zgryoty. Ewa kochała Walerego, a przynajmniej zdawało jej się że go kocha, i chciała wyjść za niego, będąc przekonaną że jej posag a jego mająteczkiem wystarczą im na całe życie. Gdyby była wiedziała że ojciec wszystko stracił, była by zapewne dała inny obrot swoim miłostkom. W tej chwili ostatecznie rada była z tego iż projekt jej ucieczki z domu rodzicielskiego nie udał się.

— O czém tak zamyśliłaś się? spytał ojciec.

— Myślę o tém odpowiedziała — czy będę mogła podobać się Hrabiemu, jak sobie papa życzysz.

— Ach moja Ewciu, komu ty się niepodobasz, jeżeli tylko zechcesz? Tać to ja żebym niebył rodzonym twoim ojcem, *parole d'honneur!* szalenie bym się w tobie kochał. Mów

z Hrabią zawsze po francuzku, bądź wesoła, dowcipna, wybrydna w gustach, chwal wszystko zagraniczne a gań nasze, przybierz ton wielkiej pani, xiężniczki udzielnej, i trzymaj go zawsze w odległości od siebie. Niepozwalaj mu nigdy być sentymentalnym albo poufałym w rozmowie, a czasami spojrzyj na niego łaskawie, uśmiechnij się, żartuj z niego i wyszydzaj jego zapały a ręczę ci że w kilka dni zwarjuje z miłości. Ale co tobie dawać lekcje Ewciu! wiem że ich niepotrzebujesz!

— Zobaczę papo, zobaczę. Jeżeli niebędę miała wyraźnej antypatii to przez posłuszeństwo dla rodziców wolę ich wypełnię.

— *Vous êtes une charmante enfant!* zawołał P. Łobzowski uszczęśliwiony i wyszedł przygotować skrypt dla Łaszcza, ktory niebawem przyniósł obiecaną summę.

Wkrótce też stanęła przed gankiem elegancka kareta zagranicznej roboty, zaprzężona czterma anglizowanemi końmi i Hrabia wyświeżony jak gdyby tylko co wyszedł ze swego gabinetu, wyskoczył z niej żwawo, ścisnął za rękę P. Łobzowskiego który wybiegł na jego spotkanie i wszedł do salonu. Tu przywitał gospodynię domu mnóstwem grzeczności i zręcznie zapytawszy o córkę, spokojnie dalej rozmawiał z rodzicami. Ewa nie kwapiła się do gościa. Kiedy nareszcie do salonu weszła, Hrabia powitał ją pełnym uwielbienia, zdziwionym wzrokiem lecz sam był tak zmieszany że chwilę został na miejscu i w roztargnieniu ledwie kilka słów mógł przemówić. Zarozumiałość światowego człowieka była całkowicie omylona. Hrabia sądził że ujrzy przed sobą piękną

twarzyczkę podobną do portretu na tabakierce który zwrócił na siebie jego uwagę, i który nawet uważał zbyt pochlebnym, lecz spodziewał się że żywa osoba, jest sobie zwyczajna szlachcianka, z wiotką, skromną postawą, ze spuszczonemi oczyma, która na widok nieznajomego mężczyzny i do tego Hrabiego, zaczerwieni się tylko i czém prędzej schroni się pod macierzyńską opiekę. Zamiast tego zjawiła się przed nim wspaniała kobieta z postawą Królowej, wysoka, czerstwa, w pełni rozwiniętego życia, siły i wdzięków, podobna do mistrzowskiego posągu Junony, z ognistym czarném okiem, którego spojrzenie zmierzyło go od stóp do głów jak przyszłego hołdownika, z uśmiechem nieco ironicznym, a do tego ubrana niezmiernie gustownie chociaż bez wszelkiej przesady w stroju. Pozwoliwszy Hrabiemu wybąknąć kilka słów światowej grzeczności usiadła na blizkim od niego krześle i bawiąc się z lornetką powoli opanowała całą konwersacją, rozwinęła mnóstwo bardzo naturalnego dowcipu, który widocznie niekosztował ją najmniejszego wysiłku, sypała jak z rogu obfitości francuzkie *bons-mots*, *jeux de mots*, deklamacje i sarkazmy, ucinki i anekdoty, i wszystko zupełnie spokojnie, nie pokazując żadnego zadowolenia z siebie samej, przeciwnie, z jakąś arystokratyczną dystrakcją, od niechcenia, jak gdyby była cokolwiek znudzona. Hrabia, którego dowcip potrzebował zawsze pewnego namysłu, który wtedy tylko był dowcipny kiedy mu się udało nakręcić rozmowę wedle swojej myśli i napędzić ją pod swoją wenę jak zająca na stanowisko gdzie go myśliwy oczekuje z nabitą strzelbą — nieposiadał się od zach-

wytu spostrzegając taką samorzutność dowcipu w młodej dziewczynie. Życie światowe było jego jedyną przyjemnością. Z taką żoną, pomyślał sobie, jakby to świetnie można dom utrzymać! Salon mój byłby pierwszym w kraju. *Une femme si charmante, si parfaite!* gdyby jeszcze była wyrozumiałą — gdyby chciała szanować moje gusta, moją spokojność?

To zdanie, skoro sobie sformułował o Ewie, w następnych dniach bynajmniej się nie zmieniło. Przeciwnie, wśród balów i zabaw które P. Łobzowski za pieniądze starego Łaszcza wyprawiał, Ewa stokroć powabniejszą mu się wydała. O! bo też w samej rzeczy, dopiero w liczném towarzystwie, przy rzęsistem oświeceniu salonu, przy dźwiękach muzyki, wśród chaotycznego ruchu zabawy, w kole gości lśniących różnobarwnym strojem, można było poznać tę czarującą kobietę w całym blasku tysiącznych jej przymiotów, zawsze inną i zawsze zachwycającą! Hrabia, doskonały znawca zalet kobiecych, uwielbiał je z zapałem we wróżce Rozalina, jak nazywał Pannę Łobzowską, lecz ta wróżka od pierwszego dnia zmusiła go, jak się zdawało do takiego dla niej szacunku, uczyniła go tak nieśmiałym i powolnym na jej życzenia, że sam siebie niepoznawał. Była chwila namysłu, kiedy przychodziło mu do głowy, czy nie lepiej zrobi jeżeli niezwłocznie wyjedzie z Rozalina? lecz skoro tylko obraz Ewy na przekor rozwadze stanął w jego wyobraźni, Hrabia westchnął i przestał myślić o wyjeździe. Nie! — rzekł sam do siebie — to niepodobna! niemogę się wyrzec tej zachwycającej kobiety! Rodzice mi sprzyjają, lecz czy ona

zechce mi oddać rękę? Słowa jeszcze od niej niesłyszałem coby mi podawało jakąkolwiek nadzieję. Och! dla czegóż teraz właśnie pierwszy raz przypominam sobie że nie jestem młody!

Istotnie położenie Hrabiego było cokolwiek uciążliwe. Ubóstwiając Ewę starał się wymiarkować opinją którą o nim miała, lecz jak błyszczące żywe srebro wymyka się z pod palców co go pochwycić usiłują, tak samo rzutki, błyskotny umysł ponętnej zalotnicy nieustannie zdawało się chciał odkryć prawdę ostrożnemu badaczowi, a jednak zawsze zawodził jego oczekiwania. Nareszcie zdesperowany Hrabia przekonawszy się że affekt jego codzień wzrasta, a zapewnienia o wzajemności nieprzybywa, zmiarkował że przez ojca daleko prędzej tę sprawę załatwi, i wyznawszy mu swoje uczucia prosił o rękę córki.

Rozumie się że P. Łobzowski przyjął oświadczenie się swego przyjaciela z najżywszą radością, którą ledwie zdołał pokryć zwyczajnym w podobnych razach odwołaniem się do konieczności pomówienia z żoną i z dzieckiem. Z żoną nie było się czego naradzać, gdyż rzecz dawno już była ułożona, lecz postępowanie Ewy było dla niego samego zagadką. Trzeba było ostatecznie i stanowczo z nią pomówić.

Wszedłszy do jej pokoju opowiedział jej rozmowę swoją z Hrabią i jego oświadczenie się, a potem zaczął powtarzać ile ten związek jest dla niego pożądanym.

Ewa słuchała tej przemowy w milczeniu, tylko jakiś sarkastyczny uśmiech igrał na jej ustach, wreszcie przerwała ojcu — Cher papa! w samej rzeczy, tyle już mówiliśmy o

tym projekcie że, dla spokojności papy, pragnęłabym żeby się już uwieńczył pomyślnym skutkiem. Ale niestety! do tego potrzebaby żebym chociaż cokolwiek kochała Hrabiego.

— Ach Ewciu! czyż ty go niekochasz? podchwycił ojciec, patrząc na was sądziłem żeś o Walerym dawno już zapomniała.

— Poco to papa przypomina mi Walerego? po tém co słyszałam o stanie naszego majątku, naturalnie nigdy jego żoną bym być niemogła. Może być żem go kiedyś kochała a może też i nie? tego z zupełną pewnością sama teraz niewiem — ale że Hrabiego jeszcze niekocham, za to śmiało mogę ręczyć.

— Ewciu! zastanów się!

— *Cher papa!* cóż to pomoże zastanawiać się? — głowa serca nigdy nie przerobi!

— A on ciebie tak mocno kocha! biedny Hrabia!

— Zdaje mu się tylko że jest zakochany, ale wierz mi papa że ten kaprys — ten szał wkrótce przeminie i P. Olborski przestanie o mnie myślić. On tak mocno kocha siebie samego, że żadnej innej osoby nie jest w stanie zaszczycić trwałym affektem.

— Ale co też mówisz moje dziecko! dla czegożby chciał się żenić?

— Spodziewa się że mu przyjemniej będzie żyć zemną niż samemu.

— A więc cię kocha!

— Tak samo jak swoją karetę z którą mu wygodniej

jak gdyby jej niemiał — jak dobry obiad, jak perfumy i inne bagatele.

— Ach! doprawdy, doprowadzasz mnie do rozpaczy.

— Dla czego?

— Ja niechcę, ja niemogę mu odmówić twej ręki!

— *Eh bien!* to dla czegóż by mu odmawiać?

— A jakże, kiedy powiadasz stanowczo że go niekochasz?

— Albož on się o moją miłość pytał?

— Więc to będzie ofiara z twojej strony? poświęcenie się dla rodziców?

— Bynajmniej! Nie kocham nikogo i mnie nikt nie kocha; mogę zatem rosporządzić moją ręką bez żadnego poświęcenia się.

— O moja Ewciu! zawołał uszczęśliwiony ojciec ściskając ją w swoich objęciach, — niepotrafię ci wyrazić ile mi sprawiasz radości twoim zgodzeniem się. Tylko przyrzecz mi proszę cię że odtąd będziesz przychylniejszą dla Hrabiego.

— Nie obiecuję tego co odemnie niezależy.

— To przynajmniej staraj się żeby on nie spostrzegł twojej obojętności.

— Czy się na nią uskarżał?

— Nie — bo jej dotąd nie dostrzegł.

— To i później nie dostrzeże. Egoiści są ślepi.

— Już ja tę sprawę calkowicie w twoje ręce oddaję — Pamiętaj Ewciu!

Ewa westchnęła.

Ojciec tego samego dnia oświadczył Hrabiemu o zgodzeniu się żnoy i córki na jego życzenie. Nazajutrz zrobiono

zaręczyny a wkrótce potem panna Łobzowska została hrabiną Olborską.

Wesele odbyło się z wielką okazałością. Goście sproszeni z całej okolicy mieli cały tydzień przepędzić w Rozalinie. W ich liczbie była także Kapitanowa z córką. Ewa nieomieszkała przypomnieć siostrze że lubo z małą przemianą, jednak danego jej słowa dotrzymała. Zdawało się że ślub bynajmniej nie zmienił jej humoru, lecz za to czoła rodziców jaśniały takim upojeniem szczęścia, oczy ich z taką roskoszą zwracały się na świetną Królowę festynu, Hrabia był tak zadowolony z siebie samego, że zdawało się iż to małżeństwo rokuje najpomyślniejszę dla nowo-zaślubionych przyszłość. Pomimo wieku pana młodego, dziewczęta, a szczególniej matki, zazdrościły Ewie tak znakomitego małżonka i wśród szmeru zabawy godowej, tu i ówdzie szarpano już ile kto mógł sławę Hrabiny i jej rodziców.

Łaszcz dotrwał do kolacii i wyraźnie szukał okazii spotkania się z gospodarzem ażeby o czémś ważnem pomówić, lecz P. Łobzowski tak był szczęśliwy tego wieczora, tak zajęty swemi gośćmi, że nie sposób było znaleść swobodną chwilę. Zresztą interess Łaszcza musiał być dość przykry dla jego pryncypała, bo Komissarz bardzo był zamyślony, nieprzyjmował żadnego udziału w powszechnej wesołości i kilka razy naradzał się nawet z żoną czy ma wywołać pana lub też odłożyć rzecz do następnego dnia? na co mu wierna Teklusia zawsze odpowiadała — daj pokój Kacperku! o nieszczęściu człowiek zawsze wcześnie się dowie, niepsuj mu dziś radości.

— Ale jakże, mówił Łaszcz, kiedy sprawa nie cierpi zwłoki? Kto wie, może zięć zechce mu pomódz, a wtedy możnaby jeszcze wszystko poprawić.

— At, co zięciowi do tego? czy to panowie tak jak my biedni o swoich krewnych dbają?

— Ba! Hrabia bardzo dbać będzie, bo Państwo zostawili sobie Rozalin tylko w dożywociu a potem wszystko ma się dostać córce w posagu. Rzecz skończona.

— Jak sobie chcesz Kacperku. Moja rada, zaczekać do jutra.

Łaszcz myślał długo, nareszcie po kolacii, zabierając się już powrócić do domu, wpadł na pewne *medium*, żeby i panu godów niepopsuć i sprawy do następnego dnia nieodkładać. Zawołał służącego i oddając mu jakiś akt urzędowy, rzekł — słuchaj-no Grzesiu, chciałem pomówić z panem i oddać mu ten papier który dziś przez umyślnego został mi wręczony od naszego plenipotenta, ale panu teraz nie do tego. Weźże ten papier i połóż go w gabinecie na tym stoliku co stoi pod oknem. Rozumiesz?

— Rozumiem — odpowiedział służący i przyrzekł spełnić polecenie jak najakuratniej, a Łaszcz z żoną poszli do swego mieszkania.

Zabawa przeciągnęła się do późnej nocy. Skoro świtać zaczęło, młodzież, podług wiejskiego zwyczaju, otworzyła razem wszystkie okienice, i dzień biały nagle uderzył do pokojów. Kobiety spójrzawszy jedna na drugą, na twarze blade od bezsenności i znużenia, na stroje zmięte i cały szwank balowej toalety zaczęły się salwować spieszną ucieczką do

przygotowanych dla ich spoczynku apartamentów. Zostało ledwie kilka osób które odprowadziły Państwo Młodych do sypialni, urządzonej w tym pokoju gdzie był gabinet P. Łobzowskiego i wnet w całym dworze Rozalińskim sen i cisza nastąpiły po gwarze tej wesołej nocy.

Około południa nazajutrz, gospodarz troskliwy o rozporządzenie dalszego ciągu wystawnej swojej gościnności, zerwał się z pościeli i zajmując się swoją toaletą wydawał domownikom na cały dzień rozkazy. Spytał o Łaszcza, lecz powiedziano mu że jest w kościele. Tak więc załatwiwszy wszystko bez niego i wiedząc że goście jeszcze nie wstali, rozciągnął się w miękkim krześle żeby jeszcze drzémnąć cokolwiek, lecz w tej chwili oznajmiono mu iż kamerdyner Walerego Prądnickiego prosi o pozwolenie stawienia się przed nim. Aha! wiem o co chodzi — zawołał, i kazał go wpuścić.

Francuz, stosownie do umowy, wręczył mu cały pakiet listów jego córki, za co P. Łobzowski bardzo pięknie mu podziękował i obdarzywszy rzekł — lubo przekonany jestem że to są listy bardzo niewinne, które by świat mógł czytać, przecie wdzięczny ci jestem żeś tak skrupulatnie słowa dotrzymał.

Potém nie mając się czém zająć zaczął z nudów rozpatrywać listy Ewy.

Kilka początkowych przerzucił obojętnie, śmiał się z romansowych perjodów lub też przebiegał je z ironicznym uśmiechem człowieka który miłość uważa za rodzaj zabawki towarzyskiej, lecz powoli treść listów zaczęła go coraz moc-

niej zajmować. Dowiadując się z nich iż Walery zrażony niechęcią rodziców chciał z siebie uczynić ofiarę dla spokojności kochanki, że chciał wyjechać za granicę i z boleścią wyrzec się ręki Ewy, spostrzegł z wielkim swoim zadziwieniem że córka nietylko oparła się temu, lecz nadto sama zrobiła mu propozycją ucieczki z domu rodzicielskiego. Duma, dotkliwie zraniona miłość ojcowska odezwały się w nim razem, czoło jego zasępiło się, gniew brał nad nim górę. O niewdzięczne, o wyrodne dziecko! wołał ze złością i niecierpliwie czytał dalej. Niestety! im głębiej w las, tém więcej drew! Znalazł w następnych listach cały plan ucieczki własną ręką córki wypisany, dowiedział się że to bilety rozesłane przez Ewę, były przyczyną tego nieproszonego przybycia kilku osób, i w tej liczbie jego samego na ów obiad u obywatela który w tym dniu nikogo nie oczekiwał. Zagadka zrobiła się dla niego zrozumiałą — widział że córka chciała go się pozbyć z domu. Znalazł nareszcie tak dotkliwe i co gorsza słuszne uwagi Ewy nad jego charakterem, wyrażenia tak bolesne dla jego miłości własnej, że ta czarna, niegodziwa niewdzięczność córki wprawiła go w szaleństwo. Rzucił wszystkie listy ze zgrozą na podłogę i w gwałtownem poruszeniu zaczął chodzić po pokoju szarpiąc włosy i krzycząc ha! zmija, wyrodna córka! a ja tak ją mocno kochałem! *oh! malédiction sur elle!*

W tem otworzyły się drzwi i Hrabia w rannym jeszcze stroju wszedł trzymając w ręku jakiś papier, z twarzą tak zmienioną, tak pełną wyrazu wzgardy i gniewu, że P. Łobzowski mimowolnie stanął jak wryty.

— *Cher Monsieur!* rzekł Hrabia, cedząc przez zęby po słówku — podobno niepoczciwym sposobem zaczyna się nasza kolligacja.

— Jakto? co takiego? podchwycił P. Łobzowski.

— A jakże? Waszmość nieproszony, niepytany, oddałeś mi wczora przed szlubem, nawet z pewnym tryumfem, akt zapisu Rozalina na posag swej córce. Piu! pomyślałem sobie, od przybytku głowa nieboli, niech i tak będzie. Kiedyś przynajmniej trzewików dla żony z mojej własnej szkatuły kupować nie będę....

— *Monsieur le Comte!* przerwał teść nie ochłonąwszy jeszcze z gniewu przeciw córce, i tą obelgą doprowadzony do wściekłości.

— Piu! mój Dobrodzieju! proszę się nie srożyć a wysłuchać do końca. Otóż myślałem że ten akt wart choćby 100 złotych. Piu! i 100 złotych można dać na posag. Aż tu pokazuje się że waść żydowską sztukę mi wypłatał!

— Mości Hrabio! jesteś podły, nikczemny!... krzyknął P- Łobzowski wyciągnąwszy ku niemu złożone pięście — trząsł się cały, twarz jego oblała się ogniem jak oblicze potępieńca — odpowiesz mi za to!

— Powoli, powoli, — odrzekł ironicznie Hrabia. Piu! wysłuchajże mnie naprzód. Dziś wstawszy ze snu spostrzegłem ten papier u siebie w pokoju, na stoliku przy oknie. Wziąwszy go do ręki, sądziłem że to jaki drugi zapis, drugi posag dla mojej żony i jużem chciał się obrazić o taką szczodrobliwość — aż to, jak się pokazuje, jest tylko kategoryczne i legalne objaśnienie że pierwszy zapis grosza nie-

wart! Po co Waść położyłeś ten papier w moim pokoju? czy dla tego żebym nazajutrz po ślubie dowiedział się iż wziąłem córkę oszusta? . . .

Gospodarz rzucił się jak tygrys, porwał papier który trzymał Hrabia, i zaczął go rozpatrywać, a lubo wściekłość przeszkadzała mu czytać z należytą uwagą, przecież z pierwszych słów domyślił się iż to była kopja urzędowego aktu, którym wierzyciele P. Łobzowskiego pozyskali prawo sprzedaży dóbr Rozalińskich z młotka, na uiszczenie długów dziedzica.

P. Łobzowski, jakby gromem uderzony, opuścił papier, zachwiał się i upadł. W gwałtownem poruszeniu sprawionem naprzód listami niewdzięcznej córki a potem obelgą wytrzymaną od zięcia, odczytanie fatalnego wyroku było ostatecznym ciosem, który przy krwistej jego konstytucii spowodował apoplexią.

Kiedy ludzie przybiegli na ratunek, znaleziono go już martwym. Wszelka pomoc stała się daremną. Huczne gody zostały przerwane, goście rozjechali się, smutek objął cały dwór Rozaliński i zamiast całego szeregu zapowiedzianych zabaw, ledwie kilku znajomych i wieśniacy miejscowi, cicho poszli na smętarz złożyć w mogile zwłoki umarłego.

Hrabia przerażony nagłą śmiercią swego teścia, natychmiast ochłonął z gniewu, a dowiedziawszy się od Łaszcza jakim sposobem przez pomyłkę służącego wyrok urzędowy znalazł się w jego pokoju, żałował szczerze że w pierwszym zapędzie niesłusznie posądził o umyślną podłość człowieka, który prędzej byłby skrył przed nim swoje bank-

ructwo, aniżeli bezwstydnie rzucił mu przed oczy dowody swej hańby. Jakkolwiek bądź, nierozmyślny jego postępek postawił go w bardzo przykre położenie względem żony. Ewa nie przyjęła jego usprawiedliwienia i pierwsza przemówiła o rozwodzie.

Hrabia spojrzawszy na młodą swoją małżonkę, która w żałobnej sukni, oblana łzami, z załamanemi dłońmi, była niemniej piękna jak w czasie balu, a nierównie więcej powabna wyrazem czułości i smutku — padł przed nią na kolana i błagał żeby mu pozwoliła w małżeńskiém pożyciu zagładzić mimowolnie uczynioną jej przykrość. Ewa z początku ani słyszeć o tém niechciała, wszakże później widząc prawdziwy żal męża, jego nieograniczone wylanie się na jej usługi, a wziąwszy na uwagę i to że Hrabia w pierwszej chwili skruchy zobowiązał się odkupić Rozalin od wierzycieli nieboszczyka i majątek ten przelać na jej imie — przebaczyła mu wszystko.

Jeden tylko Łaszcz został ofiarą tej katastrofy. Nowa Pani Rozalina, posądzając go o umyślne podrzucenie owego aktu Hrabiemu, zaczęła objęcie majątku od tego, że staremu słudze swego domu, dalszą służbę wypowiedziała. Biedny Łaszcz, kiedy mu rozkaz Pani oświadczono, westchnął tylko, łzy mu się w oczach zakręciły, i rzekł do żony — «spodziewałem się tego Teklusiu od czasu śmierci nieboszczyka Pana. Już to podobno, jakem kiedyś zaczął się chleba dorabiać woźnym, tak też woźnym umrzeć mi przyjdzie. Chodź kobieto, widać że nam nie sądzono było kości nasze położyć na smętarzu Rozalińskim. Niech się dzieje wola

Boża! Mam w Warszawie przyjaciół, przecie wyrobią mi miejsce woźnego przy Trybunale. Albożto nam starym wiele potrzeba? Stasia niema, dla kogóż byśmy zbierali? a chlebem powszednim Bóg nas opatrzy choćbyśmy mieli z torbą pójść po świecie!»

Na drugi dzień starzy, pomodliwszy się w kościele i wziąwszy błogosławieństwo kapłańskie na drogę, zabrali co mieli lepszego z ruchomości i na chłopskim wózku wyruszyli do Warszawy.

EPIZOD TRZECI.

WARSZAWA.

1812.

XIII.

Hrabia Olborski wkrótce po weselu przeniosł się z młodą swoją małżonką na stałe mieszkanie do Warszawy. Ewa, może w skutek fatalnej katastrofy która ją pozbawiła ojca, a może też przez wpływ świętego sakramentu małżeństwa i rozważniejszy pogląd na obowiązki nowego swego stanu, zdawała się być znacznie zmienioną. Wrodzona jej lekkomyślność i żądza podobania się wszystkim weszły w granice przyzwoitości, dowcip jej pod czepkiem stracił wielką część zwykłej ironii i sarkastyczności, a natomiast jakby ogrzewając się roztlewającą w sercu łagodnością kobiecą stawał się więcej ponętnym i dla słuchaczów pożądańszym. Zadowolenie męża zdawało się być jedynym celem jej zabiegów i kiedy było uwieńczone pomyślnym skutkiem, czyniło ją prawdziwie szczęśliwą. Słowem Hrabina widocznie pracowała nad sobą ażeby być nietylko miłą w salonie, lecz nadto rozsądną, poczciwą i dobrą żoną. Co więcej, charakter jej niecierpliwy i zimny, ujarzmiony siłą potężnej woli, wyginał się wprawdzie z trudnością, jednak statecznie i posłusznie otrząsał się ze złych narowów i długo-

letnich przyzwyczajeń. Ewa dla służących stała się dostępną i wyrozumiałą, a dla ubogich litościwą. Przebaczyć winę, wyszukać potrzebujących pomocy i opatrzyć ich potrzeby, stało się dla niej rzeczą wielce pożądaną. Nareszcie, z jakimś dziwnym zapałem, za który od męża w chwili wesołości otrzymała nazwisko dewotki, dawała na msze w kościołach, i ubogim obfite jałmużny—zawsze dla wybłagania jej miłosierdzia Boskiego.

Hrabia, czas jakiś był całkowicie szczęśliwy i oddany swojej małżonce, a dom ich stał się jednym z pierwszych w stolicy. Cieszyło go niezmiernie to powszechne uwielbienie osób wyższego towarzystwa, które Ewa potrafiła nietylko zjednać sobie, ale, co daleko trudniej — stale zachować, te pochwały które sypano jej wdziękom, ukształceniu światowemu i tonowi, a nawet ta reputacja nieposzlakowanej damy co w kole jej znajomych było rzeczą rzadką. W pierwszych czasach małżeństwa łączyła się do tego jeszcze jeżeli nie prawdziwa miłość, to jakiś wybuch namiętności, jakaś gorączka uczucia, którą ludzie światowi w pewnym wieku będący, radzi uważać za rzeczywisty affekt, lecz która, niestety! jak każdy wybuch, wkrótce przemija i schodzi do jednych konwenansów. Kiedy później Hrabia w samej rzeczy spostrzegł się na tym punkcie, niedziwił się temu wcale ani rozpaczał bo w jego pojęciach o świecie było pewnikiem, że każda miłość, chociażby najgwałtowniejsza, jeżeli się nie kończy na zupełnej obojętności kochanków lub małżonków, jeżeli nie doprowadzi do nudów i uciążliwego fałszu, to w najpomyślniejszych okolicznościach

może zejść na spokojną przyjaźń i wzajemną dla siebie wyrozumiałość. Pojęcia tego wcale nie skrywał przed żoną; owszem, przed szlubem i po szlubie często się z nim odzywał, na co Ewa żartem mu odpowiedziała, że może obali całą jego teorją. Piu! *Madame* — mówił Hrabia w podobnych razach — wielkiej sztuki dokażesz, jeżeli starego lisa rozumu nauczysz! Piu! chciałbym żebyś mi dowiodła żem darmo na tém zjadł zęby! — Może być że i miłość własna zadraśnięta tym wyzwaniem jeszcze więcej podniecała inne, poczciwe pobudki Hrabiny, dość że koniecznie chciała być tak dobrą żoną, żeby mąż odstąpił od swego przekonania. Z innym człowiekiem usiłowania jej możeby zostały uwieńczone skutkiem, o tyle przynajmniej o ile wolno człowiekowi marzyć w tym życiu o zachowaniu serca w stanie niezmiennej młodości; lecz z Hrabią, co jak wiadomo było, wyrosł i tyle wieku przepędził w zaprzaniu się wszelkiego stałego affektu, było to samo co chcieć z piasku bicz ukręcić.

Hrabia znużony trudnym w jego latach stanem świeżości uczucia i zapału w którym żona usiłowała go ciągle utrzymać, stanowczo tęsknił do odpoczynku i nareszcie otwarcie jej oświadczył iż zamyka wrota świątyni Cytery i Hymenu, a otwiera przybytek Przyjaźni. Ponieważ zaś żadne prawo narodowe ani towarzyskie niewzbrania mieć wielu przyjaciół płci obójga, a życie tylko przez przyjaciół i przyjaciółki staje się prawdziwie przyjemném, więc też natychmiast zaczął postępować wedle tak dobrze wyrozumowanej maxymy moralnej. W krótkim czasie Hrabia pozyskał przy-

chylność kilku kobiet, i otwarcie wyznawał się być niewolnikiem tej lub owej piękności; — grzeczność jego i affekt były na usługi płci pięknej. Ubodło to Ewę niezmiernie, taka bowiem zmiana uczuć małżeńskich w człowieku niepierwszej młodości, rokując żonie nadal całkowitą oziębłość tej osoby która dotąd hołdowała jej wdziękom, jest zbyt dotkliwym ciosem, chociażby kobieta nie czuła dla męża żadnego przywiązania.

Hrabia wierny swojemu słowu oddał się lekkomyślności i zalotom z zapamiętałością młodego *galanta* i uważał to za tak naturalną rozrywkę, że nietylko w nieobecności żony lecz i przy niej, za domem i we własnym salonie, jednakowo jej sobie pozwalał. Ewa codzień dowiadywała się od przyjacioł, na których w podobnych razach nigdy niezbywa, o nowych niewiernościach swego męża. Smieszyło ją to i gniewało, wszakże oszańcowawszy się na stanowisku godności kobiecej, trzymała się w nim mężnie przeciwko pokusie odwetu i przykładom zgorszenia które ją otaczało. Duma wstrzymywała ją długo od wyznania mężowi ile postępowanie jego sprawia jej przykrości, a mąż roztargniony tak mało zwracał uwagi na zmianę w ich stosunkach małżeńskich i domowych, że nietylko nie taił się z niczém przed żoną, lecz opowiadał jej nawet ważniejsze swoje sukcessa w świecie. Ewa słuchała tych przechwałek z udaną obojętnością i tylko jadowitym uciukiem wydawała niekiedy gniew wrzący w jej łonie i pogardę dla męża. Wreszcie kiedy się przebrała miara cierpliwości, rzekła mu pewną razą:

— Mości Hrabio! czy te czułe powiastki o twoich szczęśliwych miłostkach któremi od pewnego czasu starasz się zabawiać moje wolne chwile, zmierzają do tego żeby mię rozweselić, lub też mają być dla mnie rodzajem lekcii?

— *Mais Madame!*— odpowiedział Hrabia z zupełną spokojnością — ani jedno ani drugie! ja się bawię i opowiadam ci jak czas przepędziłem. Jeżeli ci się moje powiastki niepodobają, możesz ich niesłuchać.

— Ale ja się pytam czy mam się przy podobnych opowiadaniach weselić, czy też uczyć się?

— Piu! *Madame*, niepojmuję dla czego by moje zabawy światowe miały cię zasmucać i nierozumiem też czegobyś się miała uczyć odemnie? Dla tak młodej kobiety jaką jesteś, przy tylu wdziękach któremi natura cię obdarzyła, nudzić się w Warszawie, utyskiwać niby jakaś *Didona abbandonata*, piu! toby było tylko dobrowolnem dziwactwem. Wymagać zaś jakiejś nauki od męża w twoim wieku i z twoim ukształceniem światowem, to może jeszcze zabawniejsza pretensja. Słowem widzę z tego wszystkiego że moja żona, tak samo jak każda piękna kobieta, podlega słabościom nerwowym, i w tej chwili może *dans un accés de ce mal terrible* całą swoją nudę chciałabyś zwalić na męża.

— Mylisz się Hrabio! — przerwała Ewa serjo, nieczuję w sobie żadnej dolęgliwości nerwowej, lecz życzę sobie pomówić z tobą otwarcie i stanowczo. Od tej rozmowy całe nasze następne pożycie będzie zależało.

— A, w takim razie, słucham z wielką uwagą, odpo-

wiedział Hrabia i przysunął bliżej swoje krzesło — Piu! ciekawy jestem co to takiego?

— Mógłbyś się był Pan, i może byś był powinien dawno domyślić o co chodzi, lecz ponieważ nie znalazłeś na to czasu, więc muszę mu to sama powiedzieć.

— Powtarzam, że słucham z uwagą.

— W samej rzeczy, zrobiłeś Pan ze mnie cóś takiego jak *Didona abbandonata*, lecz ta rola mi się nie podoba i oświadczam Panu iż chcę ją porzucić niezwłocznie. Odmiana zaś dekoracii w obecnym życiu moim będzie zależała od tego co od Pana teraz usłyszę.

— Piu *Madame!* niewiele podobno usłyszysz. Odmień dekoracje jak ci się podoba byle przyzwoicie i z dobrym gustem. *Je vous donne carte blanche!*

— Hrabio! jest to chwila stanowcza — namyśl się dobrze!

— Piu *Madame!* byłbym ostatnim brutalem gdybym pojmując słodycz swobody i sam jej używając, tobie tego samego prawa wzbraniał. *Que voulez vous?* przeżyliśmy kilka miesięcy bardzo sentymentalnie, czyliż tego niedość? nieusiłujmy dłużej wmawiać sobie żeśmy jeszcze jedno w drugim zakochani. To być niemoże! *hélas!* to przeciw odwiecznym prawom przyrodzenia! Zostańmy lepiej w przyjaźni, niedręczmy się bez potrzeby zazdrością, ale raczej bawmy się każdy wedle swego gustu.

— I Pana to obchodzić nie będzie jak ja się będę bawiła?

— Czy ja Turek, żebym w twoje zabawy wglądał? A

niech mnie Pan Bóg broni! życzę ci tylko w ogólności żebyś się przyzwoicie i dobrze bawiła.

Ewa długo milczała jakby passując się sama z sobą. Anioł stroż i Szatan wydzierali ją sobie w tym momencie, lecz Szatan przemógł.

— Dobrze! — rzekła głuchym głosem — teraz przynajmniej znam dokładnie moje położenie.

— Było nad czém głowę sobie trudzić — odpowiedział Hrabia najobojętniej, — *chère amie!* doprawdy musisz być słaba, masz *spleen*, to rzecz niezawodna. Dla czego siedzisz w domu już od kilku dni? Nieustannie mnie się o ciebie pytają. *Vous nons manquez partout!*

Potem zapytawszy żonę czy niema czego więcej do rozkazania, pożegnał ją najgrzeczniej i pojechał do kogoś na obiad.

Po wyjściu męża Hrabina blada i drżąca jeszcze od wzruszenia zawołała z pewną rozpaczą:

— Okoliczności popchnęły mnie mimowolnie w przepaść, zbrodnie wylęgły się jedna z drugiej i spadły na moje sumienie, fatalność trzymała mnie długo w swoich szponach, przecież kiedy nareszcie uwolniłam się od tej piekielnej konieczności trwania w złém, pierwszą moją myślą było zagładzić poczciwym małżeńskim życiem winy przeszłości. Nieczując dla męża żadnego przywiązania, poświęciłam się zupełnie dla jego szczęścia, przywdziałam na siebie włosiennicę pokory i posłuszeństwa, w zapale szczerej pokuty oddałam mu na ofiarę najdroższe skarby mego życia — młodość, urodę, swobodny umysł, nawet serce —

serce w którem uczucie wrzało jak rozhukane wody morskie, ale nad którem, pomimo niedołężności swojej, mógłby był panować gdyby tylko chciał — gdyby tylko zbutwiałą łódką swoją nieurągał nawałności i nie drażnił drzemiącego na dnie wieloryba mej dumy. O, nikczemny! z jaką oziębłością odepchnął mnie od siebie! Cha, cha, cha, albożmogło się stać inaczej? Czyliż niewiedziałam miary jego egoizmu? Czy nie szaleństwem było takiemu człowiekowi rzucić całą swoją istotę pod nogi, żeby ją podeptał i splugawił? Ha! dość poświęcenia, pokuty i dobrowolnych cierpień. Niech wre morze namiętności, niech szumią bałwany, niech gady morskie obudzą się w toniach — wśród tej burzy zatrze się może w mej pamięci wspomnienie Rozalina. Hrabia daje mi zupełną swobodę. . . . o, tak! pochwycę ją oburącz; jestem młoda, piękna, w pełni życia, dla czegoż bym miała dłużej opierać się ponętom świata? Kość rzucona — płyńmy Hrabio! gdzie też to nas wiatry zaniosą?...

Monolog Ewy został przerwany przez lokaja, który w tej chwili zameldował wizytę — dawnego naszego znajomego Notkiewicza.

— Notkiewicz? spytała Hrabina dwa razy, jakby niedowierzając temu co jej mówiono?

— Notkiewicz! — powtórzył lokaj z pewnością.

— Doktor?

— Tak jest, Doktor.

— A, to szczególniejszy zbieg okoliczności! pomyślała sobie Ewa — trzebaż było żeby w tej chwili sam Szatan

w jego osobie do drzwi moich zakołatał! i jakby mimowolnie przerażona wahała się czy go ma przyjąć lub nie? Służący tłumacząc sobie po swojemu jej milczenie, spytał — Czy pani Hrabina każe odmówić?

— O nie! zawołała Ewa — prosić — prosić!

Niebawem wszedł Notkiewicz, ale tak wyświeżony, tak wedle ostatniej mody ubrany, z postawą tak zuchwale zadowoloną, że przenikliwa Hrabina zmiarkowała natychmiast iż w materjalném położeniu jego musiała zajść wielka i pomyślna dla niego przemiana. Uśmiechnęła się tylko z lekka, bez niepokazała po sobie najmniejszego zadziwienia. Doktor przywitawszy ją bez żadnej wymuszoności, nawet sposobem nieco poufałym, zaczął od usprawiedliwiania się iż tak późno składa dawnej swojej pacientce powinne uszanowanie.

— Jakto późno? spytała Ewa, spójrzawszy mu w oczy, czy pan nie dopiero teraz przybyłeś do Warszawy?

— Chociaż to powiększy moją winę — odpowiedział Notkiewicz, przyznam się jednak że już od pewnego czasu mieszkam w stolicy, wszakże ciągle będąc zajętym, o przyjeździe pani niedawno się dowiedziałem.

— Spodziewam się że w Warszawie lepiej pańskie talenta oceniono i przyzwoiciej pracę pańską wynagradzają niż w biednym Kutnie?

— Tak! bez wątpienia — praktyka moja jest bardzo obszerna; na pacientów bynajmniej nie mogę się uskarżać.

— Bardzo się z tego cieszę — rzekła Hrabina i po chwili dodała — powiadają że od przybytku głowa nieboli, gotowa

jestem ile możności przyczynić się do powiększenia reputacii i środków pańskich. Jeżeli pan zechcesz wziąć mój dom w swoją opiekę, jeżeli pozwolisz się zarekomendować znajomym moim, chętnie to uczynię.

— Ach! nieskończenie pani jestem wdzięczny żeś przewidziała moje życzenia i uprzedziła prośbę, bo właśnie w tym celu przyjechałem.

Hrabina ugryzła się w dolną wargę. Przykro jej było że pośpiechem swoim uwolniła Notkiewicza od formalnej prośby, że zamiast uszczęśliwić go łaskawém przychyleniem się do jego życzeń, sama wysunęła się z propozycją na którą on tylko się zgodził, a spostrzegłszy przez okno ładny kocz Doktora stojący u bramy domu, wpadła jeszcze w gorszy humor.

— Prędko pan się fortuny dorabiasz, — zawołała jakby z gniewem — ledwie rok jesteś w Warszawie a już tak pięknym koczem jeździsz.

Notkiewicz się zmieszał. Hrabina to spostrzegła, spojrzała na niego dziwnie pogardliwym wzrokiem a przypomniawszy sobie ile ten człowiek zbrodniczą powolnością swoją wpłynął na jej przeszłość, szepnęła w pół głosa z jakimś gorzkim szyderstwem — czy niepozwalasz pan chorym, tak jak mnie kiedyś, wybierać sobie lekarstwa?

Doktor zapewne lękał się innego pytania bo sarkastyczne przymówki Hrabiny widocznie go uspokoiły. W pierwszej radości zaczął się śmiać bardzo wesoło, co niezmiernie zdziwiło Ewę i wywołało kilka nowych sarkazmów, które

nareszcie wróciły doktorowi przytomność miłości własnej. Powtórzywszy z zimną krwią w umyśle wszystko co mu powiedziano i poznawszy wyrządzoną mu niegrzeczność, wyprostował się dość zuchwale i patrząc na Ewę z góry, rzekł — «Pani Hrabina zawsze byłaś zwolenniczką otwartej, zupełnie szczerej rozmowy i teraz podobno przykładem swoim chcesz mnie do niej zachęcić? czy wolno mi także powiedzieć co myślę w tej chwili?

— A, niezmiernie jestem ciekawa! bardzo proszę; — tylko mów pan po polsku a nie po łacinie.

— O, bądź pani spokojna, będę mówił po polsku, i jestem pewny że mnie pani zrozumiesz bez dykcjonarza.

— Zaczynaj pan.

— Pani wzrokiem swoim przenikasz mnie naskroś i pragniesz wyczytać jakieś tajemnice mej duszy, których może niema, a jeżeli są, to tak dobrze ukryte że gdybym był nawet przezroczysty jak szkło, to i wtedy nic byś pani niezbadała.

Hrabina z lekka uśmiechnęła się i odpowiedziała niby nawiasem — powiedz pan śmiało że niemasz żadnych tajemnic, ja temu niezawodnie niezaprzeczę.

Doktor mówił dalej. Wiedziałem dawno o pobycie pani w stolicy bośmy prawie w jednym czasie przyjechali, a imie pani nadto jest głośne w świecie ażebym dopiero teraz o nim usłyszał, lecz niechciałem stanąć przed nią niemając pewności iż będę pożądanym gościem.

— A dziś pan jesteś tego pewnym? podchwyciła Ewa skwapliwie.

— Tak mi się zdaje. Ale proszę mi nie przerywać; wszystko się wyjaśni z porządku.

— Jeżeli pani, przypominając sobie mój pobyt w Rozalinie myślisz żeś wtedy wzięła zupełną władzę nademną, że musiałem być jej posłusznym, stać się ślepym tylko narzędziem jej woli, kaprysu i namiętności — że gdybym nawet chciał był cofnąć się, to zaplątany przez nią w sidła, niemogłem już po pierwszym kroku zrobionym, wydobyć się z nich — jeżeli pani dotąd takie masz zdanie, o! to się pani kapitalnie mylisz! Pani sama byłaś w moim ręku!

Hrabina spójrzała na niego z pewnym zadziwieniem i odezwała się — pan zapewne masz dowody które usprawiedliwią jego zarozumiałość?

— Cha, cha, cha! jakże mogło być inaczej? Zapaśnictwo w złem jest podobne do gry kartowej. W takowej grze, szczęście, fatalizm, przypadek, albo jak się pani podoba nazwać tę siłę co kieruje losem, wtedy tylko może zapewnić całkowite zwycięztwo jednej stronie nad drugą, kiedy zwyciężający z zimną krwią patrzy na swoją grę. Tej zimnej krwi pani niemiałaś! Pani byłaś pod wpływem dwóch namiętności — Chciałaś rodziców w pole wyprowadzić i razem trzymać mnie na łańcuchu jak dziką bestją. Oczewiście że namiętność daje pewien impet, którego zimna rozwaga nieposiada, dla tego też na wstępie pani całkowicie odurzyłaś mnie swoją rezolutnością i subtelnym rozumowaniem, lecz potem przyszła moja kolej. Wiedziałem dobrze, że pani nieoglądając się pójdziesz za popędem namiętności, że bylebym niepokazywał iż mogę się oprzeć, bylebym

udaną porażką zachęcał panią do zbierania laurów na tym polu, sama się zaplączesz we własnych sieciach. Pomyśl pani tylko, kto z nas dwójga, mężczyzny i panny dobrze urodzonej, więcej hazardował? Co do mnie, mogłem bez najmniejszego narażenia się ogłosić panią za chorą, i nawet niebezpiecznie chorą, bo któżby mnie o fałsz przekonał? Gdyby całe *consilium* doktorów pracowało nad wyświeceniem tej kwestii, mogli by mi tylko zarzucić żem się omylił! Łatwo mi było powiedzieć iż pierścionek został mi dany, żebym jako doktor namawiał ojca do łagodnego obejścia się z córką — lub też żebym nieodkrywał przed światem nieposłuszeństwa panny Łobzowskiej. Wreszcie zamiast opium mogłem pani dać infuzją rumianku i ojcu wszystko wyjawić. Nie uczyniłem tego, bom wiedział że namiętność i opium pociągną moją pacjentkę na taką drogę, na której dość będzie ją poznać ażeby się stać człowiekiem potrzebnym, ażeby pozyskać prawo na niejakie względy. Cóż Hrabino? czy omyliłem się w oczekiwaniu?

Ewa wytrzeszczyła na niego pałające gniewem oczy i głuchym głosem odpowiedziała — omyliłeś się Doktorze!

Ale Notkiewicz nie zmieszał się bynajmniej jej odpowiedzią. Jakiś sarkastyczny uśmiech pokazał się na jego ustach i rzekł — «Pani niejesteś szczerą! Nic dziwnego! wszak człowiek co się tylko pośliznął na ulicy, nie z wielką ochotą przyznaje się do tego przypadku, cóż dopiero jeżeli mu się zdarzyło upaść? cóż, jeżeli jakie przedsięwzięcie całkowicie mu się nieudało i zostawiło w duszy pewne skrupuły, które moraliści nazywają zgryzotami sumienia? Jeszcze w

Rozalinie przewidziałem, że kiedyś, o wypadkach owego czasu niebędziesz pani mogła mówić z zupełną otwartością, dla tego też po wyjeździe z domu jej rodziców często zwracałem oko w tamtę stronę i pilnie wywiadywałem się bądź godziwemi bądź niezupełnie może godziwemi środkami, o wszystkim co się tam działo. Zniknienie P. Walerego, P. Stanisława, kuchcika, spalenie karczmy, i śmierć ojca pani były przedmiotem długich i starannych moich poszukiwań, a przy pomocy wiadomych mi poprzednich okoliczności, przy takich zródłach jak *np.* opowiadania starego Łaszcza, który lubo sam niewiele rozumie z tego na co patrzył i co słyszał, przecie dla więcej przenikliwego umysłu jest niezmiernie szacownym materjałem — doszedłem do konkluzii która mogła by się zamienić w zupełną pewność. Czy mam tę konkluzją szczegółowo pani wyłuszczyć?....

— Ach! niezadawaj pan sobie tej pracy — proszę raczej mówić dalej.

— Dalej? — dobrze. Kiedy przybyłem do Warszawy, omyliłem się naprzód w moich wywodach psychologicznych. Spodziewałem się że Hrabina Olborska na arenie wyższego towarzystwa stolicy daleko wyprzedzi dziewicę Rozalina. Tym czasem pomimo najusilniejszych moich zabiegów niemogłem się dowiedzieć niczego takiego coby potwierdziło moje oczekiwania. Pani byłaś dobrą żoną, miłą lecz nieposzlakowaną damą, nawet cierpliwą, miłosierną i konsekwentną. Traciłem głowę w domysłach — niewiedziałem jak to pogodzić z przeszłością? Dwie drobnostki oświeciły mnie. Pensja którą pani sekretnie posyłasz wypędzonemu z Rozalina Łaszczo-

wi obudziła moje podejrzenie, a indagacja żebraków odsłoniła mi resztę tajemnicy. Wiedząc że pani tyle sypiesz pieniędzy na jałmużny i nabożeństwa, i zawsze dla uproszenia sobie miłosierdzia Boskiego, a jednak sama bardzo rzadko bywasz w kościele i nigdy się niespowiadasz — wpadłem naturalnie na myśl, że cała ta improwizowana pobożność i cnota niczém więcej nie są tylko bojaźnią młodej duszy, co mało mając doświadczenia, i niewiedząc o tém że po lodzie trzeba się ślizgać żeby impetem dać sobie odwagę — idzie powoli ostrożnie, wyobrażając sobie że tym sposobem będzie mogła iść tak bezpiecznie jak po bitym gościńcu. Wtedy pomysłałem sobie — dobrze to wszystko, póki mąż chociaż stary i egoista nieusuwa od niej swego ramienia, i pod rękę prowadzi ją po tym lodzie. Ale jak mu się znudzi ten marsz rzymski? jak ją porzuci? jak zostanie sama jedna na ślizgawicy? O wtedy — rzekłem bez wahania się, wtedy zrozumie nareszcie, iż wszedłszy na tak niepewną drogę, trzeba koniecznie z rospędu puścić się po niej i lecieć, lecieć naprzód, lecieć bystro, szybko, niezatrzymując się ani na chwilę, póki niewpadnie w rospostarte ramiona śmierci i nicestwa! Teraz, jeśli się niemylę, jesteś pani już sama jedna, bez podpory mężowskiego ramienia. Cóż pani na to odpowiesz?

Hrabina siedziała w głębokiém zadumaniu, jakby odurzona słowami Doktora i tylko machinalnie kilka razy powtórzyła — lecieć, lecieć, lecieć!....

Notkiewicz ośmielony aż do zuchwałości tak wyraźnym dowodem przewagi którą, jak mu się zdało, otrzymał nako-

niec nad zgnębioną Hrabiną, zawołał z nieukrytym tryumfem — Czy pani Hrabina wybaczy mi iż po kilku latach mówiłem z nią tak otwarcie jak tego kiedyś odemnie wymagała? Czy raczysz mnie pani przypuścić do liczby swych znajomych i pozwolisz być jej domowym Doktorem?

— Jużem to panu obiecała, rzekła Ewa spokojnie, a niemam zwyczaju cofać raz danego słowa. Wprawdzie pokazałeś pan tyle zuchwałości, zapomniałeś się tak dalece, iż za jedno nazwanie mego męża *egoistą*, mogłabym i może bym powinna kazać go natychmiast wypchnąć za próg mego domu — jednakże na ten raz tego nieuczynię.

Notkiewicz uśmiechnął się tylko, będąc przekonany że Hrabina dość niezręcznie pokrywa tą pogróżką wewnętrzną niespokojność. Potem poprawiwszy się w krześle i bawiąc się łańcuszkiem od zegarka spytał niby od niechcenia — a dla czego Hrabina nie każesz mnie wypchnąć?

— Bo wysłuchawszy cierpliwie tej niedorzecznej powieści, którą skleciłeś pan w swej głowie, jakby na dowód że w niej wielki nieład panuje, mam sobie za obowiązek odpowiedzieć mu słów kilka.

— A, bardzo proszę! — i bawił się obojętnie łańcuszkiem.

— Zdaje się panu że sam jeden tylko masz zwyczaj oglądać się w tył i niespuszczać z oka tych osób które zostawiasz za sobą na drodze życia. Jest to skutek właściwej mu zarozumiałości i gruba pomyłka, bo i drudzy mają tę ostrożność. Ja naprzykład, jeszcze w Rozalinie pomyślałam sobie, że kto młodej dziewczynie z jakiegokolwiek bądź po-

wodu, da w rękę nie infuzją rumianku, lecz prawdziwą trucizną, ten pewnie na miejscu się nie zatrzyma, ale pójdzie dalej. Po takim dobrym początku, dalszych postępów koniecznie oczekiwać wypada. Przyznam się panu iż z tej przyczyny, po wyjeździe mego Doktora, pilnie patrzyłam na Kutno i później na pole jego działań w stolicy, spodziewając się że może kiedyś będzie na takiej drodze, na której dość go będzie nazwać po imieniu, ażeby zapewnić sobie pewne względy — a przynajmniej żeby nałożyć hamulec na przyrodzone jego zuchwalstwo. Poszukiwania moje niebyły daremne, czy wierzysz temu Konsyljarzu?

Notkiewicz nieco się zmieszał i utkwił wzrok bazyliszkowy w twarz Ewy, na której niebyło widać żadnego wzruszenia, oprócz lekkiej gry nerwów w kątach ust, jakby wstrzymujących się od złośliwie ironicznego uśmiechu. Potem nagle uspokoił się i rzekł — pani Hrabina chcesz pono ułożyć jakąś parodją z tego coś odemnie słyszała?

— W samej rzeczy naśladuję nieco styl mowy doktorskiej, ale niech to pana w błąd nie wprowadza. Po cóżbym miała z piasku bicz kręcić, kiedy jest gotowy stryczek.

To słowo, *stryczek*, tak nieprzyjemnie odbiło się w uszach Notkiewicza, że nagle zbladł, jakby uderzony niespodzianie prądem elektrycznym. Hrabina która z ukosa patrzyła na niego, spostrzegła ten przestrach i rzekła z szyderczym, pogardliwym uśmiechem — nie lękaj się pan, ja niemam zamiaru tak niemiłosiernie mu urągać jakeś się tego dopuścił przed chwilą nademną. Będę mówiła otwarcie lecz z zimną krwią, a zatem grzecznie, o czém pan zapomina-

łeś. I po cóż bym się miała irritować? podeptać pana to niewielki tryumf.

— O! czy pani tak jesteś pewna swej potęgi? — odpowiedział doktor dziwnym głosem.

— Czy pan znajdujesz w tym względzie jaką wątpliwość? co do mnie, niewidzę żadnej. Żeby się zgodzić zemną, dość pojąć różnicę naszych położeń w świecie. Pan jesteś mężczyzna i do tego szkaradnej fizionomii i podejrzanego rodu; ja jestem kobieta młoda, i może nawet piękna; pan masz tam jakieś pieniądze, ja jestem prawdziwie bogata, pan jesteś sam jeden na ziemi, niemasz ani przyjaciół ani protektorów — ja, na jedno skinienie mogę mieć połowę dygnitarzy państwa u nóg moich, nareszcie, jeżelibyś się pan odważył odezwać ze swemi domysłami wyciągniętemi z jakiejś psychologicznej teoryi, naprzód nikt by ci nieuwierzył bez legalnych dowodów których niemasz, a powtóre na drugi dzień przysłałabym ci 10 adwokatów, coby cię po kolei zmusili posłuchać świstu kuli pistoletowej, a ten fatalny świst takiego tchórza jakim jesteś, natychmiastby znaglił do wyrzeczenia się wszelkiej delacii. Spodziewam się Konsyljarzu że się tłumaczę dość jasno?

— Nie — odpowiedział Notkiewicz, wprawdzie nie jest to bicz z piasku, ale też nie jest stryczek.

— A! o to tobie chodzi? chcesz koniecznie wypić do dna ten puhar, który miałam zamiar pokazać ci tylko zdaleka. Niech i tak będzie! Żebyś mnie nie posądzał o żadne parodje, to ci opowiem jedną powiastkę, która cię pewno nie znudzi.

— Zobaczemy! — tylko prosiłbym żeby powiastka była niedługa, bo może zasnę.

— Jestem pewna że nie zaśniesz! gdybyś się nawet tej infuzii rumianku napił, którą mi kiedyś dałeś w Rozalinie, to niezaśniesz.

— Proszę, proszę zaczynać.

— Wkrótce po wojnie Austryackiej jeden z obywateli Poznańskich, powziąwszy zamiar przesiedlić się na Mazowsze, spieniężył cały swój majątek na pruskie bankocetle i częścią na gotówkę, żonę i dzieci zostawił u krewnych, a sam z całym swoim kapitałem wybrał się w drogę do Warszawy, żeby przygotować wprzód dla familii nieruchomą posiadłość. Znużony podróżą i słaby, zatrzymał się w Kutnie na nocleg, zajął w oberży osobną izbę, postawił szkatułę przy łóżku i posłał po Doktora. Czy tak?

— A tak — odpowiedział Notkiewicz, o tém wie cały świat, bo z tego powodu agitowała się później głośna sprawa w Trybonale.

— Istotnie głośna sprawa, masz pan zupełną słuszność, ale czemuż niedodasz, że dotąd nieskończona?

— Ja myślę że ta sprawa dawno skończona.

— Pan tego niemyślisz, bo mu lepiej niż komukolwiek wiadomo, że główna w niej osoba dotąd nie wpadła nawet w podejrzenie; wszakże proszę pozwolić mi dokończyć zaczętej powieści. Chyba że ta powieść już z samego początku staje się dla niego przykrą?

— O, nie! wyjąknął Notkiewicz zafrasowany i spuścił oczy.

— Otóż Doktor — mówiła dalej Hrabina, przybywszy do austerii, spotkał u samych wrót jednego z parobków który tylko co wziął straszne cięgi od gospodarza za kradzież złotówki i w pień go przeklinał. Doktor był z natury ciekawy, wdał się z parobkiem w rozmowę, żartował z niego, uspokoił go, a potém niby nawiasém zapytał — Co to za podróżny do was zajechał?

— A licho go wie! — odrzekł parobek.

— Czy koczem?

— Gdzie tam Jegomość! — bryczką, i ta nieosobliwsza.

— Jakiś charłak zapewne?

— Ale! — dobrzeby Jegomości być takim charłakiem.

— Albo co? czy grubym trzosem opasany?

— Nie.

— A cóż takiego?

— Widziałem cóś lepszego niżeli trzos.

— Gadajże.

— At, na co się to Jegomości przyda? O tem lepiej nie myślić, bo próżno Djabeł kusi.

Doktor udał że go ten podróżny wcale nieobchodzi i że pyta się o stan jego kieszeni dla tego tylko żeby wiedzieć czy będzie mógł mu zapłacić za wizytę.

— O niech Jegomość śmiało idzie — zawołał parobek, szlachcic ma dużo pieniędzy! Widziałem jak furman zdejmował z bryki jakiś mały kuferek i przypadkiem upuścił go na ziemię — tać to brzękło w nim tak głośno, jak gdyby cały bitemi talarami był napchany!

Doktor pośpieszył natychmiast do chorego, i wypytując

go o symptomata słabości, tak zręcznie prowadził rozmowę, że dowiedział się i o celu jego podróży i o dalszych zamiarach, a z boku przypatrzył się szkatule. Nie — rzekł sobie, zamyśliwszy się niby nad chorobą podróżnego, niepodobna żeby w szkatule była sama tylko gotówka. Wszakci to na kupienie porządnego, jak on powiada, majątku, niemało potrzeba. Odkąd wynaleziono bankocetle i wexle bankierskie, byłoby dziwactwem monety wozić z sobą. Potem oświadczył że słabość nie jest niebezpieczną i że przyszle lekarstwo od którego niechybnie przejdzie, a rozmawiając jeszcze o tem i owem, jakby nawiasem rzekł — Przyznam się panu Dobrodziejowi że z powodu pewnej bagateli znajduję się w kłopocie. Wypada mi posłać do Magdeburga bardzo małą kwotę pieniędzy, wszystkiego 5 talarów i niewiem jakby to zrobić? Pocztmistrz tutejszy naszą polską monetę niechce posłać za granicę, i powiada mi żebym dostał pruski bankocetel — zkąd ja go wezmę?

«Obywatel rozrachował w umyśle że Doktor za wizytę i za lekarstwo wymaga cokolwiek drogo, wszakże, znajdując się w podróży, w małém miasteczku, gdzie niebyło drugiego lekarza, zmarszczył się tylko i postąpiwszy ku szkatule jak gdyby dla wydobycia z niej bankocetlu, nagle się zatrzymał. Ja panu przyszlę przez służącego — rzekł. Doktor przekonał się że w szkatule są bankocetle!

— Skąd pani wiesz te szczegóły? spytał Notkiewicz.

— Ostrzegam pana że to co opowiadam jest powieść, a zatém wyrażenie myśli i uczuć bohatera zależy od miary moich zdolności literackich. Mogę się w tym względzie my-

lić, i to zostawiam panu do sprostowania; lecz fakta są prawdziwe, za to ręczę.

— Skądże pani wiesz te fakta?

— To ci się wydaje dziwném Konsyliarzu? — jednak rzecz bardzo naturalna! Po wyjściu Doktora obywatel otworzył szkatułę i dobywszy pięcio-talarowy bankocetel oddał go służącemu dla wręczenia Doktorowi. Służący się nieco zdziwił że pan w Kutnie wydaje pruskie papiery, co spowodowało obywatela do objaśnienia swemu słudze jakim sposobem szanowny konsyljarz, wymyśliwszy historją o Magdeburgu, zdarł go. Potem wszystko to służący powtórzył przed sądem. Ale wróćmy do powieści. Spodziewam się żem pana nie znudziła?

— Nie — bynajmniej!

— Opuściwszy chorego, Doktor znalazł parobka siedzącego jeszcze pod wrotami austerii — Chodź ze mną, rzekł mu, zaniesiesz temu podróżnemu lekarstwo, to ci da na piwo. — Parobek poszedł za nim; — po drodze zaczęli znów rozmawiać o przyjezdnym.

— Czy ty wiesz — rzekł Doktor, że ten pan bardzo bogaty, chociaż w lichej bryczce przyjechał!

— O? — czy doprawdy? podchwycił parobek.

— Niezawodnie. Ten kuferek, o którym wiesz, to szkatuła, a w tej szkatule są pieniądze, a za te pieniądze jak mi sam się przyznał chce kupić wieś. Jak ci się zdaje, czy dużo trzeba pieniędzy żeby kupić wieś, z ziemią, z lasem, z bydłem, z końmi, z łąkami, z młynem, z karczmą?....

— Aj, Jegomość, jużci bardzo dużo potrzeba!

— To teraz rozumiesz że tam musi być wiele grosiwa?

— Oj rozumiem!

— A wiele ty bierzesz od gospodarza na cały rok?

— At! wszystkiego 30 złotych.

— Dla czegoż u ciebie niema takiej szkatuły? tobyś nic nierobił, pił sobie i hulał, i całe życie tylko dobywał z niej błyszczące złotówki, dwuzłotówki, talary, dukaty.... czy miałeś kiedy dukata w ręku?

— At, co to Jegomość mnie takie rzeczy gada?—a dla czego u Jegomości samego niema takiej szkatuły?

— Cha, cha, cha! ja się kiedyś dorobię. A ty i kraść nawet niepotrafisz! — dziś za głupią złotówkę dostałeś cięgi.

— Nie jegomość! to przypadkiem się wydało. Doprawdy, pierwszy raz dopiero nieudało mi się!

— Więc ty już nieraz kradłeś?

— Cóż robić Jegomość, ręka sama bierze. Już to djabeł widać kusi.

— Ale źle cię kusi kiedy się kradzież wydaje. Żebyś to ty umiał zgrabnie ukraść — ale ty nic nie potrafisz!

— Oho! niemów Jegomość tego! Ot, doprawdy żebym chciał, toby i ta szkatuła była moja.

— Cha, cha, cha! tobie niedźwiedziu o tem myślić! zabardzoś ty głupi!

— Co? ja głupi? otóż zobaczemy.

— Ośle ty ośle! tylko chwalić się umiesz.

— Niech mnie jasne pioruny....! jeżeli niedostanę.

— A jakże wejdziesz, kiedy izba będzie zamknięta?

— O wielka sztuka! kominem się spuszczę.

— A jakże szkatułę zabierzesz?

— Dziwosy! kominem wyciągnę.

— Otóż widzisz żeś do niczego! to niepodobna....

— Jegomość nierozumiesz jak to zrobić? — doprawdy można! Ot, jak: — uwiążę sznur na dachu, spuszczę się kominem, wezmę szkatułę i przywiążę do końca sznura, po sznurze wylizę na dach, wciągnę szkatułę za sobą, odwiążę sznur i wszystko przepadło — jak kamień w wodę!

— Jakże podróżnemu weźmiesz z przed łóżka szkatułę.

— Będzie spał.

— A jak się obudzi?

— At, to i na to znajdę sposób!

— Cóż z tego? jak weźmiesz szkatułę, to zaraz zaczniesz hulać, zobaczą u ciebie pieniądze i wszystko się wyda.

— Prawda Jegomość! trzeba będzie pieniądze zakopać do czasu póki się hałas nieuspokoi.

— Cha, cha, cha! ty już wszystko urządziłeś, a cóż będzie jeżeli ja ciebie wydam?

— O!... niech Jegomość tego nierobi,... ja dam połowę pieniędzy; — wszak ich tam dużo? będzie dla nas obydwóch.

— Ja bym miał wziąć od ciebie cudze pieniądze za nic! mnie pieniędzy niepotrzeba — ja się ich sam dorobię. Żebym tę szkatułę znalazł na drodze, tobym wziął z niej jedne tylko papiery, a gotówkę bym oddał familii co do grosza.

— A jabym oddał papiery, a pieniądze bym sobię scho-

wał. Kiedy Jegomość chce, to ja mu oddam wszystkie papiery jakie tam są?

— Żebyś ty był uczony człowiek, tak jak ja naprzykład, tobyś wiedział że każda xiążka, każdy pisany papier może być przyjemniejszy dla nas niż pieniądze. A ten podróżny bardzo rozumny człowiek, musi mieć ciekawe papiery.

— Tfu! xiązki, papiery, to nie dla nas!

— Ale o tóż i mój dom! no mój kochany, bądź kontent że ja nie z tych ludzi co to drugim źle życzą, bo inny na mojém miejscu pewnie by cię wydał. Potem dał mu lekarstwo i odprawił go.

«Lekarstwo, jak się domyślam, musiało być podobne do tej infuzii rumienku którą kiedyś odebrałam z rąk pańskich w Rozalinie, gdyż podróżny wziąwszy je natychmiast twardym snem zasnął. Noc była ciemna i wietrzna. Parobek kuszony od szatana wykonał swój plan co do joty. Właśnie kiedy brał szkatułę patrząc bacznie w oczy śpiącemu, podróżny przez sen zrobił jakiś gest — złodziej zląkł się i stał się mordercą! Wyłażąc już na dach spostrzegł z przestrachem że jedna okoliczność mogła go wydać, a mianowicie, baba którą komin z wieczora był zatknięty, została na trzonie! Spuścił się więc jeszcze raz, za pomocą sznura wciągnął babę do komina na zwyczajne miejsce, odwiązał sznur, i zakopawszy pieniądze, wszystkie papiery które były w szkatule tej samej nocy wręczył Doktorowi, który nie pogardził daniną zbójcy, bo to były bankocetle na 18,000 talarów.

Notkiewicz milczał.

— Nazajutrz rano, w austeryi zrobiło się okropne zamieszanie. Służący o świcie zaczął kołatać do drzwi pańskich, a niemogąc go się dobudzić i sądząc że słabość jego zwiększyła się w nocy, wyłamał drzwi i wszedł razem z gospodarzem. Jakiż był ich przestrach kiedy ujrzeli podróżnego z gardłem przerzniętym zbroczonego we krwi! Kto to morderstwo popełnił? tego nikt niemógł pojąć, bo drzwi w przytomności całej czeladzi wyłamano, okna w pokoju były szczelnie zamknięte na wszystkie haczyki, babę nawet znaleziono na zwyczajnem miejscu w kominie. Burmistrz wziął natychmiast wszystkich ludzi pod straż, lecz nic niemogł z nich wybadać, bo nawet nieobecność parobka, prawdziwego złoczyńcy, w czasie tej nocy niemogła się wykryć, spał bowiem nie razem z innemi, lecz osobno pod strychem stajennym, zkąd rano, na odgłos trwogi wylazł i wmieszał się między innych służących.»

Tu Hrabina zatrzymała się znów w swoim opowiadaniu i utkwiła wzrok przenikliwy w Notkiewicza. Doktor siedział w krześle w jakimś stanie pośrednim między śmiercią i życiem. Zimny pot kroplami występował mu na czoło, spójrzenie mętne pokazywało całkowity upadek odwagi, po tej zuchwałości z którą przed chwilą się odzywał, ręce drżały mu jakby od mrozu grudniowego.

— Cóż konsyljarzu, zagabnęła Hrabina ironicznie, czy nie znudziłam cię czasem moją powiastką?

— A, to szatan nie kobieta! mruknął Notkiewicz, zamyślony — skąd ona się tego dowiedziała?

— Cha, cha, cha,—podchwyciła Ewa—widzę, że i naj-

naturalniejsze rzeczy stają się dla pana niepojętemi! — jużci od samego parobka!

— Gdzieżeś Pani *Kubę* widziała?....

— Musisz Pan być niezmiernie zmieszany, bo mówisz zupełnie od rzeczy. Naprzód wydajesz swoje sekreta nazywając zbójcę po imieniu, którego dotąd niewspomniałam umyślnie; a powtóre odzywasz się z tak grubjańskim domysłem że aż mnie do śmiechu pobudzasz. Ja bym miała ciągnąć indagacje z prostego parobka? *Fi donc!* strach nie pozwala panu zastanowić się nad tém co mówisz. A od czegoż są pieniądze na świecie? W moim położeniu mogę się wyręczyć drugą osobą. Posłałam zaufanego człowieka z rękami nieprożnemi, bo miałam przeczucie że rozwiązanie krwawej Kutnowskiej zagadki może mi się kiedyś przydać i jak Pan widzisz, przeczucie nieomyliło mnie. Ten człowiek znalazł zręczność widzenia wszystkich uwięzionych i nakoniec odkrył winowajcę. Odkrył ale niewydał—dowiedział się tylko całej tajemnicy i w nagrodę za jej wyjawienie ułatwił Kubie-rudemu ucieczkę z więzienia.

— O! — jęknął Notkiewicz, i schwycił się oburącz za głowę.

— Niedość tego. Kuba jest w moim ręku. Wiem w każdej chwili o jego pobycie i w każdej chwili mogę go poddać pod stryczek katowski, a z nim razem i kogoś innego Pan się domyślasz kogo?

Doktor zgnębiony zupełnie padł na kolana przed Hrabiną.

Ewa odepchnęła go swoją drobną nóżką.

— Podły jesteś i zuchwały — rzekła z pogardą, daruję ci życie, lecz pamiętaj że odtąd jesteś moim niewolnikiem, że każdy mój rozkaz powinieneś natychmiast, bez oporu, ślepo i ścisle wykonać. Przed światem będziesz się nazywał domowym moim doktorem i dawnym znajomym. A teraz precz mi z oczu!

Notkiewicz chwiejąc się wyszedł z salonu.

Odtąd naczął codziennie odwiedzać dom Hrabiny, która nietylko przy obcych nigdy mu nieubliżyła, ale nawet kiedy byli bez świadków nigdy nieprzypomniała mu ani tej rozmowy, ani żadnego wypadku przeszłości. Dla Hrabiny, przeszłość równie w dobrém jak i w złém, w pamiątkach przyjemnych lub przykrych, była rzeczą zupełnie skończoną, nie exystującą wcale, tak jak płomień świecy co się spaliła, słowem była *niczém*, niemiała dla niej żadnej wagi. Takowe pojęcie wywierało wielki wpływ na charakter Ewy. Ta dziwna kobieta była zdolna działać w obecnej chwili lub przygotowywać działanie na przyszłość, i wtedy wszystkie siły umysłu i namiętności łęczyły się z wolą energiczną dla dopięcia zamierzonego celu, lecz wrócić do tego co już było kiedyś dokonane, skończone, płużyć we wspomnieniach przeszłości, zdawało się dla niej równie niepodobném jak zacząć cokolwiek i niedoprowadzić do takiego rozwiązania, iżby rzecz była całkowicie rozstrzygnięta. Hrabina nigdy i nikomu dwa razy jednej wymówki niezrobiła. To postępowanie ośmieliło Notkiewicza i po niejakim czasie można go było już widzieć uwijającego się bardzo swo-

bodnie po salonach Hrabiny, skarbiącego sobie znajomości i praktykę.

Pewną razą Ewa przeczytawszy list odebrany z poczty, rzekła mu:

— Mogę Panu powiedzieć przyjemną nowinę. Ciotka moja będzie w tych dniach w Warszawie, rozumie się z Heleną.

— Ach! krzyknął Doktor — z jakiegoż to powodu.

— Kapitanowa ma tu podobno jakąś sprawę o sukcessją po jednym z krewnych nieboszczyka męża. Sądzę jednak że to jest tylko pretext, prawdziwym zaś powodem jest zapewne ta nadzieja którą się pieszczą wszystkie matki na prowincyi, że w stolicy można zawsze znaleść męża dla dorodnej córki.

— Kiedyś Pani obiecałaś mi łaskawe wstawienie się do Cioci i siostry.

— Tak! — to prawda; lecz pojmujesz Pan że od tego czasu okoliczności się zmieniły. Wtedy zdawało mi się że siostra moja moglaby z panem być szczęśliwą — a dziś myślę inaczej.

— Powiadają że małżeństwo ludzi przemienia. Mogę się poprawić.

— Małżeństwo przemienia tylko kobiety — zawołała Hrabina z ogniem. Kobieta, kiedy z wolnej, swobodnej jak ptaki niebieskie dziewicy, stanie się żoną, z jakiejś idealnej, poetycznej istoty — gospodynią, z niedoświadczonej, nieznającej świata — męczennicą, niepodobna żeby została w tém samém usposobieniu moralném w jakim była przed szlu-

bem. Musi się stać albo lepszą albo gorszą, lecz daleko częściej staje się lepszą, jeżeli mąż przynajmniej nie przeszkadza dobrym jej chęciom. A dla mężczyzny małżeństwo co znaczy? Cha, cha, cha, wieczór godowy, po którym zamiast żyć samotnie w swoim domu, nabywa do posługi słabą istotę, z którą może postępować jak mu się podoba, która ani fizycznie ani moralnie nie jest w stanie mu się oprzeć, która musi cierpliwie znosić jego dziwactwa, kaprysy, głupstwo i barbarzyństwo. O, dla czegóżby mężczyzna miał się przemienić po zawarciu szlubów małżeńskich!—I Pan chcesz żebym mej siostrze przygotowała taką wesołą przyszłość? nie! moja siostra warta lepszego losu.

— Ba! czy to każdy ma to czego wart!—rzekł Notkiewicz od niechcenia.

Te słowa wprawiły Ewę w zadumanie. Kilka minut przeszło w milczeniu, czoło jej zasępiało się, chmurzyło się w fałdy, nareszcie rzekła z przyciskiem:

— Masz Pan racją, niekażdy ma to czego wart. Czuję żem warta lepszego losu i że mogłabym być lepszą niż jestem. A że jestem zła, to najlepiej pojmuję w tej chwili porównywając siebie z moją siostrą. Helena nigdy nie zrobiła mi najmniejszej przykrości, owszem, jestem pewna że mam w niej najszczerszą przyjaciołkę. Helena jest najcnotliwsza, najmoralniejsza dziewczyna pod słońcem, pojmuję iż powinnabym wszelkiemi środkami przyczynić się do zapewnienia jej szczęścia azatém powinnabym stanowczo stanąć na przeszkodzie pańskim zamiarom, bo mam przekonanie że nie jesteś godzien być jej mężem — a jednak,

w sercu moim tak gwałtownie w tym momencie zakipiała nienawiść do tej biednej Heleny, tak mnie szatan kusi ażeby tę wzorową panienkę podać na próbę przeciwności, ażeby doświadczyć czy w samej rzeczy nie zachwieje się, czy wytrwa w cnocie, łagodności i czy rozum jej nie pryśnie — o! tak mnie szatan kusi, że jeżeli mnie jeszcze raz poprosisz Konsyljarzu, to gotowa jestem przyrzec ci pomoc.

Doktor prosił usilnie.

— Ha! dobrze. Będę Panu pomagała, ale niczém więcej tylko *słowém*, działać nie przyrzekam.

— O! samo wstawienie się Pani zapewni mi pomyślny skutek — rzekł Notkiewicz.

XIV.

W początku wiosny 1812 roku, w schludnym drewnianym domku znajdującym się prawie na końcu Warszawy, stary Łaszcz siedział pewnego wieczora z żoną przy stole oświeconym jedną łojową świeczką i odczytawszy żywot świętego który na ten dzień przypadał, zaczął przebierać karty w xiążce, poki nie natrafił na żywot S. Józefa Patryarchy — potem zamyślił się i rzekł — Niewiesz Teklusiu, czy ty uważałaś ile to już dobrodziejstw doświadczyliśmy tu w Warszawie, tać to cud prawdziwy że tu żyjemy prawie tak samo jak w Rozalinie.

— Oj nie tak samo! — odpowiedziała żona.

— Ba! naturalnie że jest jakaś różnica. Postarzeliśmy oboje o kilka lat i straciliśmy syna. Jużci tę stratę trzeba sobie nareszcie wyperswadować — a zresztą choć niemamy ani własnego domku, ani takiego gospodarstwa jak kiedyś, jednak grzechem było by skarżyć się na niedostatek. Dzięki Bogu, niczego nam nie braknie.

— Jużci mamy dosyć, to prawda, ale jak tu wszystko drogo kosztuje, i jeszcze nic dobrego znaleść nie można.

Wstyd powiedzieć że w takim wielkim mieście, trzeba być magnatem, bogaczem żeby mieć dobre mléko, świeże masełko, kurę tłustą lub gęś, a o indyku, o zwierzynie ani myślić; — przecieć to wszystko nic nas dawniej niekosztowało.

— O wielka rzecz! mamy odzienie i ciepłą izbę....

— A służącą najmować? czy to mało kosztuje?

— He, he! jak to wam niewiastom zawsze źle z tém co Pan Bóg daje! prawdziwe córki Ewy, co niedość jej było całego raju, jeszcze jabłko musiała zerwać! — At, przypomnij sobie tylko jak to nam kuso było z początku w Warszawie. W trybunale śmieli się ze mnie kiedy zacząłem się wpraszać na Woźnego, ostatnie grosiwo przywiezione z Rozalina wychodziło, długu nieboszczyka Jegomości, Panie świeć nad jego duszą, Hrabia nieprzyznawał.... prosto desperacja brała! Żeby ten poczciwy Notkiewicz niebył mnie najmował na stróża do chorych, nienastręczał do modlenia się przy umarłych i nie zarekomendował w szpitalu, możebyśmy byli z torbą poszli. Aż tu pamiętasz jak pewnego dnia panna Ewa — tfu! co ja mówię? Pani Hrabina, od razu, cały dług z procentem nam odesłała, a potem ten niemy lokaj, od którego słowa się niemożna dowiedzieć, zaczął nam każdego miesiąca po 10 talarów przynosić, jak gdyby żołd wysłużony?

— Jużci wysłużony, i bardzo wysłużony!

— No, wszakci ja tylko domyślam się że te pieniądze przysyła nam Panna Ewa — tfu! pani Hrabina — jednak przysiądz na to niemogę, bo ten przebrzydły lokaisko nigdy niechce ust roździawić.

— Ale rozumie się że nikt inny tylko ona! Po czasie żal jej się zrobiło że nas bez przyczyny wypędziła z Rozaliną, i teraz masłem smaruje.

— Może być, może być, co nam wglądać w jej pobudki? Dobrodziejstwo dobrodziejstwem zostaje, niech jej Bóg to wynagrodzi! Wiesz co! — jestem pewny że i miejsce Woźnego przy Trybunale tylko jej protekcii winienem, boć to ci sami co się kiedyś śmieli z mojej prośby potem ledwie nie gwałtem przymusili mnie przyjąć urząd, i od tego czasu zrobili się dla mnie bardzo grzeczni!

— Och! nielubię ja tej Hrabiny.

— Źle robisz Teklusiu! to nasza, dobrodziejka, trzeba się za nią modlić.

— Mów co chcesz Kacperku, a ja niemogę! język kołkiem staje mi w gębie kiedy zacznę za nią odmawiać modlitwę, a przeciwnie za tego nieznajomego co to na ręce Pani Kapitanowej Kostyńskiej z zagranicy przysyła nam wsparcie — o! za tego z roskoszą, nieustannie bym odmawiała pacierze, i ciągle o nim tylko myślę.

— Ba, rozumiem! bo ty sobie niewiedzieć skąd wyobrażasz że to Staś.

— A któż by inny? wszak my nikogo nieznamy za granicą.

— Mówiłem ci już nieraz że to może P. Walery.

— At, skąd by się jemu wzięło przysyłać nam pieniądze?

— Już ci wielkiej przyczyny niema, to prawda, ale widzisz, kochał kiedyś pannę Ewę, to może mu przykro że

nas bez przyczyny z miejsca spędziła, i stara się ile możności jej postępek zagładzić.

— Co też ty sobie wymyślasz za dziwosy, żeby tylko niewierzyć temu że nasz Staś żyje?

— Ale bój się Boga niewiasto, któż ci powiedział że nasz syn niespalił się w karczmie?

— Nikt mi nic niemówił, tak samo jak ojcu S. Józefa, a jednak prawie pewna jestem że te pieniądze to Staś nam przysyła, tak jak kiedyś S-ty Józef przez braci tajemnie ojcu przysłał upominek. Smiej się Kacperku, a ja ci powiadam że syn nas przygarnie na starość.

— Ha! dałby to Bóg — tylko cóś już dawno niema żadnej wiadomości od pani Kostyńskiej. Pono miała przyjechać do Warszawy?

— Albo co?

— A to, że ona przecieć musi wiedzieć kto te pieniądze przysyła? pewnie listy od niego odbiera? to nareszcie dowiemy się sekretu.

— Ach! prawda! — żeby to ją pan Bóg prędzej tu sprowadził!

W kilka dni po tej rozmowie, wieczorem, ktoś z lekka do drzwi Łaszcza zastukał i wchodząc rzekł, niech będzie pochwalony J. C.

— Na wieki! odpowiedział Woźny, spójrzał na nieznajomego i równemi nogami zerwawszy się z miejsca zawołał — a dyć to ty Łukaszu?

— A ja Jegomość, odpowiedział gość — albo co?

— Siadajże mój Dobrodzieju i powiedz czy dawno twoja

pani a nasza zacna protektorka przyjechała do Warszawy? jak się ma Pani Kapitanowa? czy zdrowa panna Helena? czy długo tu zabawicie? gdzie mieszkacie? siadajże naprzód.

— Dziękuję Jegomość, niemam czasu. Jesteśmy już parę tygodni w mieście, ale z początku dużo było sprawuków, a potem mieszkania Jegomości nie mogłem znaleść. Pani i panienka dzięki Bogu zdrowe, kłaniają się i kazały mi ten list oddać. — Tu wręczył woźnemu pismo, po otworzeniu którego wypadły na stół holenderskie dukaty.

— A jak mi Bóg miły, zawołał Łaszcz, to znów pieniądze z za granicy! O, już na ten raz, to niezawodnie muszę się dowiedzieć o naszym tajemniczym dobrodzieju! — przeczytał list pani Kostyńskiej i znalazł w nim adress jej mieszkania za żelazną bramą, tudzież zaproszenie żeby ją odwiedził. Wzruszony tą uprzejmością byłby natychmiast pobiegł rzucić jej się do nóg gdyby lokaj niepowiedział mu że matka z córką pojechały na wieczór do Hrabiny Olborskiej. Musiał więc wizytę swoją do następnego dnia odłożyć.

Starzy cały ten wieczór przegawędzili o tajemnicy co ich tak mocno zajmowała i tak bliską była rozwiązania, a kładąc się spać Woźny kilka razy powtarzał żonie żeby go wcześnie zbudziła. Rano Łaszcz, zjadłszy na prędce śniadanie już o godzinie 5-tej zabierał się do wyjścia z domu. Żona zaledwie zdołała mu wytłumaczyć że Kapitanowa po wieczorze u Hrabiny używa dłuższego zapewna spoczynku, przeto niema się czego śpieszyć. Woźny zaczekał jeszcze godzinę, potém wziął kapelusz i laskę i rzekł — nie Teklusiu! dłużej niewytrzymam! pójdę lepiej, bo w domu jestem jak na

szpilkach. Będę iść powoli i cieszyć się tą myślą że przynajmniej zbliżam się do tego miejsca gdzie się wszystkiego dowiem. Bądź zdrowa! módl się tym czasem, żebym ci przyniosł pomyślną nowinę. To powiedziawszy wyszedł.

Na dworze było jeszcze szaro, ulice jednak zaczynały się już ożywiać z nocnego milczenia. Przekupki rozstawiały stragany z obarzankami, ochrypłym głosem witały się z sobą, opowiadały sobie sny i nowiny i natrafiwszy na jakibądź szkopuł swarzyły się zapamiętale. Żydzi w zajęczych czapkach przemykali się w mgle poranku, ustępując z drogi tragarzom i wyrobnikom, służące biegały do sklepików i gawędziły na ulicy z sąsiadkami, dorożki wyjeżdżały na miasto, słowem wszystko zaczynało wchodzić w zwyczajną kolej dziennego gwaru i ruchu. Łaszcz ciągle sobie powtarzał że niema się czego śpieszyć, bo tylko subjekcii narobi kobietom, jednakże pomimo tego z całej siły wyciągał nogi. Droga była daleka, stary kilka razy odpoczywał i nareszcie zziajany, około 8-ej stanął u Kapitanowej. Zastał ją już siedzącą z córką przy kawie.

Po serdecznem przywitaniu się i przypomnieniu Rozalina, Laszcz niecierpliwy dowiedzenia się tajemnicy, domawiał się o wyjawienie jej, z początku bardzo *politycznie*, lecz gdy to niepomogło i pani Kostyńska, uśmiechając się, stale odpowiadała iż niewie nazwiska nieznajomego, zawołał nareszcie prawie ze łzami — Pani Dobrodziejko! wiadomo pani że w dzisiejszym czasie nikt pieniędzmi nieszafuje i za okno ich niewyrzuca, że my ludzi biedni, w cudzych krajach żadnych dobrodziejów niemamy, a straciwszy syna tak dziw-

nym wypadkiem że niepodobna z pewnością powiedzieć czy się spalił w pożarze lub też cudem jakim został przy życiu, naturalnie tłumaczemy sobie rzecz na lepszą stronę; — wyobrażamy sobie że nasz Staś żyje i że to on z zagranicy starość naszą opatruje. Chłopiec odebrał porządną edukacją, pieniędzy nas niemało kosztował, może się tam u cudzych chleba dorobił i teraz wedle możności wdzięczność nam okazuje. Któżby oprócz niego mógł tylē o nas myślić? Bądź pani Dobrodziejka łaskawa, ulżyj naszej niespokojności, jużci jakieś listy od niego muszą być w jej ręku, proszę mi pozwolić na nie popatrzeć.

— Najchętniej — odpowiedziała pani Kostyńska — nietylko popatrzeć, lecz pozwalam je Wpanu przeczytać i nawet zachować u siebie. To powiedziawszy skinęła na córkę która pobiegła do kantorka ażeby listy wyszukać.

Woźny ledwie się nie rzucił do nóg Kapitanowej.

Kiedy Helena podała mu listy, zaczął je przerzucać skwapliwie, wpatrując się w pismo, i najgwałtowniejsza walka wszczęła się między umysłem i sercem biednego ojca. Kiedy patrzał na zapisany papier i słuchał co mówiło serce, był prawie pewny że to pismo Stanisława, przeciwnie kiedy słuchał umysłu, zdało mu się że stare jego oczy zbyt słabo widzą, że niedobrze sobie przypomina charakter syna, że nic łatwiejszego jak się omylić i z rospaczą mówił sobie że tej kwestii niepotrafi stanowczo rozstrygnąć. Co najmocniej go zastanawiało i martwiło, to, że na listach niebyło nigdzie podpisu — wszystkie kończyły się jednakowo — «z najgłębszym uszanowaniem i dozgonną wdzięcznością mam ho-

nor być WJMćPani Dobrodziejki najniższym sługą i do czasu nazywać się *nieznajomym.*» O ja nieszczęśliwy, zawołał Woźny z wielkim smutkiem i rzucił na stół cały pakiet listów. Stał kilka chwil zamyślony i nakoniec przy pomocy Heleny zaczął czytać wszystkie listy jeden po drugim. Wszystkie były jednakowej treści. Nieznajomy posyłał pieniądze i prosił przesłać je P. Kasprowi Łaszczowi Komissarzowi dóbr Rozalińskich. Nareszcie wpadł mu w ręce najpierwszy list nieco obszerniejszy od innych; — w nim po przemowie do szlachetnych uczuć Kapitanowej nieznajomy pisał — «mając wielkie i szczególne obowiązki dla P. Kacpra Łaszcza i pragnąc mu okazać wedle możności niewygasłą w mém sercu wdzięczność za jego dobrodziejstwa, upraszam pani o przesłanie mu sekretnie załączonych i t. d.

— O, to nikt inny tylko Staś! krzyknął uradowany starzec i jakby obawiając się żeby mu jego skarbu niewydarto, czém prędzej schował listy do kieszeni. potem usiadł i rękawem obtarł łzę co mu się zwolna toczyła po jagodach. Matka zgadła! — dodał rozczulony, otóż historja S. Józefa patryarchy sprawdziła się na nas!

Kobiety spytały coby znaczyła ta historja? Stary z zapałem opowiedział im o dziwném upodobaniu które od czasu straty Stasia miał w czytaniu żywota S. Józefa, a potém rzekł — cóż panie sądzicie? co też mój syn porabia za granicą?

— Ja myślę, odpowiedziała Kapitanowa, że musiał się jakim sposobem wyratować z płomieni i potem udał się do służby wojskowej. Teraz zapewne jest officerem w wojsku

francuzkim lub w naszych pułkach konsystujących za granicą i jako dobry syn o rodzicach niezapomina.

— Hm! jaki on dobry syn! przerwał Łaszcz z niechęcią — źle zrobił, bardzo źle, jeżeli na swoim postawił i do wojska przystał. Ja mu tego zakazałem pod błogosławieństwem. Bardzo źle! Żeby tam był przynajmniej do jakiego Trybunału się zgłosił i służbę sądową praktykował, to choć to cudzoziemskie Trybunały nie to co nasze, jednak przebaczyłbym mu, ale do wojska! — to szkaradnie! niespodziewałem się!

— Ale ja Wpanu na pewno nie zaręczam że on służy w wojsku — rzekła Kapitanowa, bo ja o tem dokładnie nic niewiem, tylko się tego domyślam. Widzisz panie Łaszczu, za granicą mają w Trybunałach dość swojej młodzieży, naszych niepotrzebują i gdyby syn pański chciał sobie był obrać ten zawód, toby w kraju był został. Jeżeli więc wyszedł z Polski to naturalnie nie w innym celu, tylko żeby się poświęcić szlachetnemu zawodowi wojskowemu.

— Tak, szlachetnemu! krzyknął Woźny z gniewem, piękna mi szlachetność iść przeciw woli rodziców, niesłuchać wyraźnego przykazania bożego! on sam dobrze to czuje że grzeszy przeciwko Bogu i niezasługuje na szacunek ludzki. Patrz pani, wszak nieśmie prosto do mnie napisać a używa pośrednictwa drugich osób, nieśmie nazwiska swojego na liście podpisać! Cóż to znaczy? Pan żołnierz domyśla się że od nieposłusznego syna Kasper Łaszcz nieprzyjmie ani listu ani żadnego dobrodziejstwa. Jeżeli tak niegodziwie postąpił, słyszeć o nim niechcę, a jeżeli mi się po-

każe na oczy w swoim mundurku w którym jak szczygieł musi wyglądać, przysięgam że jakem szlachcic każę mu się położyć i własną ręką dam mu naukę moralną o posłuszeństwie synowskim!

— Uspokój się Waszmość — może być że te listy wcale nie syn pański pisał? wszak nazwisko nie podpisane, i charakteru z pewnością Wpan nie poznałeś...

— Prawda, prawda! zawołał ojciec zasmucony — może to i nie on! może się biedak spalił w tej karczmie i prochy jego wiatr gdzieś rozwiał po świecie, a ja się na niego gniewam!... Ale nie, to niemoże być żeby kto inny oprócz mego syna przysyłał mi pieniądze z cudzych krajów. Trzeba tak poczciwej duszy jak mój Staś żeby ostatni grosz rodzicom oddawać, sobie od gęby odejmować a o nich pamiętać! Tylko poco on do wojska wstąpił?

— I na to niema dowodu; — to tylko domysł.

— Musiał się zaciągnąć do wojska, to prawie pewne. Oho! znam ja go; — od samego dzieciństwa rwał się do stanu rycerskiego — a ja zakazywałem!....

Tak przechodząc koleją z czułości do gniewu i od nadziei do zwątpienia, Łaszcz rozmawiał jeszcze czas jakiś z Kapitanową, która łagodną perswazją, a szczególniej odwołaniem się do religii znacznie go uspokoiła, i nakoniec zabrawszy listy pośpieszył do swojej Teklusi, ażeby przy jej pomocy ostatecznie rozstrzygnąć kwestją czy Staś wstąpił do wojska lub nie?

Po wyjściu Łaszcza Pani Kostyńska usiadła z robotą koło okna, a Helena zaczęła polewać kwiaty które zdawały się

być dla niej niezbędną potrzebą w życiu. Pierwszą jej myślą po przybyciu do Warszawy było ozdobienie pokoju choćby kilku wazonami róż i gwoździków, geranii, jaśminu, mirtu i innemi co przy pomocy Ewy najłatwiej dało się do skutku doprowadzić. Matka przy pierwszej zręczności nabyła dla niej parę kanarków, piesek razem z nią odbył podróż, xiążki to samo, klawikord znalazł się w Warszawie, i tym sposobem w mieszkaniu za Żelazną Bramą znalazła wszystko co ją zwyczajnie otaczało, co do jej codziennych zajęć było potrzebne. Helena tak samo jak na wsi prowadziła gospodarstwo domowe, usługiwała matce, rozweselała ją w kłopotach, a resztę chwil wolnych pędziła wsród swoich xiążek, muzyki, kwiatów, ze swemi ptaszkami i pieskiem. Dobiegłszy 18 lat, śliczna jak anioł, wprawdzie ustępująca w urodzie swojej ciotecznej siostrze, ale niewymownie ponętna wyrażeniem tych delikatnych rysów twarzy które wydają duszę pełną tkliwości i dobroci, Helena w salonach Warszawskich znalazła mnóstwo wielbicieli, lecz dojrzały jej umysł i wychowanie religijne niemogły nieczuć pewnego wstrętu do tej młodzieży co o kwestjach życia odzywała się z zupełną oziębłością, co otwarcie szydziła z wiary, obowiązków społecznych i prawdziwego uczucia. Ta powszechna lekkomyślność, te nieustanne sarkazmy, i plotki rozlegające się w około niej i przyjmowane za dowód dowcipu i dobrej maniery, raniły boleśnie jej serce i zniechęcały ją do wyższego towarzystwa. Nieraz powróciwszy ze świetnej zabawy, szczerze ubolewała nad swoją siostrą i jej znajomemi, tęskniła do swego ulubionego zacisza

*

wiejskiego, a niemogąc do niego natychmiast powrócić, prosiła matki żeby od tej nudy, od tego odurzenia których doświadczyła w świecie, pozwoliła jej przynajmniej kilka dni w domu odpocząć. Hrabina niejednokrotnie usiłowała ją wciągnąć w odmęt tego lekkomyślnego życia w którem sama szukała zapomnienia tajemnych swoich zgryzot, porywała ją z samotności i rzucała w samo ognisko ułudy, systematycznie, uporczywie i ostrożnie pracowała nad podkopaniem zasad wpojonych jej z dzieciństwa. Bóg wie dla czego! — może z tego samego powodu dla którego nałogowy pijak zawsze pragnie mieć towarzysza do pijatyki. Może niemając wyraźnego postanowienia zepsuć siostrę, była ślepym narzędziem złego ducha, bo dusza raz przez niego podbita podobna jest do płomienia pożaru, który szerzy się we wszystkie strony, oblewa ogniem i chwyta w swoje łono wszystko czego dosięgnąć może i tym sposobem przedłużając byt swój, wzmaga się w potęgę póki ostatnie jego iskry na zgliszczach nie zgasną. Jakkolwiekbądź, usiłowania Hrabiny dostrzeżone przez baczną Kapitanowę, przy zupełnej otwartości między matką i córką zostały bez żadnego skutku. Helena długo usprawiedliwiała przed matką swoją cioteczną siostrę, lecz nareszcie sama spostrzegła jej zamiary, i lubo celu ich nie pojmowała, przecie postępowanie Hrabiny boleśnie ją dotknęło. Chciała przestać bywać u niej lecz Kapitanowa oparła się temu, już to z powodu związków Hrabiny które w interessach mogły jej niemało dopomódz, już też z pobudek tajemnych o których córce niewspomniala, a mianowicie dla tego że w salonach

Ewy miała nadzieję znaleść zięcia. Matki dorosłych córek bywają na wiele rzeczy wyrozumiałe. Oprócz tego jedna z niepospolitych przykrości na które Helena była narażoną w domu siostry, była to obecność Notkiewicza i jego determinacja do zalecania się — determinacja protegowana przez Ewę i coraz zuchwalsza.

Polawszy wazony Holena rzekła z westchnieniem — Mamo! moje kwiatki trzeba by wynieść na słońce.....

Pani Kostyńska skinąwszy głową na znak zezwolenia, zamyśliła się i pod wpływem tęsknoty, która od pewnego czasu jej nieopuszczała, rzekła do córki:

— Żebyś to znalazła sposób Helenko, zrobić ze mną to co z kwiatami, które przy troskliwém z niemi obejściu się przez cały rok prawie jednakowo rosną! Ale niestety! wiosna naszego życia, raz przeminąwszy nigdy już niewraca, a w jesieni człowiek niczem już sobie nie wynagrodzi słońca swojej młodości! Pamiętaj Helenko że dla ciebie jeszcze wiosna, a ja już w jesieni.

— Ach, droga mamo! ja z innego punktu patrzę na różnicę naszego wieku. Gałązka topoli naturalnie jest młodsza, giętsza i powolniejsza wiatrom niż drzewo od którego wzięła życie i którego jest wieńcem. Lecz czyliż dla gałązki może jaśnieć wiosna, gdy macierzysta topol widzi w koło siebie jesień? O nie, mamo! topol i jej gałązka tak się z sobą zespoliły że wszystkie koleje losu, czasu i pogody obydwie muszą dotknąć. Wiosenne słońce dla nich równie pożądane, tylko młoda gałązka z większym upragnieniem swoje prątki do niego wyciąga, z gęstwi listków swoich do

niego się uśmiecha. Burza i jesień równie dla nich straszne, tylko że wicher młodą gałęzkę prędzej pochwyci, niż topol mocną w swojej podstawie zachwieje.

— Słuszne porównanie zrobiłaś moja córko. Tak, istotnie, ty jesteś koroną, ozdobą i całą radością topoli! — mogę ci w oczy powiedzieć że się uważam za najszczęśliwszą z matek, że w twojej bogobojności i posłuszeństwie, w twojej miłości, dobroci serca i zdrowych pojęciach o życiu, widzę dowód wielkiej i niezasłużonej przezemnie łaski Bożej, ale i w tym się niemylisz, że gdyby na tę gałązkę dla której jedynie żyję i którą się chlubię, burza i nawałność miały się zwrócić, tuliła bym ją do macierzyńskiego łona póki by mi sił starczyło, a potem — potem, jak topol co podstawę swoją ma w głębi ziemi, i ja bym w ziemi, w mogile widziała ostatnią moją nadzieję, ostatnią radość — bo na świecie nic by mi nie zostało.»

Ten smutny zwrot allegorii doprowadził matkę i córkę do łez, rzuciły się jedna drugiej w objęcie i w tém niemém porozumieniu się najczystszych myśli ich dusz, w tém zlaniu się najtkliwszych uczuć dwóch serc zupełnie sobie oddanych, anioł niebył by znalazł najmniejszej zakały ziemskiej. Podobne chwile zdarzają się rzadko w życiu i długo trwać niemogą, bo na dnie najpoczciwszego serca leży gadzina zepsucia którą nagły płomień uczuć niebieskich może oślepić, odrętwić, skurczyć, ale nie zabić do szczętu — skoro płomień zgaśnie, gadzina rozwija na nowo swoje obrzydłe przeguby, przemyka się po otchłani serca i na nowo świadczy o swojej obecności. Cała różnica między ludźmi w tém

się zawiera, że jeden mniej drugi więcej karmi dostarcza tej gadzinie i że są takie otchłanie, takie ciemności w których płomień niebieski nigdy nie błyśnie.

Uspokoiwszy się i pragnąc prędzej przerwać zaczętą rozmowę Kapitanowa rzekła do córki:

— Moja Helenko, od dawnego już czasu zabieram się pomówić z tobą otwarcie o naszych stosunkach z Hrabiną.

— Dobrze mamo, odpowiedziała Helena,—ja sama tego pragnę.

— Siostra twoja utrzymuje tak świetny dóm w Warszawie i tyle ma związków iż wyrzec się jej znajomości było by dla mnie z wielu względów rzeczą jeżeli nie całkowicie niepodobną, to przynajmniej bardzo niekorzystną. Powiem ci więcej, siostra twoja nigdyby mi podobnego zaprzania się nieprzebaczyła, a co gorsza i ty bez żadnej przyczyny stałabyś się przedmiotem jej prześladowania, mogła byś być spotwarzona, ośmiana, wyszydzona....

— Mamo! przerwała Helena,—Ewcia nie jest zdolną do takiej podłości; — ona lekkomyślna, popędliwa, lubiąca pustotę światowego życia, ale serce ma dobre.

— I ja tak kiedyś myślałam, odrzekła Pani Kostyńska, lecz bliżej przypatrzywszy się widzę rzecz inaczej. Wychowanie jej było całkowicie zaniedbane. Brak zasad religijnych, przykład powszechnego zepsucia w wyższem kole towarzystwa stolicy, nareszcie występna obojętność męża na jej postępowanie i jego własne wady zgubiły ją bez nadziei upamiętania się kiedykolwiek. Wzdrygam się w duszy patrząc na tę nieszczęśliwą, jak swoją młodość, serce,

umysł i sumienie rzuca na pastwę ślepym popędom, jak niby obłąkana kołuje w odmęcie szaleństwa i zgorszenia. Niejestem w stanie wypowiedzieć na jak niski szczebel wartości moralnej w oczach moich upadła, z jakim smutkiem dostrzegłam w niej zuchwalstwa kobiety nieznającej wędzidła religii ani nawet opinii. Na czém się to skończy, to jeden Bóg tylko wie;—co do mnie ostrzegam cię Helenko żebyś ile możności unikała bliższych z nią stosunków. Wiem że to będzie dla ciebie boleśnie, lecz powtarzam ci bądź z nią jak z ogniem, nie bardzo blisko i niebardzo też daleko.

— Ach! żebyś mama wiedziala jak to trudno dla mnie być z kimkolwiek, a osobliwie z siostrą, ani ciepło ani zimno! Wolałabym stokroć zupełnie przestać u niej bywać, tym więcej iż tym sposobem pozbyła bym się jeszcze jednej z bardzo dotkliwych nieprzyjemności.

— Cóż to za nieprzyjemność?

— Jakże mamo? czy mama nieuważałaś że Ewcia od pewnego czasu bardzo gorliwie nabija mi tego P. Notkiewicza do którego od dzieciństwa czuję wstręt mimowolny. Przy mamie to jeszcze połowa biedy, lecz kiedy jesteśmy same jedne, to jak mi zacznie wychwalać jakieś urojone zalety tego człowieka, przyznam się że niewiem co z sobą począć, tak to faktorowanie wydaje mi się obrzydliwe, nieznośne, niepoczciwe! Wtedy gniewam się serjo na Ewcię. Nie natem koniec. P. Notkiewicz u niej zdaje się być jakby we własnym domu — nieustannie mi ofiaruje swoje usługi, robi się taki wygadany, taki zuchwały, że się ciągle muszę

rumienić i uciekać od niego. Ach, mamo! uwolnij mnie od tego natręta.

Kapitanowa zamyśliła się i rzekła — dla tego trzeba by pogniewać się z Hrabiną.

— O mój Boże! ja z powodu P. Notkiewicza nawet siostrę mniej kocham. Wiesz mamo, że niemam najmniejszej ochoty być jutro na tym balu, na który Ewcia nas zaprasza. Jakieś przeczucie niedaje mi pokoju. O żeby to nam prędzej wrócić na wieś!

— Tak — trzeba nam co śpieszniej wracać do domu. Mówią cóś o nowej wojnie. Podobno wojna tak bliska, że niektórzy officerowie polscy z Hiszpanii podali się do przeniesienia w kadry wojska narodowego. Kilku z nich już przyjechało do kraju.

Helena zarumieniła się i spuściła oczy. Matka spójrzała na nią z boku i westchnąwszy pomyślała sobie — Pamięta Ludwika i może w tej chwili spodziewa się że i on powróci do Warszawy. Ach! gdyby te uczucia które miał dla dziecka zachował i dla dojrzałej panienki, może bym przed śmiercią mogła córkę moją oglądać szczęśliwą. — Potém wracając do przerwanej rozmowy dodała — Smutno nam będzie na wsi w czasie wojny, jednak mniej doznamy trwogi niż ci co się będą lękali o synów lub braci walczących przeciw nieprzyjacielowi.

— Tak, odpowiedziała dziewczyna w pół-głosa; jednak.

— Cóż takiego? zagabnęła Pani Kostyńska z uśmiechem, czy niemasz przypadkiem w wojsku jakiego krewnego którego ja nieznam i o którego życie drżéć będziesz?

— Krewnego niemam, kochano mamo! odezwała się Helena ośmielona łagodnością Kapitanowej — ale jużci jest człowiek dla którego mam wielkie obowiązki. P. Ludwik Rawicz, wyświadczył mi w dzieciństwie tak ważne dobrodziejstwo, tyle się przyłożył do mego ukształcenia, że teraz kiedy dojrzalszy wiek pozwala mi lepiej ocenić to co posiadam z jego łaski, kiedy z jego pracy zbieram plony, każde wspomnienie jego zacnej osoby rozrzewnia mnie i wznawia w moim sercu uczucie szacunku i wdzięczności. Odkąd wiem że gdzieś na obcej ziemi, służącemu w szeregach naszych pułków co chwila zagraża niebezpieczeństwo, módlę się za niego codzień do Matki Boskiej i polecam go jej szczególnej opiece. Jeżeli powróci do kraju dla tego żeby w nowych bitwach życie swoje narażał, czyliż mama weźmiesz mi za złe że się będę lękała o niego tak samo jak inne kobiety o swoich braci i krewnych?

— Nie Helenko, tego ci za złe mieć niebędę, wszakże roztrząśnij dobrze swoje uczucie, czy niema w nim czego więcej oprócz szacunku i wdzięczności? Zdaje mi się żeś dotąd nigdy jeszcze w tym względzie dobrze nad sobą się niezastanowiła?

— Na cóż bym miała tak pilnie wyszukiwać to, co może gdzieś w ostatnim zakątku serca się kryje? Czy aż do tego stopnia mam być surową dla siebie samej żeby się dobrowolnie pozbywać nawet marzenia o zamkach na lodzie?

— O moja córko, niewiesz jak niebezpiecznie oddawać się takim marzeniom! Imaginacja puszczona samopas leci

jak kamień rzucony w przepaść bezdenną coraz chyżej, coraz bystrzej i siłą niewstrzymanego pędu pociąga za sobą rozum, wolę, uczucie i całą istotę człowieka. Marzenie jest słodka trucizna, zgubna dla duszy przez sprzeczność tego idealnego szczęścia którém ją łudzi z życiem czynném, pracowitém, narażonêm na cierpienia i zgryzoty, co jest naszym udziałem na ziemi. Owe zamki na lodzie błyszczą w promieniach słońca, jak gdyby były z brylantów, ze świetnych rubinów i topazów zbudowane, lecz pamiętaj iż wszedłszy w niepewne ich podwoje cała budowa może upaść na ciebie, a wtedy zamiast owego nadziemskiego szczęścia o którém marzyłaś, znajdziesz tylko zimną, lodowatą mogiłę. Ale dość tych allegorii. Powiem ci wyraźnie moja córko co mnie zatrważa. Gdybym była pewną że i on jest dla ciebie z tym samym usposobieniem, że długa rozłąka i nowe znajomości w świecie niezatarły w jego pamięci obrazu młodej dziewczynki, gdybym mogła sądzić że Bogu podobało się przeznaczyć was jedno dla drugiego — była bym zupełnie spokojną, była bym najszczęśliwszą. Ale gdy to wszystko niejest na niczém pewném oparte, a tym czasem wiek twój upływa...

— O! mamo, teraz rozumiem! Mama się lękasz żebym czekając na P. Ludwika, który o mnie może zupełnie zapomniał, a przynajmniej serjo nie myśli, nie została starą panną? — czy nieprawda?

— Starą i nieszczęśliwą! odpowiedziała matka z jakimś tkliwym uśmiechem.

— Nie mamo — rzekła Helena i mimowolnie dłoń polo-

żyła na sercu które od wzruszenia silniej zabiło w łonie— przyznaję się iż niekiedy wyobraźnia łudzi mnie jakąś nadzieją że P. Ludwik zawsze jest dla mnie przychylny i wtedy, niepotrafię wypowiedzieć jak mi błogo, jaka rozkosz całą moją istotę napełnia. W chwilach tego oczarowania ziemia wydaje mi się zupełnie inną, zdaje mi się że świat dopiero co stworzony, że wszystko co mnie otacza jest młode, piękne i dobre; wszystko co koło mnie uśmiecha się, jaśnieje wdziękiem i śpiewa cudownie, słowem jestem jakby w raju. Ale wkrótce potem wracam do rzeczywistości — powiadam sobie to samo co mama dopiero co mówiłaś i stokroć więcej nad to. Pojmuję dobrze że nieznam prawa myślić, ani mogę sobie tuszyć żeby P. Rawicz przez kilka lat rozłąki, spotykając za granicą tyle kobiet przewyższających mnie urodą i ukształceniem, miał sobie głowę zaprzątać obrazem prostej dziewczynki, którą kiedyś lubił w Kutnie. O mój Boże! tać to dosyć pomyślić o tem co mówią o piękności hiszpanek żeby stracić wszelką zarozumiałość.....

W tém drzwi się otworzyły i służący zameldował Notkiewicza, który, nieczekając czy go kobiety przyjmą lub nie, wszedł do pokoju z miną aktora co na teatrze małego miasteczka występuje w roli zakochanego Xięcia, zaczął w wielkich dozach administrować grzeczności matce i córce, niedomyślając się wcale iż jeżeli kiedy, to teraz, po rozmowie z Kapitanową, Helena najmniej była usposobiona słuchać jego komplementów, nareszcie rozparł się w krześle i spójrzawszy na zegarek, rzekł:

— Za 10 minut czeka Pannę Helenę siurpriza, proszę zgadnąć jaka?

Dziewczyna przypomniawszy sobie zdarzenie z zegarkiem w Kutnie parsknęła od śmiechu.

— Pan widać stale korzystasz z rady P. Rawicza — zawołała bez namysłu, — jakaż to siurpriza, jeżeli wolno zapytać?

— Przepraszam że tego niemogę powiedzieć, — odrzekł Doktor, — bo siurpriza natychmiast przepadnie, ulotni się, umrze! ale o jakim to Pani mówisz Rawiczu?

— O tém, co w Kutnie radził Panu zawsze mieć przy sobie zegarek....

— A! o tym studencie; — *à propos*, powiadają że Hiszpanie tak grubo z niego zażartowali, że już więcej na żadnym rynku dowcipkować nie będzie.

— Cóż takiego? przerwała dziewczyna z przestrachem.

— Cha, cha, cha! podobno go posiekali na kawałki.

Helena wydała krzyk mimowolny i pochyliła się na krześle; — Pani Kostyńska schwyciła ją tylko za rękę i obracając się do Doktora, rzekła z oburzeniem, — niewierz Pan temu, jeszcze wczoraj słyszałam od osoby godnej wiary że Porucznik Rawicz od kilku dni wrócił do kraju.

Helena podniosła schyloną główkę, spójrzała na matkę z zadziwieniem a potem z pogardą na Notkiewicza i jakby w dalszym ciągu rozmowy odezwała się — niewiedziałam że P. Konsyljarz tak obojętnie możesz wyprawiać na drugi świat swoich znajomych.

— Cha, cha, cha, — odpowiedział Notkiewicz, bynaj-

mniej niezmieszany tém że jego kłamstwo się odkryło — a ja niespodziewałem się że Pani za lada żart możesz się rozgniewać.

— Więc Pan sam przyznajesz się iż to był niewinny żarcik, albo po prostu kłamstwo?

— A naturalnie! pocóż bym się miał zapierać? Powiem Pani więcej, wczoraj przypadkiem spotkałem się z P. Rawiczem u Hrabiny Olborskiej. . . .

— U mojej siostry?

— U Hrabiny Ewy Olborskiej, urodzonej Łobzowskiej; staram się mówić jak najwyraźniej. Dla czegóż to Panią zadziwia?

— Tak — niewiedziałam że w tak krótkim czasie po przybyciu do Warszawy. . . .

— Poznajomi się z jedną siostrą, niespytawszy nawet ludzi o drugą? — przerwał Doktor złośliwie; w samej rzeczy jest to cokolwiek niegrzecznie, lecz na usprawiedliwienie P. Porucznika muszę powiedzieć Pani dwie okoliczności. Naprzód że się poznajomił z Hrabiną zupełnie mimo swojej woli z powodu następnego wypadku. Niepamiętam po której ulicy ciągnął się długim rzędem kondukt pogrzebowy. P. Rawicz szedł pieszo tuż za trumną nieboszczyka, który był jego kolegą. W tém z bokowej ulicy konie przestraszone podobno blaskiem pochodni, czy też hałasem muzyki wojskowej, poniosły elegancki koczyk, wpadły z nim na wóz pogrzebowy i uderzyły weń dyszlem tak mocno, że trumna była by spadła gdyby P. Rawicz niebył ją na swoich barkach zatrzymał. To uczyniwszy pobiegł natych-

miast do powozu i nierozpatrzywszy dobrze kto w nim siedzi, zaczął się gniewać i krzyczeć o nieuszanowaniu dla umarłych, o lekkomyślności światowej i t. d. lecz skoro spostrzegł przestraszoną, leżącą w powozie, w pół-zemdlałą Hrabinę, skoro siostra Pani lepiej się przypatrzyła swemu napastnikowi, *preliminaria* traktatu zgody a może i czegoś więcej zostały natychmiast zawarte. Hrabina pojechała aż na Powązki za nieznajomym nieboszczykiem, a P. Porucznik nazajutrz stawił się u niej dla ostatecznego wyjednania sobie przebaczenia. To jedna okoliczność, a druga, że spotkawszy P. Rawicza w domu Hrabiny i zapytany przez niego o Panie, powiedziałem mu że Pani Kapitanowa ciągle mieszka w swoim majątku, a Panna Helena podobno wyszła za mąż za jakiegoś francuzkiego oficera i wyjechała do Paryża.

— Czy to się godzi takie fałsze rozsiewać? — odezwała się Pani Kostyńska.

— Dla czegoż nie? — odpowiedział Notkiewicz, — albożja przysięgał na to żeby jemu zawsze prawdę mówić? Przyznam się Paniom że *prawda* w oczach moich ma swój walor, azatém nią nieszafuję na prawo i na lewo, i darmo jej niewyjawiam. A jeszcze komu? P. Rawiczowi którego niecierpię i którego wcale nieżyczyłbym sobie spotykać ani u Państwa ani u Hrabiny.... Ale o tóż i obiecana siurpriza!

W tym momencie służący doktora wniósł wazon z prześliczną Dalją czarną i Notkiewicz zbliżywszy się do Heleny, zawołał z zapałem.

— Każde słowo Pani jest dla mnie rozkazem — przed kilką dniami wydałaś się Pani że życzyłabyś sobie mieć ten kwiat — zanotowałem to dobrze, obiegłem wszystkich ogrodników Warszawskich, wszystkich moich pacientów u których widziałem kwiaty, prosiłem, płaciłem, i nareszcie jestem tak szczęśliwy że mogę u nóg Pani postawić owoc moich zabiegów. Racz Pani go przyjąć w ofierze....

Helena z grzeczności wymawiała się, Notkiewicz nalegał i nareszcie postawił na swoim.

— Dziękuję Pani — rzekł Notkiewicz, — iż niegardzisz moją niespodzianką, prawdziwą łaskę mi Pani wyświadczasz, proszę tylko kazać Dahlją przesadzić, a wazon mi odesłać, bo będzie mi potrzebny dla symetrii z drugim który został u mnie.

Matka i córka spójrzały po sobie i uśmiechnęły się.

— Odeszlemy Panu wazon — odpowiedziały.

XV.

Notkiewicz od czasu owej fatalnej rozmowy z Hrabiną co jednakże skończyła się w pewnym względzie z korzyścią dla niego, bo został domowym Doktorem Ewy, z podwojoną bacznością zwracał pilne oko na szczegóły światowego życia kobiety która los jego trzymała w swej ręce. Dni jej zapełnione były pustotą, lekkomyślnością, ulotnemi miłostkami, zawsze zdawała się być jakby w odmęcie, zawsze oczekiwała czegoś z upragnieniem a doczekawszy się pospolicie bywała znudzona. Kapitanowa mówiła jej wyraźnie że takie życie podobne jest do tych ciasteczek cukrowych wydętych powietrzem które w kuchni kosztują wiele pracy i ruchu a żołądka nienakarmią i bez fundamentalniejszych potraw wzbudzają obrzydzenie. Hrabina zgadzała się że ma racją.

W dniu, kiedy ją konie poniosły na wóz pogrzebowy Ewa opowiedziała Notkiewiczowi całe zdarzenie, i przenikliwy Doktor łatwo się domyślił że ta nowa znajomość niezupełnie dla niej jest obojętną. Kiedy potem spotkał Ludwika w jej domu, dość mu było chwilę popatrzeć na

młodą gospodynią i jej gościa, tudzież przysłuchać się ich rozmowie ażeby się przekonać że oboje już są odurzeni namiętnością.

— O! niech się kochają, pomyślał sobie — ja im pewnie przeszkadzać nie będę, Spodziewam się że Hrabina szczerze mi teraz pomoże do pozyskania ręki Panny Kostyńskiej!

Tymczasem Helena po wyjściu doktora siadła z robotką u okna i przy tém zajęciu które zostawia zupełną swobodę wyobraźni, wpadła w słodkie zadumanie. Skrzętnie migocąc igiełką po kanwie spytała siebie naprzód dla czego matka dowiedziawszy się o przyjeździe Ludwika nie powiedziała jej natychmiast tej nowiny? — lecz na to wraz odrzekła sobie że roztropna rodzicielka chciała ją pewnie ostrożnie przygotować do spotkania P. Rawicza. Stosunki jej z matką były zawsze tak szczere, a serce tak przepełnione przywiązaniem i ufnością że dłużej zastanawiać się nad postępowaniem matki zdawało by się jej grzechem, i myśl dziewicy zatrzymała się na innym — na jedynym przedmiocie co ją w tej chwili mógł zajmować. Ludwik przyjechał! jutro się z nim zobaczę! — oto wszystko co jej przychodziło na myśl, i ta nadzieja zobaczenia Rawicza napełniła jej serce najtkliwszą rozkoszą. Zdawało jej się że cały przeciąg czasu od pożegnania się z nim w Kutnie przepędziła we śnie i teraz dopiero się przebudziła. Wyobrażała sobie swego ulubionego w stroju wojskowym, z pokrętnym wąsikiem, ozdobionego zapewne chlubném świadectwem męztwa, nieco ogorzałego od skwaru hiszpań-

skiego słońca, lecz zawsze z twarzą pełną dobroci i czułości, podobną do tego wizerunku który jej zostawił i który codziennie odtąd rozpatrywała. W wyobraźni napawała się już pełnią tego szczęścia którego miała doświadczyć przy spotkaniu się z Ludwikiem, słyszała dźwięczny głos jego, widziała uśmiech na ustach, oko płonące tkliwym uczuciem, układała sobie w myśli odpowiedzi na pytania któremi ją przywita. . . . . wszystko to rozjaśniało się w jej imaginacii, wyrabiało się w drżącym łonie, wszystko było tak pewne, tak słodkie, tak pełne roskoszy jak gdyby działo się na jawie, bo między marzeniem młodej i nieskażonej od świata duszy a rzeczywistością ta tylko jest różnica, że marzenie może się powtarzać, a rzeczywistość ginie w otchłani czasu. Chwilę jedną myśl jej zachmurzyła się nieco słowami Notkiewicza o znajomości Hrabiny z Ludwikiem, lecz natychmiast odrzuciła z pogardą to podejrzenie które Doktor chciał w niej wzbudzić. — Jakże by siostra moja będąc zamężną miała się kochać w Ludwiku?— rzekła sobie, i to ją uspokoiło całkowicie. Potem nastąpiły rozmaite projekta co do ubioru na jutrzejszy bal u Hrabiny. Helena przypomniała sobie wszystko co Ludwik mówił kiedyś o strojach kobiecych i postanowiła wedle jego gustu ubrać się najskromniej i najprościej — miała wziąć białą muślinową sukienkę, niebieską przepaskę i naturalną różę zatknąć w sploty swoich włosów. Do tak niewykwintnej toalety wszystko zdało się być gotowem, wszakże przy lepszém rozpatrzeniu, znalazło się niemało roboty. Mężczyzna tego niepojmie, kobieta dziwić się nie będzie jeżeli chociaż

*

raz w życiu przygotowywała sobie toaletę na bal na którym miała nadzieję spotkać nie same tylko obojętne dla niej osoby. Fundament całego stroju, suknią muślinową szerokiemi falbanami garnirowaną, Helena, niedowierzając troskliwości pokojówki, sama, własną ręką wypracowała.

Nazajutrz biedna dziewczyna, od samego rana tak była roztargniona, że matka kilka razy musiała ją przestrzegać, i nareszcie rzekła do niej — Moja córko, cóż to będzie jeżeli na wieczorze wśród tylu obcych ludzi będziesz równie nieprzytomną jak teraz?

— Ach mamo! odpowiedziała Helena z westchnieniem— tam się wszystko rozstrzygnie! jak go zobaczę, jak spójrzę na niego, jak jedno słowo z ust jego usłyszę, będę wiedziała co dla mnie Bóg przeznaczył i wtedy wszelkie roztargnienie mnie opuści. Oczekiwanie i niepewność są dla mnie trudniejsze do przetrwania niż najsmutniejsza ale wiadoma kolej losu.

Nakoniec o zmroku podano powóz. Matka z córką jako bliskie krewne Hrabiny przyjechały wcześniej od innych gości i zastały gospodynię domu zupełnie już ubraną. Strój jej pokazywał że chciała ażeby przyrodzona jej uroda zajaśniała w całym blasku i o tyle ją rzeczywiście podwyższał o ile misterna oprawa podnosi zalety pięknego brylantu. Lekką jej kibić okoliła suknia jedwabna paljowego koloru obszyta szerokiemi falbanami z brabanckich koronek, na głowie miała tok blondynowy z długim pływającym piórem djamentową spinką przypiętym, śliczną twarz jej żywym rumieńcem ozdobioną z obu stron ocieniały czarne

pierścienie włosów, a szyję łabędzią wznoszącą się z alabastrowych ramion i odkrytego łona przegradzał sznurek drogich pereł wschodnich. Helena z ciekawością dziecka rozpatrywała toaletę swej siostry i zachwycona niemogła się wstrzymać od wykrzyku.

— Ach' moja kochana Ewciu, jakżeś cudownie się dziś ubrała! wydajesz mi się tak rozkosznie piękną że chciała bym mieć twój portret w tym stroju, jako najdoskonalsze połączenie wdzięków urody z okrasą najwyśmienitszego gustu kobiecego. Jestem pewną, że jeżeli Hrabia już cię widział ubraną, to bez wątpienia padł przed tobą na kolana, a jeśli dotąd tego nieuczynił to niechaj żałuje, bo przy gościach niebędzie ci mógł całego swego uwielbienia okazać.

Ewa uśmiechnęła się i uścisnąwszy siostrę z jakimś gorączkowym zapałem rzekła roztargniona spoglądając na przemiany to na drzwi salonu, to na wielkie zwierciadło w którem widać było całą jej postać — dziękuję ci Helenko za pochlebne o mnie zdanie, obym się tak samo i innym mogła podobać.

— Ale powtarzam ci *ma chère*, że Hrabia chociażby był z kamienia, musi dziś oddać hold twym wdziękom.

— Hrabia, hm! — o Hrabi w tej chwili niemyślę. Gdyby był przynajmniej z kamienia to można by się spodziewać że chociaż na moment ożyje i jeżeli nie padnie na kolana to przynajmniej spojrzy na żonę — ale niestety! on z piasku i z błota.

Ta odpowiedź wprawiła Helenę w zadziwienie. Przykro jej było słyszeć tak pogardliwą odezwę Hrabiny o mężu,

lecz daleko więcej jeszcze zastanowiło ją widoczne roztargnienie siostry i zamiar podobania się komuś z gości. Mój Boże! pomyślała sobie, więc to prawda że są takie kobiety co mając mężów pragną jeszcze podobać się drugim mężczyznom. Och! z tego co Notkiewicz mówił może niewszystko jest kłamstwem!

Hrabina widząc że sprawiła na siostrze nieprzyjemne wrażenie i pragnąc je złagodzić, zaczęła nawzajem chwalić jej gust i urodę.

— Ewciu! przestań, proszę cię — przerwała Helena, nie żartuj sobie z biednej parafianki która dotąd nienauczyła się porządnie chodzić po waszych woskowanych posadzkach, a cóż dopiero ubierać się z gustem. Zresztą wiesz że położenie nasze w towarzystwie jest wcale różne. Tobie wystawa, mnie skromność przystoi.

Wkrótce potem goście zaczęli się zjeżdżać, muzyka zagrzmiała i bal się rozpoczął.

Z początku Helena ciągle spoglądała na wchodzących do salonu lecz gdy Ludwika niebyło widać a obcych coraz więcej przybywało, przyszło jej na myśl że jeśli jej wypadnie odnowić z nim znajomość w obec tak licznego towarzystwa, wszyscy będą na nią patrzeć, szeptać i czynić wnioski, może nawet szydzić, słowem, zaczęła niedowierzać samej sobie i patrzeć z trwogą na to spotkanie którego tak gorąco pragnęła. Żeby ją Ludwik przynajmniej nieprzygotowaną nie przywitał postanowiła tego wieczora wcale nie tańczyć, powiedziała to matce otwarcie, i wybrawszy sobie miejsce w drugim pokoju, tak jednak że

mogła wszystko widzieć co się dzieje w salonie, usiadła samotna, wpół zakryta stojącém w wazonie drzewkiem cytrynowém i kilku podeszłemi kobietami co niedaleko od niej spokojnie sobie o nowinach Warszawskich gwarzyły. Tam przysłuchując się dzwiękom muzyki i patrząc z dala na migające jakby na skrzydłach wiatru pary tańczących, zamyśliła się o owym szczęśliwym czasie swego dzieciństwa kiedy Ludwik codziennie przychodził kształció jej umysł, w Kutnie, o wieczorach co tak mile upływały w jego towarzystwie, o przechadzkach i zabawach wspólnych, nawet o tém bolesném pożegnaniu do którego ją tak ostrożnie przygotowywano i które na pozor z zupełném męztwem przeniosła. Pogrążona w tych słodkich marzeniach nie spostrzegła jak Notkiewicz po cichu zbliżył się do niej i rzekł:

— Przecie nakoniec udało mi się wyszukać Panią w tym schronieniu. Anim się spodziewał że zamiast przyjąć udział w zabawie zajmujesz się tu Pani medytacją.

Helena, której zadumanie Doktor tak nieprzyjemnie przerwał swoją natrętnością, odpowiedziała z nieukrytém nieukontentowaniem — sądziłem iż mnie Pan tu przynajmniej nie znajdziesz.

— Jakto? zawołał Notkiewicz, czy Pani przedemną się chowasz? czemuż to mam przypisać?

— Nie chowam się, lecz wyznam otwarcie że też niepragnę obecności Pańskiej.

— Ach Pani! żebyś wiedziała, jaką boleść mi sprawiasz tą oziębłością. . . .

— Panie Notkiewicz! jużem Pana nieraz prosiła niemówić mi tego, o czém zgoła wiedzieć sobie nie życzę.

— Ale to nie może być żebyś mnie Pani aż do tego stopnia nienawidziła?. . . .

— Błagam Pana zaniechać tej rozmowy. Ja dla nikogo nieczuję nienawiści, wszakże proszę wierzyć, i to raz na zawsze, że oprócz Boga, mego spowiednika i mej matki nikomu więcej niezdaję sprawy z moich uczuć.

— Hm! znajdzie się kiedyś jeszcze jedna osoba której niebędziesz Pani mogła odmówić prawa wglądania w jej serce.

— Wszystko to być może, tylko mogę Panu zaręczyć że tą osobą — Pan nigdy nie będziesz.

Notkiewicz spłonął ogniem od gniewu, oczy jego zaiskrzyły się, jednakże potłumił w sobie obrażoną dumę i miłość własną i po chwili milczenia, rzekł:

— Wybacz mi Pani, żem się może nieostrożnie odezwał.

— Ja się na Pana niegniewam — odpowiedziała Helena ułagodzona, tylko błagam jeszcze raz, niemówmy nigdy o tym przedmiocie. Czyliż niemożemy o czém inném rozmawiać?

— Ach Pani! choćbym miał na nowo na jej gniew zasłużyć, zaklinam, racz mnie tylko jeden moment wysłuchać. Dawno szukałem sposobności z nią pomówić i nigdy bym sobie nieprzebaczył gdybym zaniechał korzystać z obecnej chwili. Jeżeli Pani masz choćby iskierkę litości w sercu, jeżeli ta religja z którą się tak często odzywasz, nie jest

wyraźną hipokryzją, jeżeli niechcesz żebym przez ciebie stał się najnieszczęśliwszym człowiekiem, to mnie wysłuchasz cierpliwie. Wszakże o nic więcej nieproszę jak o chwilkę cierpliwości....

— Zastanów się Pan czy czas i miejsce są potemu?

— Moment tylko.... jeden moment! całe życie moje od tego momentu zależy.

— O ja nieszczęśliwa!

— Posłuchaj pani tylko. Od czasu jakem ją poznał dzieckiem, lecz szczególniej od spotkania w Rozalinie, nieznam pokoju. Wszystkie moje myśli i uczucia należą do ciebie — pozbyć się nadziei że kiedyś zasłużę na twoją miłość było by dla mnie okropniejszém nad wszystkie cierpienia jakie wyobraźnia ludzka może sobie przedstawić, nad śmierć, nad piekło, nad całą wieczność boleści — jeżeli piekło i wieczność są za grobem. Twoja stateczna obojętność i pogarda na skróś mnie przepaliły, zwątliły połowę sił mej duszy — lecz dusza moja dumna, dla tego niepokazuję na sobie tej głębokiej boleści i rozpaczy które ją nieustannie szarpią. Przeciwnie, jestem posłuszny twej woli, milczę i cierpię jak tygrys oswojony z klatką, zawsze pochlebiając sobie że moja uległość, moja cierpliwość, moja miłość której podobnej nigdy nieznajdziesz, zjednają mi nakoniec twoją przychylność. Nie wymagam żebyś mi odpowiedziała równą miłością — nie, to nawet niepodobna, bo w moim sercu wre namiętność jak ognista lawa we wnętrzach wulkanu. Lecz niebądź dla mnie tak obojętną jak dotąd, niebrzydź się moim widokiem, pozwól mi nareszcie, być twoim sługą,

niewolnikiem, psem twoim, byle bym w każdej chwili mógł leżeć u nóg twoich i oczy twoje widzieć na mnie zwrócone. O Heleno. . . .

— Panie Konsyljarzu, na miłość Boską proszę mnie natychmiast opuścić, albo pozwolić mi zejść z tego miejsca, ja niemogę — niechcę słuchać dalej.

— Ale odpowiedz-że mi Heleno, czy mogę mieć nadzieję?

— Żadnej — żadnej, rzekła dziewczyna odsuwając się od niego niby od jadowitej gadziny. Zmuszać mnie do słuchania podobnych wyznań to podle i nikczemnie. Matka moja spostrzegła zapewna że się znajduję tutaj w oblężeniu i śpieszy na mój ratunek. Opowiem jej postępowanie pańskie i jestem pewna że przejęta sprawiedliwą wzgardą niepozwoli panu nadal przestąpić progu naszego mieszkania.

— Ha! zawołał Notkiewicz z wściekłością — więc tyle lat statecznej miłości, tyle cierpień w milczeniu zniesionych, tyle pokory i uległości — wszystko miałoby być wyszydzone, wyśmiane, w błoto rzucone? Ja? miałbym się stać igraszką kaprysu panny Heleny, jakimś odepchniętym zalotnikiem o którym będzie krotochwilnie opowiadała każdemu kogo zechce zabawić? . . . O! przysięgam na szatana że na to nigdy niezezwolę! Ciesz się teraz, tryumfuj, naigrawaj się z mojej namiętności, pozwalam ci na czas tej dziecinnej zabawki. Nie proś Matki żeby mi dom swój zamknęła, bo sam od tej chwili omijać go będę — ale pamiętaj dziecię, że ta rozdrażniona, ognista namiętność której potęgi niepojmujesz, dosięgnie cię swoim płomieniene, i w wir swój cię wciągnie.

To powiedziawszy oddalił się i spotkawszy idącą Panią Kostyńską rzekł z wymuszonym, szyderczym uśmiechem,— córka Pani wzięła mi za złe żem się przyznał do tej przychylności którą oddawna mam dla mojej pacjentki i o której Pani wiadomo. Zabroniła mi nawet bywać w domu Pani. Wszakże gdyby pomoc moja lekarska mogła być kiedykolwiek potrzebną, znajdziesz mnie Pani zawsze jednakowo gotowym na jej usługi.

Notkiewicz tak dobrze był znany za kłamcę, że Kapitanowa zbyła go czém prędzej i udała się do córki po wyjaśnienie powodu jej nieukontentowania. Dowiedziawszy się o jego pogróżkach, roześmiała się tylko i rzekła — Pan Konsyljarz zapewne niedawno czytał romans.

Tym czasem Helena spostrzegła Notkiewicza przypatrującego się czemuś w salonie z osobliwszą uwagą. Spójrzała uważniej w tamtą stronę, pobladła, zadrżała, schwyciła matkę za rękę i zawołała stłumionym głosem:

— Mamo! P. Rawicz! — potem wzrok jej nieruchomie zatrzymał się w jednym kierunku i wszystkie siły życia skupiły się w oku i w uchu które z ostatecznym wysiłkiem chwytało szmer dolatującej z salonu rozmowy.

Nikt temu nie przeczy że piękny obraz lub posąg genjalną ręką wykonany, są rzeczywistym poetyckim utworem nieustępującym poematowi natchnionego wieszcza. Rafael, Michał Anioł, Salvator Roza stoją na równi z Dantem, Szekspirem, Byronem. Lecz żadna poezja pióre, pendzla ani dłuta niejest zdolną wyrównać tym żywym arcydziełom ręki bożej, tym typom pierwotnej piękności fizycznej które

niekiedy zjawiają się przed zdumionem okiem naszém. Są one jednak tak rzadkie a słowo *piękność* tak już zostało spospolitowaném w świecie, że dziś trzeba wielkiego wysiłku imaginacii ażeby w sobie to pojęcie wyrobić. Wszakże jeżeli się komu zdarzy ujrzeć przed sobą jedno z takich arcydzieł, jeżeli w liczném zgromadzeniu nagle stanie taki typ piękności fizycznej, wtedy wszystkie spojrzenia natychmiast z zachwytem na niego się zwracają, każdy czuje w głębi serca jakąś magnetyczną ku niemu sympatją, wszystkie twarze się ożywiają i ludzie najzimniejsi zdają się na chwilę przypominać sobie jakiś świat lepszy, jakiś raj czarujący, o którym wprzód nigdy niemarzyli a którego wspomnienie nagle ożywiło się w ich duszy.

Tak się zdarzyło przy wejściu Ludwika do sali balowej; Hrabina zdawała się wymawiać, mu spóźnienie się lecz Rawicz z właściwym sobie wdziękiem usprawiedliwiał się obowiązkami służby które niedozwoliły mu stawić się wcześniej, czule ucałował podaną mu rączkę, i spytał gospodynię domu ile sekund straconej zabawy żałować mu należy?

— Byłby to rachunek cokolwiek trudny — odpowiedziała Hrabina, przynajmniej dla kobiety której (jak sami panowie raczycie utrzymywać), serce zastępuje rozum. Jest to bardzo zły rachmistrz, dla tego też pospolicie niekusi się na żadne rachuby, widząc że lepiej spuścić się na los, lepiej przecierpieć w milczeniu, niż głośno liczyć bez żadnej nadziei pewności. W obecnym zaś razie niechaj to Panu wystarczy że liczba tych niepowrotnie straconych sekund, jeżeli

je Pan szczerze takiemi nazywasz — jest dla nas obójga zupełnie jednakowa!

— Jak to być może? Czyliż Pani dotąd niekorzystałaś z zabawy?

— Niemogłam złamać danego słowa. Przyrzekłszy Panu pierwsze tańce i spodziewając go się co chwila musiałam wszystkim innym odmówić.

— Ach! teraz dopiero pierwszy raz w życiu pojmuję ciężar wymagań stanu wojskowego, który dotąd przekładałem nad inne. W tym momencie przekonywam się że niekiedy łatwiej jest dopełnić wszystkich obowiązków honoru na polu bitwy, pod kartaczami dział nieprzyjacielskich, niż w stolicy własnego kraju, wśród ciszy pokoju. Odkrycie bolesne dla mnie bom sobie wyobrażał że nic mnie nie potrafii spowodować do zapomnienia przepisów karności rycerskiej.

— Jest to zapewne płonna trwoga, jeżeli mam wnioskować z dzisiejszego przykładu.

— O! gdybym był wiedział że nieobecnością swoją przeszkadzam Pani przyjąć udział w zabawie....

Hrabina spójrzała mu w oczy z rozczuleniem. Lica młodzieńca płonęły, wzrok jego błyszczał ogniem zachwytu, na wyniosłém czole widać było jakby odbicie się niezłomnej woli gotowej na wszelkie poświęcenia dla tej która podbiła jego serce, a męzkie rysy twarzy łagodził wdzięczny uśmiech. Ludwik dziwnie był piękny w tym momencie.— Hrabina uczuła się jakby wciągniętą w magnetyczną sferę oczarowania, niemogła wzroku od niego oderwać, i trwała

w tym stanie dopoki lekki dreszcz po całém ciele do przytomności ją nieprzywołał.

— Przestańmy myślić o przeszłości której wrócić niepotrafimy — rzekła z pewnym smutkiem; uważam się za szczęśliwą że nie stałam się powodem żadnego złamania obowiązków, które by w karrjerze Pańskiej mogło mieć dotkliwe dla niego następstwa. I na przyszłość bądź Pan pewny że ile sama jestem gotowa uczynić z siebie ofiarę dla jego szczęścia, tyle każde poświęcenie się jego dla mnie było by mi bolesnem. A teraz, dodała skwapliwie, żeby nie pokazać wzruszenia które brało nad nią górę, — służę Panu do tańca.

Muzyka grała już wstępne motiwa, pary się szykowały, Rawicz podał rękę Hrabinie i stanął z nią na pierwszém miejscu. Po skończonych preludjach melodyjne tony odezwały się silniejszym oddźwiękiem i ten potok cudownej muzyki pochwycił w swój pęd upajający rożnobarwne koło tańczących. Pary chyżo przelatując w około formowały świetny łuk tęczowy. Tylko bystry wzrok badacza mógł dostrzedz że w tym ogólnym ruchu, oczy mówiły do oczu, usta do ust, uśmiech spotykał się z uśmiechem — że każde ogniwo tego łańcucha wśród powszechnego obrotu miało swoje oddzielne obroty myśli i uczuć.

Taniec jest nie tylko bodźcem fizycznym, pobudzającym działalność organizmu ludzkiego, ale nadto bodźcem pobudzającym ducha do wesołości. Hrabina i Ludwik doświadczyli tego na sobie. Początkowa rozmowa ich była smętna, lecz w tańcu odzyskali oboje zwyczajną swoją wesołość i

powracając na dawne miejsce, Hrabina tak serdecznie roześmiała się z jakiegoś żartu swego partnera że kilka osób zwróciło na to uwagę. Pewna młoda wdówka która od niejakiego czasu koniecznie chciała się poznajomić z pięknym oficerem, zatrzymując Hrabinę spytała:

— *Peut on savoir chère Comtesse* co cię do takiej wesołości pobudza?

— Ach, odpowiedziała Ewa, zaśmiawszy się jeszcze głośniej — P. Rawicz jak z rękawa dowcipem sypie. Szkoda że nieśmiem go prosić o powtórzenie tego co dopiero mówił bo niedawno oświadczył mi że wszelkie repetycje są dla niego nieznośne.

— Jakto? zagabnęła wdówka, udając zadziwioną, więc dla pana i wspomnienie przeszłości niema żadnego wdzięku? — Przecie wspomnienie jest tylko repetycją tego co było.

W tej chwili Hrabina z Ludwikiem i wdówką weszła do drugiego pokoju koło tego miejsca gdzie Kapitanowa siedziała z córką.

Ludwik się odezwał — Pani! gdyby każde wspomnienie było podobne do tego które ta chwila zostawi w mej pamięci, odstąpiłbym chętnie od swego zdania, lecz i w tym nawet razie szczęście moje uważałbym tylko za szczebel dalszego życia.

— O! Pan jak widzę jesteś nienasycony!

— Bynajmniej! Sama Pani powiedz, czy można przestać na wspomnieniu, kiedy człowiek jeszcze młody, kiedy mu potrzeba nadziei i życia. Wracać do tego co było, rozpa-

miętywać przeszłość, przystoi tylko starym lub nieszczęśliwym — lecz póki wiosna, póki lato dni naszych nieubiegło, idźmy naprzód, chwytajmy marę szczęścia w ulotnym jej biegu, a jeśli łudzące jej mamidło się rozwieje, będziemy na starość mieli dość czasu obejrzeć się nazad. Oto dla czego niemam zwyczaju przypominać sobie przeszłość i stokroć wolę żyć sercem, umysłem, całą istotą, w chwili która płynie, lub marzyć o tem co mi los gotuje na przyszłość.

Ostatnie słowa Helena usłyszała jak najwyraźniej, Ludwik bowiem koło niej przeszedł nie zwróciwszy na nią najmniejszej uwagi.

Hrabina westchnęła i zamyśliła się, a natrętna wdówka rzekła:

— Prześlicznie! godzę się chętnie na pańskie zdanie, bo tym sposobem przepędzona młodość gotuje nam obfity skarb wspomnień na jesień i zimę życia.

Ludwik którego już znudziła ta rozmowa, lękając się żeby sentymentalna wdówka jeszcze dłużej niewyciągała nici z tego kłębka, zawołał wesoło:

— Mówisz Pani o jesieni i o zimie życia człowiekowi który się nigdy niezestarzeje!

Kobiety spójrzały na niego z uśmiechem. Wdówka podchwyciła:

— Czy Pan nieznalazłeś przypadkiem owego sławnego *zródła młodości?*

— W samej rzeczy znalazłem, jeżeli nie samo zródło, to przynajmniej człowieka który zapewne wiele wody z niego naczerpał, gdyż dotąd przeżył już z górą 1000 lat.

— 1000 lat! drugi Matuzalem!

— Nie. — Hrabia de S. Germain.

— A, Hr. de S. Germain! przecie mówiono że umarł?

— Jako żywo! był za moich czasów w Hiszpanii.

— I dał panu cudownej wody?

— Wtedy niemiałem powodu prosić go o nią. Wojna wrzała w około, Hiszpanki na naszą miłość odpowiadały sztyletami i trucizną, a sława uśmiechała się do nas obiecując nieśmiertelne wawrzyny. Spodziewałem się i bez wody Hr. de S. Germain żyć wieki w pamięci moich ziomków. Dziś w kraju rodzinnym zapomniałem o wojnie, o sławie rycerskiej i żałuję że może nieprędko spotkam znów Hrabiego, ale przecie go kiedyś zobaczę i wtedy odstąpi mi zapewne cząstkę swego skarbu.

— I naturalnie podzielisz się pan z nami?

— Niezawodnie; — jeżeli pani uwierzysz w Hrabiego.

— Proszę mi dać dowód, wtedy uwierzę.

— O, w tym względzie najłatwiej mogę panią zaspokoić bo sam byłem świadkiem jednego zdarzenia, które największego sceptyka mogło by przekonać.

— Niezmiernie jestem ciekawa.

— To się stało w r. 1809. Pułk nasz zajmował kwatery w okolicach Madrytu. Hiszpanie patrzali na nas zézem lecz otwarcie nieśmieli jeszcze w niczém się sprzeciwiać. Wioska w której stałem z plotonem należała do jednego magnata co ród swój wyprowadzał od Silwów i Infantadów, Granda pierwszej klassy, Hrabiego, kawalera dwudziestu orderów, człowieka jeszcze młodego, któremu to tylko prze-

szkadzało do zupełnego szczęścia że miał żonę prawie dwa razy starszą od siebie. Naturalnie, że ją pojął nie z miłości, lecz dla jakichś tam widoków powiększenia fortuny i kredytu u dworu. Wojna przeszkodziła wszystkiemu, Grand zerwał zupełnie z żoną, pokochał się w młodej panience z sąsiedztwa, a żonę natrząsając się nazywał staruszką. Możesz sobie pani wyobrazić jak smutne było życie Grandyni która namiętnie kochała męża i jaka radość napełniła jej serce kiedy pewnego dnia niespodzianie zajechał do zamku Hr. de S. Germain. Rozumie się że Grandyni przyjęła go z największą uprzejmością i dopóty błagała, dopóki jej nieprzyrzekł dać wody, czy filtru jakiegoś do odmłodnienia. Oddając flakonik mówił wyraźnie żeby co wieczór kładąc się spać brała po dwie krople, przez co stopniami miała stawać się młodszą i wreszcie wrócić do stanu 16-letniej dziewczyny. Na nieszczęście Hr. de S. Germain podejrzewany przez Hiszpanów o szpiegostwo, śpiesznie musiał wyjechać a Grandyni z natury niecierpliwa, wiedząc że mąż ma nazajutrz pojechać do jej rywalki, uprojektowała sobie żeby za powrotem do domu zastał ją 16-letnią dziewczyną! Wyobrażała sobie zawczasu jego zadziwienie gdy ją ujrzy w całym blasku młodości i urody, niewątpiła że się szalenie w niej pokocha, i pieszcząc się temi myślami wypiła przed snem cały flakonik!

— *Eh bien?* spytała ciekawa wdówka — cóż się stało?

— *Eh bien*, odpowiedział Ludwik — bardzo źle się stało, bo doza, jak pani widzisz, była szkaradnie wielka.

— Cóż? umarła?

— Gdzież tam! Hr. de S. Germain był za nadto dobry szlachcic żeby miał truć ludzi.

— Powiedz-że Pan nareszcie co się z nią stało?

— Powtarzam jeszcze raz że doza była szkaradnie wielka. To co się miało stać stopniowo z połowy flakonika użytej przez 9 miesięcy, dopełniło się nagle i posunęło się dalej nad kres zamierzony. Słowem nazajutrz kiedy kamerara przyszła do łoża swej pani żeby ją ubrać, zlękła się bo Grandyni w łóżku nieznalazła, a na jej miejscu leżało niemowlę tak, może 6-miesięczne, lecz jak dwie krople wody podobne do Grandyni!

— *Ah! vous êtes un monstre!* zawołała wdówka — nigdy panu odtąd wierzyć niebędę.

— W takim razie będę zawsze kłamał.

W tém muzyka zagrała nowego tańca i Hrabina podała rękę, znów Ludwikowi.

Helena przez cały ten czas niespuszczała z oka Rawicza i Ewy. Widziała na ich twarzach wzajemne porozumienie się, poufałość w obejściu, tkliwe spójrzenia obójga, uśmiech, radość, zachwyt, tęsknotę i tysiąc innych odcieni uczucia, które mogą ujść baczności zwyczajnego widza, lecz które przenikliwy wzrok kochanki natychmiast pozna i zrozumie. Słyszała Ludwika mówiącego że niema zwyczaju przypominać sobie przeszłość i zastosowawszy to do siebie, powzięła bolesne przekonanie iż jest całkowicie zapomnianą. Lubo powtarzała sobie nieustannie że Rawicz oddawszy swoje serce zamężnej kobiecie niezasługuje na to żeby dłużej o nim myślała, jednakże jakiś ogień gorączkowy mózg jej

palił, głowę rozsadzał, myśli jej kołowały bez ładu, w piersi jej brakło oddechu, zdawało jej się że skała alpeiska przygniotła ją swoim ciężarem, tak jej było ciężko, takie cierpienie rozdzierało jej duszę, tak jej serce zamierało w tym lodowatym chłodzie, który je nagle owionął. O gdyby mogła była swobodnie zapłakać, pomodlić się, możeby była uczuła ulgę — lecz wśród licznego towarzystwa musiała ukrywać w sobie całą nawałność katuszy i udawać spokojną, obojętną. Te usiłowania do których trzeba jej było użyć ostatecznego naprężenia woli, wprawdzie ocaliły tajemnicę biednej dziewczyny od ciekawości obcych osób, lecz dla tego tylko że nikt z nich niezwracał uwagi na nią; — nikt, oprócz jednego człowieka, lecz ten całą swoję duszą śledził przewroty tego dramatu który się przed jego oczyma odegrywał. Tego człowieka niezdołały w błąd wprowadzić żadne pozory. Widział i pojął wszystko i spodziewał się że po tak oczéwistym dowodzie niestałości Rawicza Helena stanie się wyrozumialszą, przystępniejszą. W tém przekonaniu już się był zaczął przybliżać znów do niej, lecz właśnie drugi taniec się skończył, i Helena spostrzegłszy z jakim zachwytem Ludwik dziękował Hrabinie, z jaką tkliwością wzrok swój utopił w jej ślicznym obliczu, jaki czuły pocałunek złożył na jej rączce, niemogła dłużej znieść tego widoku — mamo! rzekła do Kapitanowej jakimś głuchym głosem, na miłość Boską jedźmy do domu, źle mi bardzo! spieszmy się! — o! jak mi pierś ścisnęło. — Pani Kostyńska przerażona wzięła ją za rękę i niepożegnawszy gospodyni domu, natychmiast wyszła do dalszych pokojów ażeby wy-

jechać niepostrzeżona. Notkiewicz rzucił się do drzwi i zatrzymując kobiety szepnął z szyderczą uprzejmóścią — Cóż to panie zabawę tak wcześnie porzucacie? ach! jaka szkoda! wszakci to warto popatrzyć jak P. Porucznik ślicznie z Hrabiną tańczy; — taka dobrana para!

Kapitanowa spójrzała na niego surowo, a Helena jakby przeszyta mieczem schwyciła się za serce. Słowa doktora zadały jej śmiertelną ranę.

A teraz zobaczemy co dalej będzie — pomyślał sobie Notkiewicz.

Bal przeciągnął się do późnej nocy. Hrabina obdarzona z natury niepospolitą przebiegłością, pojmująca doskonale wszystkie wymagania przyzwoitości salonowej i do tego zakochana, umiała tak zręcznie sobą kierować, iż najnaturalniejszym sposobem wielką część czasu przepędziła w towarzystwie Ludwika. Postępowanie jej, od pewnego czasu, stanowczo lekkomyślne, jednakże podług salonowego kodexu nie kompromittujące jej jeszcze, taki już sobie zyskało przywilej, że wybryki które by inną kobietę podały na obmowę, jej uchodziły bezkarnie. Nikt też tego wieczora niezwracał na nią większej niż zwyczajnie baczności. Spostrzeżono tylko z pewnym zadziwieniem że Hrabia Olborski, dotąd model mężów wyrozumiałych na usterki cnoty małżeńskiej, zdał się pod koniec zabawy zbyt często spoglądać na żonę jak gdyby mu się cóś nie podobało. Po tej swobodzie którą Hrabia od dawnego czasu zostawiał Ewie, tak troskliwa uwaga, przy widocznie złym humorze, mogły zastanowić każdego kto ich dostrzegł. Nawet Hrabina lubo roztargniona

zabawą i namiętnością, przecie nadto dobrze znała swego męża żeby jego szczególny humor, jego starannie skrywana niespokojność i jakaś systematyczna ciekawość niewpadły jej nakoniec w oko. Powziąwszy podejrzenie że jakaś burza domowa się zbiera, a idąc za popędem swego rezolutnego charakteru, postanowiła ją uprzedzić i skoro goście się rozjechali, kazała prosić męża do swego gabinetu.

Hrabia stawił się niezwłocznie, i zamyślony zapytał—co pani rozkażesz?

— Przeciwnie, odpowiedziała Ewa, ja życzyłabym sobie dowiedzieć się o co panu chodzi? Proszę nie udawać zadziwienia. Wiem że pan życzysz sobie pomówić ze mną i zapewne o czémś ważném.

— Piu! dziękuję pani za domyślność; istotnie uprzedziłaś moje chęci i ztąd tuszę sobie że kiedyś odgadła połowę, to wiesz zapewne i drugą, to jest o czém pragnąłbym pomówić?

— A, co tego to prawdziwie niemogłam dociec swoim rozumem, trzeba żebyś mi pan pomógł.

— Piu! zasmucasz mnie Hrabino! wolałbym był żebyś się była tej połowy domyśliła bo ta bez porównania ważniejsza, piu! lecz kiedy się stało przeciwnie to już muszę cię wyręczyć. Oto pani zrywasz umowę która stanęła między nami kiedy niemogąc dłużej kochać się przyrzekliśmy sobie przyjaźń małżeńską.

— I wzajemną swobodę w postępowaniu.

— Naturalnie. Inaczej niemoglibyśmy byli warować sobie przyjaźni.

— W czém-że tedy zawiera się moja wina? Jeżeli sobie dobrze przypominam, powiedziałeś mi pan wtedy — «możesz zmieniać dekoracje jak ci się podoba byle z gustem.» — Spodziewam się żem się jeszcze nieuniżyła tak dalece żebyś mi pan mógł jakąkolwiek nieroztropność wyrzucić.

— Jeszcześ się nieuniżyła, ale, piu! już jesteś na drodze poniżenia.

— O! mylisz się pan okropnie. Nigdy może w życiu niebyłam bardziej usposobioną do uczuć szlachetnych i do najtrudniejszych poświęceń jak w chwili kiedy to mówię. Ale Pan byś mnie niezrozumiał, przeto było by zbytecznem obszerniej mu to tłumaczyć.

— Piu! rzekł Hrabia łagodnie — a może ja to lepiej od pani rozumiem?

— O to niepodobna! miałam dość czasu poznać Pana. Hrabia usiadł przy niej, zamyślił się, przetarł czoło i po chwili milczenia rzekł — Czasu było może nawet dosyć, lecz poznać mnie całkowicie niemogłaś bo we mnie jest dwóch ludzi, jeden żywy, drugi umarły. Oddałaś mi rękę niewiedząc o tém że cała połowa mojej istoty już nieżyje. Ja sam nieustannie szukając w świecie roztargnienia zapomniałem o swojej połowie umarłej, o mnie nieboszczyku. Dopiero dzisiejszy bal mi tego nieboszczyka przypomniał.

— Proszę się tłumaczyć wyraźniej.

— Piu! bardzo chętnie. Od czasu wiadomej między nami umowy widziałem u nóg pani kilku wielbicieli i nic nato niemówiłem, ani nawet nie uważałem tego za złe, bo oprócz kobiecego zadowolenia z tego tryumfu swych wdzięków, nic

więcej w pani niewidziałem. To zadowolenie zaś, albo mówiąc po szlachecku ta zalotność, wedle mego zdania bynajmniej niezagrażała ani naszej spokojności domowej ani reputacii mojej żony o której bym pragnął zawsze mieć pewność iż jest nieposzlakowaną.

Ewa spójrzała na męża z zadziwieniem.

— Czy to Panią zastanawia?— spytał Hrabia spokojnie.

— I bardzo! odpowiedziała Hrabina — przyznam się że miałam o Panu wcale inne wyobrażenie.

— Pewnie dla tego żem wyraźnie swego sposobu myślenia nieoświadczył, wszakże zdało mi się że żona szlachcica polskiego, sama z dobrej krwi urodzona, tego potrzebować niebędzie.

— I rzeczywiście niepotrzebowała tego.

— Tak; — dotąd. Lecz dziś Panią muszę ostrzedz koniecznie, bo nietylko pozwalasz P. Rawiczowi składać ci hołdy, lecz i sama namiętnie jesteś w nim zakochana.

Hrabina wyprostowała się jak palma, rzuciła zuchwały wzrok na męża i rzekła — niemyślałam żebyś Pan to spostrzegł, lecz gdy się tak stało, niemam zamiaru wypierać się — tak, kocham P. Rawicza, kocham go namiętnie, gotowa jestem dla tej miłości życie moje położyć.

— Życie do Pani należy, i nikt jej niemoże wzbronić postąpić z nim wedle upodobania; lecz ponieważ nosimy jedno imie i ponieważ wspólny honor tego imienia w nieskazitelności swojej tylko od nas obójga może być zachowany, przeto sądzę że mam prawo przełożyć Pani w tym względzie niektóre uwagi.

— Masz Pan prawo. Słucham.

— Ta namiętność Panią zgubi.

— Wiem to i jestem na wszystko przygotowaną.

— Dobrze. Lecz czy wiesz Pani także że ta namiętność cię spodli, poniży w oczach samego Rawicza, że cię doprowadzi do zbrodni, a potem do rozpaczy i szaleństwa?

— Tego niewiem, i niemogę pojąć w Panu tej niespodzianej przenikliwości posuniętej aż do proroctwa. W żywej osobie Hrabiego niepodejrzewałam nigdy podobnego przymiotu i gotowa jestem pomyślić że przez usta pańskie mówi chyba ów nieboszczyk o którym mi niedawno wspominałeś.

— Istotnie, zasilam się jego doświadczeniem.

— Proszę mi przecie cóś powiedzieć o tym nieboszczyku — o tej drugiej połowie jego istoty.

— Chętnie. Wystawiasz sobie Pani że zawsze byłem takim jakim mnie teraz widzisz, i to jest omyłka. W młodym wieku miałem charakter gwałtowny, temperament ognisty, wiele zarozumiałości i nadewszystko nadzwyczajną żądzę podobania się, nie wszystkim kobietom jak się Pani może zdawać, lecz jednej z nich, ale podobania się do tego stopnia żeby ta kobieta pokochała mnie namiętnie, żeby mi z rozkoszą poświęciła wszystkie myśli, uczucia, swoje położenie w towarzystwie, reputacją, sumienie, słowem żeby całą exystencją swoją oddała ślepo w moje ręce, chociażby wiedziała na pewno że tego na złe użyję, że uczyniwszy tę ofiarę, do grobu pić będzie gorzki kielich zgryzot.

— Zawsze byłeś Pan egoistą.

— Gdzież tam! wymagania moje były naturalnym wypływem mego charakteru i odpowiadały zasobom mego serca. Czując się na siłach do szczeblowania po drabinie namiętności aż do niebezpiecznego jej szczytu, aż do tego miejsca zkąd sam szatan musiałby zlecieć w przepaść, żądałem tego samego od drugich. Łudząc się pozorami, idąc jak łatwowierne dziecko za popędem płomiennej wyobraźni, spragniony kochania zbliżyłem się do kilku kobiet w przekonaniu że znajdę w ich duszy ten djament miłości którego nic w świecie skruszyć niezdoła, lecz nadzieja moja została omyloną. Niemówiąc już o tem że samo żądanie moje było szaleństwem, przeciwném naturze ludzkiej— w Polsce, w owym czasie charakter kobiet nieobiecywał mi najmniejszej nadziei, co też i sprawdziło się. Te które spotkałem, ciche, skromne, ograniczone istoty niemogły mnie zaspokoić. Po rozbiorze kraju wyjechałem do Francyi, która wtedy ledwie co ochłonęła od terroryzmu. W Paryżu kipiały jak w kotle wszystkie namiętności jakie tylko mogą wstrząsać cielsko rozpasanego potworu społeczeństwa. Dziś przypominam sobie ten czas z obrzydzeniem bo teraz lubię nadewszystko ciszę, porządek, wygodę i spokojność umysłu, bo jestem starym egoistą — lecz wtedy nikt więcej nademnie niebył usposobiony znajdować roskosz w tej zamieci Paryskiej. Te obywatelki, te córki wielkiego narodu postrojone w tunikach greckich i rzymskich, te Diany i Flory co po 10 dni liczyły na tydzień i cieszyły się swobodą jak tygrzyce wypuszczone z klatki, sprawiły na mnie

nadzwyczajne wrażenie. Począłem tuszyć że między niemi znajdę godną siebie kochankę.

— I znalazłeś Pan?

— Znalazłem.

— Ach! proszę mi ją opisać. Twoja powieść Hrabio zaczyna mnie bardzo zajmować.

— Niema czego opisywać — była to kobieta, co do charakteru, ukształcenia i maniery zupełnie podobna do ciebie Hrabino.

— Ah! ah! trop d'honneur! cóż tedy?

— Namiętność jej przewyższyła nawet moje szalone marzenia. Z początku nieposiadałem się z radości. Kochałem ją bez pamięci. Dziwię się jakem nie umarł od tej extatycznej gorączki. Lecz wkrótce przekonałem się że kobiety jak tamta — jak ty Hrabino, mogą być szczęśliwemi zalotnicami, lecz kochać się nie powinny. Żebyś mnie Pani dokładniej zrozumiała, zrobię małe porównanie. Szuler trzeźwy łatwo ogra pijanych ponterów, lecz jeśli sam od gorącego trunku straci przytomność, wszystkie jego dawniej naturalne sztuki, okążą się jedna po drugiej w całej swojej szczerocie, sam się zdemaskuje zupełnie, szczęście go odstąpi, namiętność w nim zakipi i coraz więcej grę mu psuć będzie. Nareszcie zgrawszy się i spodliwszy się do szczętu wpada w rospacz, w szaleństwo i wtedy zdolny jest odważyć się na wszelkie zbrodnie. Mam swój sposób widzenia rzeczy — mogę się mylić, jednak powtarzam, że kokietka z natury, zalotnica *par excellence*, jeżeli jeszcze na nieszczęście ma charakter niesforny i umysł przebiegły,

nigdy się kochać niepowinna. Jest jakiś fatalizm przywiązany do każdej namiętności, jakiś mistyczny szkopuł o który niechybnie się roztrąca.

— Jakiż był koniec tamtej kobiety?

— Ten sam co pijanego szulera.

— A z nieboszczykiem co się stało?

— Po długich niepokojach w czasie których życie moje nieraz było narażone, zbrzydziłem sobie moją kochankę. Rozpatrzywszy z bliska cały process gwałtownej passii, wyrzekłem się nazawsze namiętnej kobiecej miłości, a ponieważ cała moja młodość ubiegła w upędzaniu się za nią, ponieważ długo prócz tego mamidła niewyobrażałem sobie innego szczęścia, więc nagle straciłem jedyny bodziec życia który mnie chronił od gnuśnej zmartwiałości. Umarłem na czas jakiś, niemogłem się niczém zająć, nic mnie nie obchodziło, wpadłem w całkowitą apatją. Później dopiero zacząłem znów wchodzić do towarzystwa i na nowo zbliżyłem się do kobiet, bez których dotąd niewyobrażam sobie życia, ale zbliżyłem się już z zimném przekonaniem że nic nowego nie spotkam i z zamiarem bawienia się tylko wesoło. Odtąd miłość była dla mnie najsłodszą rozrywką towarzyską, lecz tylko rozrywką.

— Rozumiem teraz dla czego Pan nazywasz siebie nieboszczykiem, ale jeżeli tak jest, pocożeś się Pan ze mną żenił?

— Cha, cha, cha! sądzisz Pani że będę musiał odpowiedzieć — dla rozrywki! wcale nie. Rzecz bardzo prosta,— kochałem Panią i sądziłem że ta miłość dłużej trwać będzie jak moje salonowe miłostki. Łudziłem się nadzieją....

— Że Pana kochać będę?

— Nie; — mówiłem sobie że jeżeli nawet affekt mój ostygnie, to w każdym razie będę miał miłą, ukształconą, i co dla mnie najwięcej potrzebne, wyrozumiałą żonę. — Pożycie z pierwszą moją małżonką, która była bardzo zacna niewiasta tylko surowych zasad, aż nadto mnie nauczyło, że dla mojej spokojności domowej, koniecznie potrzeba ażeby moja żona miała wzgląd na dawne moje przyzwyczajenia i gusta i niekłóciła mi głowy nieustanną zazdrością. Oddając pani rękę, myślałem sobie—może się nie będziemy długo kochali, lecz zapewne zachowamy przyjaźń, szacunek i jedno drugiemu przeszkadzać niebędziemy bawić się jak najweselej. Dotąd nie miałem powodu żałować tego com uczynił—owszem szczyciłem się że żona moja jest najmilszą, najdowcipniejszą damą w Warszawie, a salon nasz pożądanym zbiegowiskiem osób wyższego towarzystwa stolicy. Pochlebiam sobie że tak i nadal zostanie.

Hrabina zamyśliła się.

— Niewiem czy zdołasz pozbyć się tej namiętności — rzekł dalej Hrabia — zostanów się Pani dobrze! jeszcze jest czas, Rozalin twój — możemy się rozwieść. Daję Pani cały miesiąc do namyślenia się.

XVI.

Notkiewicz powrócił do domu w najgorszym humorze. Lubo obejście się z nim Heleny od dawnego czasu nie pozwalało się spodziewać żadnej wzajemności, wszakże nigdy jeszcze niepokazała mu tak widocznej odrazy, nigdy tak stanowczo i pogardliwie nieodepchnęła go od siebie jak na wieczorze u Hrabiny. Doktor dręczony niefortunną namiętnością potrafił sobie dotąd wytłumaczyć każdą oziębłość panny Kostyńskiej, a jeśli była zbyt widoczną, to się naprzód gniewał sam na siebie i przyrzekał sobie zapomnieć zupełnie o Helenie, a potém we własném postępowaniu znajdował jakieś uchybienie i na nie składał przyczynę jej nieukontentowania; — słowem nigdy całkowicie nadziei nie tracił. Teraz dopiero pierwszy raz zwątpił o sobie i widząc iż pono niczém niezdoła zaskarbić sobie jej przywiązania, zaczął przemyśliwać nad tem czyby niemożna siłą lub podstępem zmusić biedną dziewczynę do oddania mu ręki. W tych czarnych dumaniach spędził bezsennie ostatek nocy. Tysiąc projektów krzyżowało się w jego umyśle, lecz po roztrząśnieniu każdego, porzucał go z westchnieniem bo

mu się wydawały zbyt gwałtownemi. Lękliwy z natury czuł się niezdolnym do wykonania zamiarów do których go pobudzała wyobraźnia namiętnością rozogniona.

Rano o zwyczajnym czasie pojechał odwiedzić swoich pacjentów. Przejeżdzając koło żelaznej bramy, rzucił okiem na mieszkanie pani Kostyńskiej. Story w sypialnym pokoju Heleny były zapuszczone a w oknie bawialnego, przy którym zwykle siadała z robotką lub xiążką niewidać było nikogo. Musi być chora! pomyślał sobie i zapomniawszy swoich pogróżek na balu u Hrabiny kazał się zatrzymać stangretowi, wysiadł z powozu i pędem błyskawicy wpadł do przedpokoju Kapitanowoj. Chciał wedle zwyczaju iść dalej, lecz na ten raz stary Łukasz stanął obronnie przy drzwiach i oświadczył że pani nikogo nieprzyjmuje.

— A to z jakiego powodu? spytał Notkiewicz.

— Panienka chora — odpowiedział Łukasz.

— A! — to w porę przyjechałem.

— Przepraszam; — nie w porę.

— Dla czego?

— Dla tego że Doktor już był.

— Był? — a, to co innego! zawołał obrażony Notkiewicz; odwrócił się i rozdąsany śpiesznie pobiegł ze schodów. Wyszedłszy na ulicę zetknął się z jednym z przechodzących i obydwa z wielką uwagą spójrzeli sobie w oczy. Nieznajomy miał na sobie odzienie najwięcnj zbliżające się do lokajskiego, lecz zegarek ze złotym łańcuszkiem i plaster z kitajki osłaniający mu lewe oko, obok fizjonomii wielce podejrzanej kazały się domyślać iż to jest raczej jeden z licz-

nych łotrów co w owym czasie rozmnożyli się byli w Warszawie. Notkiewicz pierwszy ustąpił mu z drogi i z widocznym pośpiechem wskoczywszy do powozu kazał furmanowi jechać dalej. Nieznajomy roześmiał się na całe gardło i zawołał.

— Pan Doktor zapomniał wziąć z sobą lokaja, to już ja go wyręczę. — To powiedziawszy, nim powóz ruszył z miejsca, stanął z tyłu zamiast służącego.

Doktor się obejrzał, zbladł, i nieodważył się ani słowem ani uczynkiem odeprzeć tak grubjańską napaść nieznajomego. Jechał dalej odwiedzać swoich pacjentów i przemyśliwał nad sposobem pozbycia się nieproszonego lokaja. Każdą razą kiedy się powóz zatrzymywał i Doktor szedł do chorego, nieznajomy oczekiwał go spokojnie, przechadzając się po ulicy, potém znów stawał na lokajskim miejscu i jechał dalej. Nakoniec po kilku wizytach znudziła mu się służba i kiedy doktor siadał do powozu, nieznajomy grubym głosem zawołał na stangreta, — do domu! — Notkiewicz przestraszony mimowolnie powtórzył — do domu!

Gdy stanęli w mieszkaniu Doktora, nieznajomy nieodstępując go ani na krok przeszedł z nim przez salę i w bawialnym pokoju bez ceremonii rzucił się na kanapę niezdejmując nawet kapelusza.

Doktor patrzał na niego z bojaźliwém podziwieniem.

— Cóż? czy mnie Jegomość niepoznajesz? zapytał nieznajomy.

— Nie — doprawdy — wyjąknął Notkiewicz.

— He, he, he! — a ja Jegomościa od razu poznałem!

— Czegoż Acpan chcesz odemnie?

— Ha, ha, ha! a jużci naprzód odnowić dawną znajomość a potem porachować się. Patrz-no Jegomość dobrze na mnie — to mówiąc zdjął plaster z oka — no cóż?

— Nieprzypominam sobie.

— Doprawdy? cieszę się mocno żem tak dalece nie podobny do siebie samego. Niechcę obmyć włosy które pofarbowałem na czarno bo wtedy zobaczyłbyś Jegomość że są *prese* czerwone i przywitałbyś Kubę rudego. Czy tego przynajmniej pamiętasz?

— Kuba? Kuba?

— Dobrze udajesz Doktorze! niech mnie sto tysięcy. .. toć to Jegomość gotów byś się brata rodzonego zaprzać! Tylko wszystkie te figle na nic się nieprzydadzą! Gdybyś mnie był Jegomość od pierwszej chwili, nie poznał jakżebyś mi był pozwolił jeździć z sobą po mieście? Dla czegoż byś mnie tu bez oporu puścił? Czemuż byś mi przynajmniej kapelusza z głowy niestrącił? A spróbuj to zrobić? — zobaczysz jak ci ładnie zaśpiewam. Patrzaj-no go! Kuby rudego się wypiera! Cóż to Jegomość tak dawno z Kutna, czy co?

— No, tak — poznałem ciebie, gadaj-że prędzej czego chcesz?

— A, więc nareszcie poznałeś? Otóż widzisz, ten rudy Kuba coś go to podjudzał dopóki podróżnego w karczmie nie zarznął, co potem w turmie gotował się już dyndać na szubienicy, teraz przyszedł porachować się z tobą Doktorze z tych ciekawych papierów które ci oddał po nieboszczyku.

Niech mnie jasne. . . toć to były pieniądze i do tego niemałe! Wtedy głupiemu Kubie ani się nawet śniło żeby papier mógł być tyle wart co srebro i złoto, ale odtąd Kuba przetarł się w świecie i rozumu się nauczył. He, he, przyznaj-no się Jegomość wiele ci się też dostało z mojej krwawej pracy?

— No, kiedy wiesz Kubusiu, to ci teraz powiem prawdę. Myślałem że tam będzie bardzo wiele, aż tu okazało się zupełnie przeciwnie; bagatela o której mówić niewarto.

Kuba spójrzał mu ostro w oczy, uśmiechnął się złośliwie i spytał — «wiele naprzykład?»

— At, wszystkiego ze dwa tysiące złotych.

— Ha, ha, ha! a ten głupi sąd co zjechał do Kutna szukał 28,000 talarów! Powiedz teraz Jegomość kto z was ma racją? At, poco Jegomość chcesz mnie oszukiwać? Jużci ja nie taki chciwy żebym ci chciał wszystko wydrzeć, a nawet dla pewnych powodów wcale niewiele wezmę. Niema co mówić, pieniądze twoje — ty mnie podjudziłeś do tej roboty, ty mnie nie wydałeś, ty nareszcie przechowałeś te papiery, które ja z głupstwa byłbym wtedy albo spalił albo zakopał w ziemi gdzieby były zgniły. Aleć i Kubie powinienbyś cóś już z nich odstąpić; — no wiele mi dasz?

Notkiewicz znacznie już uspokoijony taką formą wymagania, zaczął się jeszcze wymawiać że część pieniędzy już stracił a resztę ma w obrocie, targował się długo i skończył na tem że przyrzekł Kubie wypłacić natychmiast 300 talarów i na przyszłość o nim pamiętać. Kuba zgodził się na te warunki i Doktor poszedł po pieniądze do swego

gabinetu. Z tamtąd wyniósł umówioną summę i nalany kieliszek.

— No, Kubusiu — rzekł, częstując go, wypij na odnowienie zgody między nami, i przerachuj sobie pieniądze. Jak raz sto holenderskich dukatów.

Kuba pochwycił naprzód złoto, a potem wlepiwszy wzrok w doktora, który niemógł wytrzymać jego spojrzenia i spuścił oczy, rzekł — No, dobrze, pij Jegomość do mnie.

— Ja niepiję wódki — odpowiedział Notkiewicz.

— No, to zawołaj służącego.

— I służący niepije, zawołał Doktor niby rozgniewany i nieczekając odpowiedzi rzucił kieliszek w komin — niechcesz, to mniejsza o to!

— A! to tak Jegomość ze mną postępujesz? chcesz mnie po prostu jak psa otruć? he, he, szczęście, ze Kuba łatwo w pole wyprowadzić się nieda.

— Co ty, oszalałeś czy co? na co bym ja ciebie miał truć — kiedy chcesz to ci pokażę całą butelkę tej wódki, możesz sobie spróbować.

— Dosyć tego, rozumiem. Ja nie pies żeby się zemną tak obchodzić. Zapłać za to drugie 100 hollendrów.

Notkiewicz oburzył się na to żądanie ale Kuba tak gwałtownie ścisnął pięście że Doktor czém prędzej spełnił jego rozkaz, lękając się żeby jeszcze więcej nieząžądał. Kuba zgarnął pieniądze nieliczą́c ich, nalepił kitajkę na oko i pożegnawszy go oddalił się.

Po jego wyjściu Notkiewicz wpadł jakby w szaleństwo.

Pomyślawszy sobie, że odtąd będzie zależał od dyskrecii rudego Kuby, który zajmując się łotrowstwem lada chwila może być pojmany i wydać go jako wspólnika morderstwa; że ten człowiek w każdym czasie wedrze się do jego domu, nieprzestanie na tych 200 dukatach które już odebrał i dalej będzie go obierał z pieniędzy, przewidując że Kuba odtąd będzie nieodstępnie śledził wszystkie jego kroki, przeląkł się, rwał sobie włosy z rozpaczy, wściekał się ze złości, przeklinał Hrabinę która ułatwiła łotrowi ucieczkę z więzienia i im więcej się zastanawiał nad swoim położeniem tém mu się wydawało straszniejszém.

Czy nie Hrabina podesłała do mnie Kubę? pomyślał sobie i chociaż przypadkowe ich spotkanie się na ulicy obalało ten domysł, jednakże Doktor postanowił natychmiast o prawdzie się przekonać, a w każdym przypadku prosić Ewę żeby wiadomemi jej środkami powściągnęła zuchwałość i łakomstwo Kuby.

Już miał wyjeżdżać z domu, kiedy drzwi się uchyliły i do pokoju wszedł jego faktor i faworyt Szmul z pejsami i z brodą ognistego koloru. Przez tego żyda Notkiewicz prowadził wszystkie swoje sekretne spekulacje, oddawał pieniądze na lichwę, skupował rozmaite rzeczy od ludzi gwałtownie potrzebujących pieniędzy, sprzedawał zakazane w handlu materjały apteczne i sekretne lekarstwa i t. d.

— Jak się masz Szmul — rzekł do wchodzącego; — co powiesz?

— Herstu! gada jak goim; — co to takiego? odezwał się żyd obrażony.

— No, no, mów prędzej, bo wyjeżdżam z domu.

— Ny, to niech Jegomość jedzie! — klaniam!

— Ach, Szmulku kochany, mów-że prędzej; — prawdziwie niemam czasu.

— Uch! bardzo dobry handel! wielki profit.

— Cóż takiego? może po umarłym ruchomość sprzedają?

— Och! po co tu umarlego?

Notkiewicz zaczął się niecierpliwić. Szmul wziął go poufale za guzik od fraka i zaproponował następną spekulacją. Żydzi powziąwszy wiadomość o wojnie narobili w Berdyczowie znaczną ilość fałszywej francuzkiej złotej monety i wysłali swego agenta do Warszawy żeby im wyszukał dom niepodejrzany, gdzieby mogli złożyć swój towar i przed rozpoczęciem kroków nieprzyjacielskich puszczać w kurs. Obiecywali za to dziesiąty procent, co na całej massie fałszywej monety stanowiło niemałą summę. Szmul porozumiał się z agentem żydowskim i udał się prosto do Doktora, niewątpiąc że w jego mieszkaniu dą się urządzić główny kantor tej spekulacii.

Notkiewicz natychmiast się zgodził, i wymówiwszy sobie niektóre ostrożności, odprawił Szmula a sam pojechał do Hrabiny.

Ewa po wczorajszej rozmowie z mężem siedziała smutna i zamyślona.

Notkiewicz, którego humor po umowie ze Szmulem znacznie się rozweselił, opowiedział jej dość żartobliwie

jakby nieprzywięzując do tego wielkiej wagi, swoje spotkanie z Kubą.

— I cóż myślisz począć konsyljarzu? — spytała Hrabina, obojętnie wysłuchawszy jego powieści.

— A nic, — odpowiedział niby od niechcenia.

— Źle Pan zrobisz, jeżeli się nie zabezpieczysz, bo ten Kuba bardzo źle jest notowany w tutejszej policyi. Wiedzą że jest herszłem bandy łotrów, oddawna go poszukują i jeżeli schwycą nakoniec — biada ci konsyljarzu!

— Cóż mam począć? ufam że mi Pani pomożesz.

— Tak. Mogę zastraszyć tego łotra i zrobić to żeby go bardzo gorliwie nieposzukiwano. Mogę wiele dla Pana uczynić jeżeli zechcę.

— O tém niewątpię i dla tegom się tu stawił. Czy mam Panią prosić?

— Nie. — Rzecz ta daleko łatwiej się ułoży jeżeli Pan zrobisz dla mnie pewną przysługę, bo właśnie w tym czasie mogę potrzebować pomocy pańskiej.

— Rozkaż Pani. Wszystko jestem gotów uczynić choćby mnie to kosztowało największego poświęcenia.

— Ach, ja żadnych poświęceń od Pana niewymagam. Chodzi o małą drobnostkę, nic więcej.

— Słucham.

— Oto widzisz Pan, spostrzegłam niedawno, że pewien człowiek ma więcej rozumu niż mi się zdawało, chciałabym żeby zgłupiał.

— Pani, jak widzę, żartujesz ze mnie?

— Bynajmniej.

— W takim przypadku, cóż ja tu mam poradzić?

— A, to prawdziwa bieda z niedomyślnemi ludźmi! no, czy w całej Medycynie niema sposobu żeby człowiekowi szyki w głowie pomieszać? żeby mu jedną klepkę wyjąć z głowy?

— A, a, pojmuję teraz — mogę Pani służyć.

— Ale zastrzegam sobie surowo, żeby ten środek nie pozbawił go ani życia, ani nawet wiele mu zaszkodził na zdrowiu. Proszę o tem pamiętać.

— Dobrze.

Hrabina podała mu rękę na znak potwierdzenia zobopólnych warunków i zmieniwszy dyskurs spytała czy siostra jej niestała się dla niego łaskawszą na wczorajszem balu.

— Widziałam was — rzekła, jakeście sobie na osobności rozmawiali i tak żywo iż zapewne doszło między wami do czegoś stanowczego?

— W samej rzeczy, — odpowiedział Notkiewicz; doszło do ważnych między nami objaśnień, które jednak skończyły się na tém że mi Panna Helena zabroniła pokazywać się jej na oczy, opuściła bal bardzo wcześnie i zachorowała. A dziś Kapitanowa kazała mi drzwi zamknąć przed nosem kiedy przyjechałem chorą odwiedzić.

— Cha, cha, cha! nieprzyjęto Pana!

— A nie, gdyż inny Doktor wcześniej odemnie tam był.

— Bądź spokojny konsyljarzu, wszystko się to da jeszcze naprawić. Moja ciotka, jest kobieta bardzo dobrego serca, jak jej powiem że ci wielką przykrość zrobiła, to ją skru-

puły opanują i sama będzie szukała zręczności pojednania się z tobą.

Notkiewicz spojrzał na Ewę jakimś dziwnym wzrokiem pełnym złośliwości i ironii i rzekł:

— Pani powinnabyś mi pomódz w tej sprawie! Jestem nawet pewny że to uczynisz, tylko niewiem czy prędko zobaczysz się z siostrą.

— Jeżeli ona wkrótce do mnie nieprzyjedzie to ja pojadę do niej.

— Ile mogę wnosić ze wczorajszych postrzeżeń, to ani sama nieprzyjedzie, ani Panią przyjmie gdy ją zechcesz odwiedzić. Między Panią i jej siostrą wszystkie stosunki wczorajszego wieczora zostały zerwane.

— Jak to być może? szczególną nowinę od Pana słyszę! Za cóż by się Helena miała na mnie gniewać?

— Nie tylko gniewa się — nienawidzi Panią! Wszak Pani tak cudownie tańczyłaś z Porucznikiem Rawiczem.....

— Czy ona zna Ludwika?— podchwyciła Hrabina strwożona.

— Czy zna!

— Mówże prędzej konsyljarzu, nie dręcz mnie....

— Zna go dawniej i lepiej od Pani. Przecie to on był kiedyś jej guwernerem w Kutnie.

— Ha! więc to o nim wspominała mi w Rozalinie!

— Wczoraj byli by zapewne odnowili dawną znajomość, lecz widok niewierności kochanka tak bolesnie zranił serce Panny Heleny, że nagle zachorowała.

— Ha! — krzyknęła Hrabina z zaiskrzonemi od gniewu

oczyma — dziękuję ci konsyljarzu za to odkrycie. Są takie rzeczy które kobiecie lepiej wiedzieć wcześniej niż później. Masz słuszność że między mną i moją siostrą wszystkie stosunki są na zawsze zerwane. Nienawidzę tę hipokrytkę! teraz w każdym razie możesz być pewnym mojej pomocy.

— Dziękuję i radzę naprzód postarać się żeby Porucznik Rawicz, niedowiedział się iż jego dawna uczennica znajduje się w Warszawie. Przy pierwszém spotkaniu ze mną u Pani, wypytywał mnie o Kapitanowę i jej córkę — lecz przewidując iż Pani mogę zrobić przysługę — skłamałem.

— Cóżeś Pan powiedział?

— Że Kapitanowa mieszka pono w swoim majątku a Panna Helena wyszła za jakiegoś francuzkiego officera.

— Źleś Pan zrobił. Nielubię kłamstwa i nigdy za pomocą fałszu nie będę zwlekała rozwiązania ważnych dla mnie zagadek losu. Ja pierwsza powiem mu tę nowinę.

— Niewiem czy Pani dobrze na tém wyjdziesz?

— Dziś niespodziewam się iżby uczucia jego mogły się zmienić, wszakże gdyby to nawet miało nastąpić, wolę wprzód niż później. Niepewność mnie zabija.

— I pewność może zabić.

— Ha! i to prawda! — rzekła Hrabina z goryczą — ja bez niego żyć niemogę! oddałam mu się zupełnie, bez granic, bez oględności, on jest pierwszy którego prawdziwie kocham, on pierwszy dał mi poznać co to jest miłość, i ja bym pozwoliła wyrwać go sobie? — nigdy! nigdy! — Jak lwica swoje pierworodne lwiątko, będę go broniła,

umrę w tej walce, odważę się na wszystko, lecz niedam go sobie wydrzeć. Cha, cha, cha! Helena chce być moją rywalką! czy ona zdolna jest tyle go kochać ile ja go kocham? Czy w jej maślaném sercu zmieści się choć jedna iskra tej namiętności która mnie pożera! Ale zobaczemy— zobaczemy! Bądź zdrów konsyljarzu. Zostaw mnie samą.

Jest to okropny moment dla kobiety, kiedy będąc przekonaną iż wyłącznie posiada serce swego kochanka, dowiaduje się nagle że ma rywalkę. Hrabina po wyjściu Doktora postanowiła z zimną krwią rozpatrzeć swoje położenie i przywoławszy całą przytomność swego umysłu zaczęła się nad niém zastanawiać. Innej kobiecie zapewne by się nieudała taka analiza, bo serce w stanie przestrachu nie jest zdolne do rozbioru, lecz charakter Ewy był tak dziwny iż w ogniu najsilniejszej nawet namiętności, mogła odwołać się do rozumu, choćby dla tego tylko, żeby tę namiętność wstrzymaną na chwilę, puścić potem swobodnie na wolę losu. W obecnym razie im więcej zastanawiała się nad swoim położeniem, tém jej się wydawało niebezpieczniejszém. Z początku czuła w sobie tylko gniew gwałtowny;— zuchwałość Heleny oburzała ją, lecz zato miłość własna szeptała jej iż będąc daleko piękniejszą od siostry, obudziwszy już tyle uczucia w sercu Ludwika, niema się czego obawiać ażeby wspomnienie jakiejś młodej dziewczyny, któréj kiedyś dawał lekcje, mogło zachwiać jego przywiązanie. Wszakże później przyszło jej na myśl że przymioty jej i Heleny są wcale różne, że jeżeli Helena nieposiada tej pełni wdzięków i życia które jej się dostały z natury, za to

w jej wiotkiej postaci i w delikatnych rysach twarzy jest także niemało powabu; jeżeli Helena nie ma tyle znajomości świata, śmiałości i salonowej maniery, to bez wątpienia przewyższa ją skromnością i naukowém ukształceniem, nareszcie — i to ją najwięcej zastanowiło — siostra jej była panną i miała prawo rozrządzać swoim sercem, ona przeciwnie, mogła kochać Ludwika tylko miłością występną, potępioną przez wszystkie prawa boskie i ludzkie. Wtedy pierwszy raz wpadła na myśl, że Ludwik ze swoim szlachetnym charakterem, z uczuciem prawości i religii które przebijały się w każdém jego słowie, może czas jakiś poddać się namiętności, lecz kiedyś ochłonie z chwilowego odurzenia i jakkolwiek mu to będzie trudnem, zrobi z siebie ofiarę. Naturalnie, zostawał jeszcze jeden środek wyratowania się z tej otchłani niezłomnych przeszkód — rozwód z mężem; lecz czy Ludwik zezwoli na to?

Wszystkie te myśli jak błyskawica przeleciały przez jej duszę i zostawiły po sobie ciemność tajemniczą, chaos moralny, nieroździelny z każdą namiętnością. Chaos, w którem najsprzeczniejsze żywioły mieszczą się obok siebie, nadzieja obok zwątpienia, miłość obok nienawiści, rezygnacja obok uporu, żądza działania i życia obok zmartwiałości i wiary w jakieś nieuniknione *fatum*. Z walki tych różnorodnych żywiołów powstaje namiętność i dla tego tak się różni od prawdziwej miłości, która będąc córką religii i pokoju, zawsze gotowa zrobić z siebie ofiarę dla szczęścia ulubionego przedmiotu.

Hrabina dręczona niespokojnością, z natury niecierpliwa

każdego rozwiązania choćby najsmutniejszego, passowała się czas jakiś z sobą czy ma pojechać do siostry lub nie? nareszcie niesforny charakter wziął przewagę. Wyjechała odwiedzić ją żeby z oczu chorej wyczytać, żeby ze słów jej domyślić się, do jakiego stopnia Ludwik jest dla niej drogim? Lecz nadzieja ją zawiodła. Ciotka przyjęła ją bardzo sucho i pomimo najusilniejszych domagań, nie puściła do siostry.

Powróciwszy do domu, Ewa nagle zrobiła się niezmiernie wesołą, śmiała się z płonnej swojej trwogi i stojąc przed lustrem mówiła sama do siebie — Niegodziwy Notkiewicz! z taką złośliwą miną opowiedział mi banialukę, o jakiejś urojonej miłości Ludwika, żem się jak dziecko przelękła. Jest też czego! cha, cha, cha! Przypuściwszy nawet że Helena kocha Ludwika, cóż mi to szkodzi jeżeli on tylko dla mnie się niezmieni, a o tém po wczorajszym balu zdaje się bynajmniej wątpić nie mogę. Wszakże tak był mną wyłącznie zajęty że nawet niepostrzegł Heleny ani ciotki. Dziwactwo! ubiorę się raczej; bo już czas się zbliża, kiedy przyrzekł mnie odwiedzić. Zawołała garderobianę i skończywszy toaletę siadła uspokojona w salonie, niecierpliwie tylko spoglądając na skazówkę zegaru.

Ludwik stawił się punktualnie. Na twarzy jego jaśniał taki wyraz szczęścia, w słowach jego przebijało się tyle głębokiego uczucia, że Ewa upojona roskoszą, gniewała się na siebie że mogła dać przystęp bezzasadnej podejrzliwości. Pomimo tego niecierpliwy charakter niedawał jej pokoju, usta nieustannie chciały wymówić stanowcze pytanie i ta ukryta walka kobiecej duszy nieuszła uwagi Ludwika.

— Jeżeli się niemylę — rzekł, — Hrabina masz zapewne jakieś zmartwienie albo jakąś niespokojność, albowiem pomimo widocznego starania niepotrafisz być tak niewymuszenie wesołą jak wczoraj na balu.

— Ach, nie, — odpowiedziała Ewa, — zkąd Pan to wnosisz?

— Nieumiem Pani tego wytłumaczyć, lecz zdaje mi się że od pewnego czasu posiadam taką przenikliwość iż każdą jej radość, każdy smutek, przeczuwam w swoim sercu, dla tego zapewne żebym mógł je podzielić.

— Powiedz raczej Ludwiku, dla tego że każda moja radość, każdy smutek z twego tylko serca do mojego przyjść może. Świat zewnętrzny jest dla mnie obojętny, wszystko co mnie otacza, o tyle tylko robi na mnie wrażenie o ile ciebie może obchodzić.

— Więc i ten smutek którego dostrzegłem z mojej może przyczyny pochodzi?

— O nie! i wierz mi że to niejest smutek, bo czyliż w tej chwili, będąc przy tobie, niejestem najszczęśliwszą z kobiet? jednakże przenikliwość twoja nieomyliła cię. Powiedziano mi o tobie jedną drobnostkę i ta mnie na chwilę nabawiła niespokojności. Ale wierz mi że się wstydzę sama siebie że mnie to mogło zatrwożyć.

— Jak mi Bóg miły niepoczuwam się do żadnej winy.

— Alboż ja ciebie winię mój drogi Ludwiku? Czyliż mam jakiekolwiek prawo do tego? o wierz mi, ja pragnę cię tylko kochać, lecz wyrzutów nigdy ci czynić niebędę.

Ludwik błagał ją o wyjawienie tajemnicy. Hrabina długo

się opierała, nareszcie spytała go wpatrując mu się w oczy— czy znasz moją siostrę?

— Twoję siostrę Hrabino?—odrzekł spokojnie, pierwszy raz słyszę że masz siostrę. Wszystko co niejest tobą tak mało mnie obchodzi że dotąd niewiem i nie pragnę wiedzieć nazwiska która nosiłaś wprzód nimem cię poznał Hrabiną Olborską.

— Ach! dla czegoż niepoznałeś raczej Ewę Łobzowską — rzekła Hrabina z westchnieniem. Lecz ta siostra o której mówię jest tylko cioteczną moją siostrą — jedném słowem jest to — Helena Kostyńska.

— Helena Kostyńska! zawałał Rawicz z mimowolném wzruszeniem — a jakże! mój Boże! znałem ją młodą dziewczynką w Kutnie, widywałem co dzień. Co to za miłe, dobre i śliczne było dziecko!

Hrabina zachmurzyła się nieco i rzekła — To dziecko jest dziś dorosłą panną i była wczoraj na balu z matką.

— Jakto? Panna Helena była na balu? to być niemoże! byłbym ją przecie zobaczył — Ach! jak to dla mnie boleśnie!

— W samej rzeczy szkoda! — odrzekła Ewa coraz w gorszym humorze — bo ta dystrakcja pańska przyprawiła ją o chorobę. Musiała wcześnie wyjechać do domu i dziś jest mocno słaba.

Ludwik się zamyślił. Ani zmieniony humor Ewy ani oko jej roziskrzone, niezwróciły jego uwagi. Kutno, Helenka, obecność jej na balu i choroba, wszystko to tak żywo zajęło jego wyobraźnią, że kilka chwil został w zadumaniu.

Hrabina przerwała milczenie spytawszy — o kim Pan teraz myślisz?

— O siostrze Pani — odpowiedział bez wahania się.

— Widzisz Pan, że niedaremnie byłam smutna.

— Niewidzę tego bynajmniej. Wyznaję iż jestem najszczerszym przyjacielem Pani Kapitanowej a córkę jej kocham jak rodzoną siostrę. Żałuję mocno żem się z nimi wczoraj niezobaczył i przez to przykrość im wyrządził — ale niepojmuję dla czego by to Panią mogło zasmucać? Czyliż te uczucia do których przyznaję się otwarcie i któremi się szczycę jak każdą przyjaźnią dla osób zacnych i miłych, mogą się tobie niepodobać Hrabino?

— Owszem, owszem, rzekła Ewa z przekąsem i idąc za popędem złego humoru, dodała — śpiesz się Pan odwiedzić swoje przyjaciołki które go niezawodnie z niecierpliwością oczekują. Czy chcesz Pan wiedzieć ich mieszkanie?

— Wielce mnie Pani zobowiążesz.

— Za żelazną bramą, dom * * *.

— Najpiękniej dziękuję! adieu! — i wziął kapelusz.

— Ludwiku!—zawołała Hrabina, chwytając go za rękę— tak się nierozstaniemy. Czy w samej rzeczy chcesz mnie opuścić?

— Wszakże Pani sama kazałaś mi się śpieszyć.

— Daruj, przebacz mi Ludwiku! gdybyś wiedział ile mi jesteś drogim, niedziwiłbyś się że najmniejsze podejrzenie iż mogę stracić twoją miłość nabawia mnie śmiertelnej trwogi. Cenię twoje szlachetne zasady, twoją niezachwianą

przyjaźń dla mojej ciotki, lecz od chwili kiedy mi powiedziano że znasz Helenę, opanowała mnie jakaś niespokojność której nie mogę i niechcę ukrywać przed tobą. Powiem ci więcej — jestem zbyt otwarta z natury — postanowiłam sobie dziś pomówić z tobą szczerze i gdybyś był nie zaczął mnie wypytywać była bym sama ciebie zapytała. Uspokój - że mnie teraz, powiedz mi otwarcie czy ta nowina której się dowiedziałeś odemnie uczuć twoich niezmieni? O proszę cię uspokoj mnie!

Ludwik utkwił w nią wzrok najtkliwszej miłości i rzekł wzruszony — nigdy, nigdy ciebie kochać nie przestanę!

Ewa rzuciła mu się na szyję i w pocałunku który ich usta połączył dokonało się całkowite pojednanie upojonych roskoszą kochanków. Czas upływał; nareszcie Rawicz pożegnał Hrabinę.

— Gdzież teraz dążysz? spytała Ewa z westchnieniem odprowadzając go do drzwi salonu.

— Nieśmiem wyznać że do Kapitanowej — odpowiedział Ludwik — odwiedzać strapionych i chorych to obowiązek chrześciański.

— Tylko nie panny! ale jedź — jedź — wierzę ci niezłomnie i polegam na twojej szlachetności, przecie pocieszając jedną niezechcesz drugą pogrążyć w rospaczy.

Rawicz pojechał prosto do pani Kostyńskiej. Kapitanowa przyjęła go z niejakim zadziwieniem, które młodzieniec natychmiast zrozumiał. Szanując smutek matki niewspomniał o wczorajszej zabawie, lecz oświadczywszy w ogólnych wyrazach że dopiero co dowiedział się od znajomych o jej

pobycie w stolicy, odwołał się natychmiast do wspomnień Kutna. Rozmowa zaczęta z tego stanowiska niemogła niepodobać się pani Kostyńskiej, a szczerość tchnąca w słowach Ludwika i twarz jego ożywiająca się coraz mocniej w miarę jak wywoływał miłą dla niego przeszłość, przekonały ją że stosunki Rawicza z Hrabiną mogły niebyć tém czém się jej z pozoru wydały. Pani Kostyńska była pełna religii i surowej moralności lecz razem znała obyczaje swego czasu i była wyrozumiałą. Naturalnie że sama myśl jakiegoś związku między Ludwikiem i Hrabiną oburzała ją jako grzech ciężki, zgorszenie i nawet nieprzyzwoitość towarzyska, lecz pojmowała też że (w tamtym czasie) podobne miłostki wprowadzone w modę przez francuzkie żołnierstwo, stały się w pewnym względzie niezbędną rekomendacją młodzieńca który życzył sobie mieć wstęp w salonach stolicy. Im głośniejszą była awantura, tym więcej wziętości zyskiwał sobie jej bohater, a co jeszcze dziwniejsza, bohaterka niewiele na swej reputacii szwankowała. Z tego punktu zapatrując się na postępowanie Rawicza i widząc przytém że ani poczciwe jego serce, ani otwartość i szlachetność charakteru bynajmniej się niezmieniły, poczęła tuszyć że dobry pierwiastek jego istoty weźmie niechybnie górę nad złym przykładem; — że ta ulotna namiętność wzbudzona kokieterją Hrabiny wytrawi się i zgaśnie sama przez się. Ewę niemogła niczém usprawiedliwić, Ludwika prawie uniewinniała. Był to zapewne jeden z tych sofizmów co tak łatwo zakradają się do macierzyńskiego serca — pobłażliwość oparta może na tej nadziei że to co Rawicz stracił w jej szacunku przez

zbliżenie się do Ewy, to może odzyskać w obcowaniu z Heleną, jakkolwiek bądź rozmowa Ludwika wróciła mu nietylko dawną przyjaźń Kapitanowej lecz i tę poufałość jakby pokrewieństwa, do której oboje przyzwyczaili się w Kutnie. Doszedłszy do tego, pani Kostyńska niepotrafiła jednak odnieść nad sobą całkowitego zwycięztwa; — wesoło wprawdzie i żartem, lecz otwarcie dała mu poznać ile jej było przykro widzieć go na balu tak dalece zajętym zamężną kobietą, że ani jej ani Heleny nawet nie spostrzegł.

Ludwik się zmieszał. Jak się to stało? rzekł, tego niepojmuję, wszakże do winy najszczerzej się przyznaję. Wiem że zacząwszy mówić o dniu wczorajszym znalazły by się inne, jeszcze cięższe z mej strony wykroczenia. Pojmuję to w tej chwili aż nadto dobrze, ale błagam panią zaniechać tego przedmiotu. Uważaj mnie pani za chorego któremu mniej pomoże przypominanie symptomatów jego choroby, ale raczej potrzeba czzsu, pewnego pobłażania i środków skutecznych coby mogły wrócić mu zdrowie. Ufam że mi pani wszystkiego tego nieodmówisz, a szczególniej pozwolisz mi dom swój nawiedzać jak niegdyś w Kutnie, jak w owym szczęśliwym czasie który dotąd z największą roskoszą sobie przypominam. Na dowód zaś żem i w dalekich krajach pieścił się nadzieją odnowienia naszej znajomości, pozwolisz pani abym jej dziś jeszcze przysłał kilka upominków przygotowanych za granicą a w tej liczbie dla mojej uczennicy nasiona najpiękniejszych kwiatów Hiszpańskich. To powiedziawszy ucałował rękę pani Kostyńskiej i pożegnał ją.

Kapitanowa rozstrząsając postępowanie Ludwika i to co od niego w krótkiej rozmowie usłyszała uspokoiła się zupełnie. Jakieś przeczucie mówiło jej że gdyby był przed poznaniem Hrabiny zobaczył Helenę, wszystko by było wzięło inny obrot, i że przywiązanie jego do Ewy długo trwać niemoże. Nareszcie i to nie uszło jej uwagi, że przez delikatność wypływającą jedynie z poczciwego serca nie pytał o przyczynę choroby Heleny, i starał się o niej niewspominać, jak gdyby czuł się niegodnym wymówić jej imie. O ile jego wizyta przyczyniła się do wyzdrowienia panny Kostyńskiej, łatwo się domyślić.

XVII.

W czasie pamiętnej wiosny 1812 roku Warszawa stała się jakby stacją pocztową całej Europy. Z powodu zbierającej się burzy politycznej, osobliwie po zjeździe Monarchów sprzymierzonych z Napoleonem w Dreznie, nieustannie pojawiały się w stolicy Xięztwa Warszawskiego różnych narodów figury, zbierały się nasze pułki, zawierano kontrakty na ogromne liwerunki, Xiądz Arcybiskup Pradt wysłany umyślnie przez Cesarza Francuzów, obiecywał bardzo wiele i deklamował jeszcze więcej — wszyscy prorokowali, radzili, uzbrajali się, i bawili się, słowem Warszawa i kraj cały były jakby w gorączce. A tym czasem, niewidziana od krzyżowych wojen półmilionowa tłuszcza sprzymierzonych wojsk, przez Prussy i Xięstwo Warszawskie spieszyła na brzegi Niemna.

Obok wielkich wypadków które przygotowywały się dla Europy, maleńki dramat naszej powieści znacznie się też posunął. Wszystkie główniejsze osoby które dawniej pozna-

liśmy pojedyńczo, teraz znalazły się w Warszawie i mniej lub więcej w bliskim z sobą zetknięciu.

Hrabia Olborski w kilka dni po wiadomym balu w jego domu, wpadł w jakiś dziwny stan moralny, który zdawał się być podobnym do warjacii lub idiotyzmu. Oczy miał ciągle spuszczone i na nikogo ich niezwracał, nic go niezajmowało, o nic się niepytał, najczęściej niezwracał żadnej uwagi na pytanie które mu czyniono i milczał uporczywie, a jeżeli się kiedy odezwał, to zwykle niedorzeczy. Nakoniec porzucił całkowicie wszystkie towarzystwa w których czas przepędzał, porzucił swoje miłostki, niezajmował się wcale toaletą, i tylko z kamerdynerem swoim szwajcarem wyjeżdżał ledwie nie codzień niby na polowanie, ale to wedle słów wiernego sługi kończyło się na tem, że przyjechawszy do lasu, cały czas chodził po gęstwinie i francuzkie piosenki spiewał. Hrabina z początku zdawała się być mocno przestraszoną tym osobliwszym usposobieniem męża i prawie gwałtem przyprowadziła mu Notkiewicza, lecz skoro tylko Doktor wszedł do jego pokoju Hrabia porwał za pistolety i pierwszy raz spojrzał prosto w oczy nieproszonemu gościowi. Notkiewicz przelękniony czem prędzej umknął, a Ewa spokojnie zbliżywszy się do męża zaczęła mu perswadować żeby nie odrzucał pomocy lekarskiej. Hrabia milcząc słów jej wysłuchał, i tak mało pokazał uwagi jak gdyby to co mówiła bynajmniej do niego się nie stosowało. Nareszcie znudzony odezwał się dziwnym głosem — jeszcze jest czas, jeszcze ja nie tak chory, jak będzie tego potrzeba, to wyleczę i siebie i wszystkich co są w gorączce. Hrabina

utopiła w jego twarzy wzrok badawczy, podejrzewając że w tych słowach może się zawierać jaki podstęp — lecz Hrabia wpadł znów w odrętwiałość, milczał jak kamień i zdał się być całkiem pozbawiony przytomności umysłu.

Odtąd Ewa przestała się troszczyć o niego, niepytała nigdy co się z nim dzieje i wystarczało jej to że się jej na oczy nienasuwał. Zresztą inny i wyłączny przedmiot pochłaniał wszystkie jej myśli i uczucia. Namiętność niedawała jej czasu zajmować się mężem.

Stanisław Łaszcz, opłakiwany i wskrzeszany przez rodziców, rzeczywiście ocalał z płomieni i służył w Hiszpanii, skąd przed nową wojną przybył do Warszawy. Znajdując się kiedyś pod komendą Ludwika, zaskarbił sobie jego najszczerszą przyjaźń, przez niego po powrócie do kraju dowiedział się o pani Kostyńskiej, a od niej o swoich rodzicach. Piękny to był i rozrzewniający widok, którego w dzisiejszych czasach próżno by szukać, kiedy dorosły syn, oficer ozdobiony honorami wojskowemi, drząc od wzruszenia i w części od strachu, wszedł ostrożnie do skromnego mieszkania pana Woźnego i zapomniawszy wszystkich przywilejów swego dostojeństwa, plackiem rzucił mu się do nóg błagając ze łzami o przebaczenie. Stary Łaszcz tak był tknięty tym dowodem posłuszeństwa i miłości synowskiej że go natychmiast podniósł i wszystko mu darował. Po przejściu pierwszego nawału szczęścia Woźniowa, ścisnąwszy w swoich objęciach syna, jakby z bojaźni żeby go drugi raz niestracić, rzekła do męża — a co Kacperku? niemówiłam ja ci zawsze że historja S. Józefa Patryarchy na nas się spraw-

dzi? — O ba! odpowiedział stary Łaszcz — niby ja tego samego nie myślałem? tylkom się z tym nieodzywał bo jużci na to nam mężczyznom Pan Bóg dał krótszy język niż wam niewiastom żebyśmy niepotrzebnie i przed czasem się nieodzywali. — Powiedz no Wacpan panie Officerze teraz całą swoją historją żebyśmy łaskę Bożą bliżej poznali i mogli X. Proboszcza poprosić o odprawienie dziękczynnego nabożeństwa.

Stanisław zaspokoił ciekawość rodziców, nic wcale niewspominając o stosunkach swoich z panną Łobzowską a potem prosił ojca żeby mu swoje przygody opowiedział.

Kiedy stary wspomniał o pobycie Hrabiny w Warszawie, syn mimowolnie zadrżał i ku wielkiemu zadziwieniu ojca, długo niechciał wierzyć żeby Ewa miała przysyłać im miesięczną pensją.

Niemniej tkliwem było spotkanie się Ludwika ze Stryjostwem. Pani Rawiczowa serdecznie płakała ze zbytku radości, a stryj, lubo niemniej od niej rozczulony, jednakże nieodstępując od swego wesołego humoru, przywitał synowca głośnym wykrzykiem:

At, o Deorum quisquis in coelo regis
Terras, et humanum genus. . . .

jakżeś mi mój miły Ludwiku zmężniał i nawet popięknial w tej niegodziwej Hiszpanii co tak długo na ciebie sztylety ostrzyła. Ale z tym młodym pokoleniem to tylko kłopot i bieda; ledwie na południu udało mu się życie od szwanku wyratować, a już znów na północy na nowe niebezpieczeństwa chce się narażać. Widzę że Waść panie Poruczniku

całkowicie już zapomniałeś Horacego, a toć to on wyraźnie jakby do was mówi:

Quoquo scelesti ruitis? aut cur dextris
Aptautur enses conditi? . . . .

dość by tej wojaczki; — at, niepuszczę cię teraz i kwita!

Ludwik z czułością pełną uszanowania zaczął przekładać stryjowi że okoliczności towarzyszące tej nowej wojnie niepozwalają mu wyjść z szeregów.

— Rozumiemci ja to dobrze mój poczciwy chłopcze — zawołał P. Szymon zasmucony. Wiem, że nam trzeba będzie jeszcze raz się z tobą pożegnać, ale to dla mnie bolesne, że ta konieczność zdarza się właśnie wtedy, kiedy my z twoją stryjenką jesteśmy już starzy i dni swoich niepewni. Żeby nie ta wojna, tobyś Waść natychmiast musiał mi się ożenić. Masz teraz dwie wioski, żona by ci takie siakie wiano przyniosła, osiedlibyśmy przy tobie i dopiero po dawnemu byśmy sobie pożyli. Mógłbyś tak jak nasz zacny poeta pochwalić się:

Est mihi nonum superantis annum
Plenus *Hungaricum* cadus. . . . .

bom ci oddawna porządną piwniczkę urządził.

Młodzieniec westchnął.

Pierwsze chwile pobytu w Warszawie ubiegły w nieustannych opowiadaniach najmniejszych szczegołów wojny Hiszpańskiej. Pożniej, po poznaniu się z Hrabiną Ludwik stawał się w domu coraz więcej milczącym, a od czasu odnowienia znajomości z Kapitanową, wpadł w roztargnienie i smutek. Na pytania krewnych wymawiał się zbliżającym się roz-

poczęciem kampanii, która go z nimi na długo a może na zawsze rozdzieli. Niechciał zasmucać stryja wyłuszczeniem męczarni od której rozdzierało się jego serce i której nieprzewidywał końca. Mimowolny wstyd niedał mu nawet ust otworzyć w tym przedmiocie, bo czuł, że się postawił w złe położenie, które sprawiło by stryjowi wielką przykrość i które całą swoją powagą by potępił. Stary Rawicz co kiedyś w Kutnie odzywał się nieraz niby żartem, ale nie bez pewnego upodobania, że z Ludwika i Heleny była by piękna para, cóżby teraz powiedział synowcowi gdyby ten mu się przyznał, że w jednym czasie prawie jednakowo jest zakochany w pannie Kostyńskiej i w jej zamężnej siostrze? A jednak tak było w istocie. Ludwik czas pewien odwiedzał obie siostry i równie przyjemnie czas z niemi przepędzał. Jeżeli Ewa ognistym wylewem nietajonej swej namiętności, śmiałością swoją i zupełném zdaniem się na szlachetność kochanka doprowadzała go do roskosznego upojenia i umiała oczarować jego wyobraźnią, to z drugiej strony więcej skromna jej siostra ujmowała go niewinnością swoją, tkliwością serca i pięknemi przymiotami duszy. Uczucie błogości i szczęścia którego przy niej doświadczał obejmowało go powoli, rozwijało się że tak rzekę stopniami i dochodziło do zachwytu który trwał dłużej i milsze po sobie zostawiał wspomnienie. Wychodząc od Hrabiny czuł się znużonym, unosił z sobą zawsze jakąś niespokojność, jakiś wstyd mimowolny i najchętniej udawał się do Heleny, żeby w nieskażonym, czystym zdroju jej duszy, zaczerpnąć dla siebie ochłodę i pokój. Przeciwnie po wyjściu od panny

Kostyńskiej tak dalece był szczęśliwy, tak przepełniony roskosznym uczuciem ciszy moralnej, tak wesoły i zadowolony z siebie samego, że nietylko nieżyczył sobie widzieć Hrabinę, ale i nikogo z ludzi światowych, a spieszył z powrotem do Stryja albo chronił się do Bielańskiego lasku gdzie używał ulubionej samotnej przechadzki.

Wkrótce jednak szale tej niepewności, która niczym innym niebyła jak walką ciała z duchem, jak wahaniem się między pięknością fizyczną i moralną, zaczęły się coraz więcej przechylać na jedną stronę. Hrabina niemogła niespostrzedz znacznej zmiany w Ludwiku i domyślała się jej przyczyny. Powodując się gwałtownym swoim charakterem i niebędąc w stanie władać tą namiętnością która ją pożerała, niepotrafiła potłumić w sobie wybuchów zazdrości i gniewu; — to zalawszy się łzami prosiła Ludwika o litość nad sobą i chciała być tylko jego przyjaciółką, służącą, niewolnicą, odrzekała się wszelkich wymagań byle porzucił jej siostrę, to znów wyrzucała mu że dla niego poświęciła obowiązek, dobre imie, opinją świata, słowem wszystko co stało jej miłości na zawadzie, groziła zemstą jemu i Helenie. Niekiedy stanowczo oświadczała mu że żadne niebezpieczeństwo ją nieustraszy i że za bagażami jego pułku pojedzie za nim na wojnę. O jakże się różniła od swej siostry, która gdy rozmowa dotknęła tego punktu, milczała tylko, siląc się zatrzymać łzy co mimowolnie rosiły jej powieki, a jeśli ją Ludwik wyraźnie pytał czy będzie o nim pamiętała, odpowiadała z rzewną prostotą — będę się modliła za pana.

Tak rażąca przeciwność uczuć, charakterów i postępowania dwóch kobiet między któremi wahało się jego serce oczewiście coraz więcej skłaniała go na stronę Heleny która go zawsze z równą tkliwością witała, z równym smutkiem żegnała, od której nigdy nie słyszał żadnego wyrzutu, która wreszcie w niewinnej dziewiczej duszy coraz inne odkrywała mu dowody głębokiego affektu. Zrażony częstemi niepokojami których doświadczał od Hrabiny, oczekując za każdą wizytą nowej sprzeczki, nowego wybuchu namiętności niepowściągnionej żadnym wędzidłem, znużony nieustanną kłótnią i godzeniem się, pracował nad sobą żeby zerwać związek, który teraz ochłonąwszy z pierwszych wrażeń, potępiał jako niezgodny z jego przekonaniem i z religją. Ale dopiąć tego nie tak łatwo. Jeżeli kiedykolwiek nieodwiedził Ewę, przysyłała natychmiast lokaja dowiedzieć się o jego zdrowiu, a jeśli i to nieskutkowało, sypały się listy z najtkliwszemi wyrzutami, przyrzeczeniem poprawy i z groźbą że osobiście przyjedzie go przeprosić. Ludwik lękał się zasmucić poczciwych swoich krewnych i dobrodziejów przykładem podobnego zgorszenia — gniewał się sam na siebie, opuszczał ręce niewiedząc co dalej począć i jechał do Hrabiny.

Te nieustanne frasunki do tego stopnia wpłynęły na humor jego dotąd zawsze wesoły, że stary Rawicz i Kapitanowa to spostrzegli. Ludwik z trudnością wymówił się od objaśnienia. Tęsknota jego jeszcze bardziej się powiększyła, pragnął z żywym człowiekiem otwarcie pomówić o swoich cierpieniach, serce jego chciało wylać się przed drugim i

usłyszyć słowo rady lub pociechy. Raz, kiedy idąc po Krakowskim przedmieściu z młodym Łaszczem został od niego zapytany o przyczynę zmiany w humorze, opowiedział mu swoje położenie, zataiwszy tylko nazwiska obydwóch kobiet.

Stanisław rzekł mu — imie jednej nie jest dla mnie sekretem bo wiem jak często bywasz u Pani Kostyńskiej. Tę kobietę znam dobrze, jest to Anioł który cię zapewne uszczęśliwi, jeżeli jak się spodziewam, potargasz nakoniec te więzy w których druga cię trzyma. Niewiem jej nazwiska lecz znałem kiedyś bardzo podobną do niej kobietę. Charakter który mi opisałeś obudza we mnie niektóre podejrzenia. Nie chcę badać tej tajemnicy, lecz jeżeli nieszczęśliwym trafem zbiegłeś się z tą osobą, żałuję cię mocno — lękam się o ciebie.

Właśnie kiedy tych słów domawiał, lekki koczyk parą anglizowanych koni zaprzężony, śpiesząc z Nowego Świata zrównał się z nimi w tak bliskiej odległości, że siedząca w nim młoda kobieta, pochyliwszy się nieco w ich stronę, prawie w oczy im zajrzała. Lecz nagle jakby przerażona czémś niespodzianém, zawołała na stangreta: jedź dalej! dalej! i powóz poleciał jak błyskawica.

Obydwaj officerowie mieli dość czasu przypatrzyć się twarzy tej kobiety, słyszeli głos jej i oba nagle zatrzymawszy się na miejscu obrócili na siebie zdumione oczy. Po chwili Ludwik spytał swego kolegę z uśmiechem — Co cię tak zastanawia? powinienbym może powiedzieć co cię trwoży, tak jesteś blady i zmieszany. Czy cię to dziwi że młodej kobiecie wydaliśmy się zdaleka pewnie jej znajomemi? Że

spostrzegłszy swoją omyłkę ze wstydu czém prędzej pojechała dalej? Jużci pewnie niewyobrażasz sobie że to jaka latająca czarnoxiężnica. . . .

— Nic wcale z tego co mówisz nie wyobrażam sobie — odpowiedział Stanisław, bo tę kobietę znam — to jest Hrabina Ewa Olborska!

— Skądże ta znajomość?

— Od dawnego czasu. Mój ojciec był Komissarzem w dobrach jej ojca.

— Dla czego-żeś się z nią nieprzywitał?

— Wszak wiesz iż wyszedłszy za mąż zaczęła swe rządy od wypowiedzenia służby memu ojcu, ale niemówmy o tém, powiedz mi raczej dla czego sam jej nieprzywitałeś? Jeżeli się niemylę, to dla ciebie jedynie chciała kazać powóz zatrzymać.

— Tak — jakoś brakło mi czasu.

— Posłuchaj mnie Ludwiku. Przed chwilą niepragnąłem wcale wdzierać się do tajemnic twego serca i trwałbym dotąd w tém postanowieniu, lecz patrz! oto trafunek albo raczej Opatrzność mimo twojej woli i mego starania odkrywa mi twój sekret.

— Co? co?

— Ach, mój kochany, nieudawaj zadziwienia. To jest właśnie ta kobieta z którą powinieneś, a jednak dotąd daremnie usiłujesz, zerwać wszystkie stosunki.

— Zgadłeś! — rzekł Ludwik zamyślony.

— Dziękuję ci że mi nieodmawiasz przyjacielskiej ufności i cieszę się z tego przynajmniej że jeszcze nie jest za-

późno. Mam dla ciebie obowiązek dozgonnej wdzięczności i z roskoszą chwytam okoliczność żeby ci się choć w części wywiązać. . . .

— Obowiązek wdzięczności? . . . co to znaczy?

— Pamiętasz Ludwiku kiedyś mnie niespodzianie odwiedził w domu rodziców? Ojciec mój tak mocno się zmieszał na twój widok że aż oczy sobie przecierał żeby się przekonać czy ciebie widzi we śnie czy na jawie. Upewniwszy się żeś żywy człowiek jął ci ze łzami dziękować za jakieś dobrodziejstwo, ale nie dałeś mu wypowiedzieć za co mianowicie? Otóż kiedyś wyszedł prosiłem ojca o wyjawienie tego lecz stary odrzekł mi — boleśnie by mi było przed tobą mój synu odkryć tę tajemnicę, i żądam nawet żebyś za mego życia niestarał się jej dowiedzieć; niechaj ci to tylko wystarczy że gdyby P. Rawicz w pewnym zdarzeniu nie był się znalazł, twój ojciec byłby wpadł w przepaść nieszczęścia i infamii, byłby się może dopuścił zbrodni i zostawił wdowę i sierotę w nędzy, pod brzemieniem hańby i powszechnej wzgardy — Widzisz więc Ludwiku że za ojca, za matkę i za siebie powinienem ci być do zgonu wdzięczny.

— Ale to bagatela. . . . .

— Proszę ciebie niemów ani słowa więcej bo wiesz że niemam prawa cię słuchać, ty raczej wysłuchaj mnie cierpliwie. . . .

— Dobrze.

— Błagam cię Ludwiku porzuć tę kobietę, zdobądź się na wolę mocną, niezłomną, potłum w sobie wszystkie fał-

szywe skrupuły, pójdź za głosem twego serca które jestem pewny należy już do panny Kostyńskiej. Sam Bóg ci ją przeznaczył na towarzyszkę żywota i przy jej boku niezawodnie znajdziesz trwałe szczęście. Porzuć Hrabinę! Nieżądaj odemnie żebym ci szczegółowo dowodził potrzeby tego postanowienia, niedomagaj się odemnie tego co mi wiadomo o przeszłości tej kobiety, wierz mi tylko, że wszelki z nią stosunek nie jest godny twojej szlachetnej duszy...

— O mój Stanisławie! albożja sam tego wszystkiego codzień sobie niepowtarzam?

— Zaklinam cię niezwlekaj swego postanowienia.

— Dla czegóż ty ciągle przemawiasz do mnie jakiemiś zagadkami, tak ciemno jak starożytne wyrocznie, albo jak astrologowie w średnich wiekach?

— Ach! bo wiele jest dla ciebie zagadek których się wcale niedomyślasz. Jeszcze raz powtarzam ci że o przeszłości Hrabiny mówić niechcę, lecz to czego ty w codziennym obcowaniu nie dowiedziałeś się, a co przypadkiem i bez wszelkich poszukiwań odkryłem, to ci mogę wyjawić.

— Proszę.

— Hrabina ma męża; — czy pomyślałeś z uwagą o nim?

— A, mój Stanisławie! gdybym niebył pewny twej przyjaźni, mógłbym cię posądzić że mnie chcesz straszyć! Spodziewam się że mi tej krzywdy niemasz zamiaru wyrządzić. Mogę być słabym i ułomnym jak każdy człowiek, mogę być lekkomyślnym i nawet występnym kochając cudzą żonę, lecz podłym niejestem. Ani nadużyłem ufności lub przyjaźni Hrabiego bom ich nigdy nieposiadał, ani też

jestem zdolny wymówić się od honorowego zadośćuczynienia gdyby go zażądał. Przyznam ci się że mi nawet smutno że do tego nigdy podobno nie dojdzie, gdyż Hrabia w ostatnich czasach zrobił się zupełnym hypokondrykiem, że nie powiem idiotą.

— Gdybyś pamiętał Ludwiku iż ci mam objaśnić zagadkę nieposądzał byś mnie bez powodu że cię chcę straszyć. Ale wracając do rzeczy, jeżeli ani religja ani sumienie niemogły cię wstrzymać od wytrwania dotąd w namiętności, powiedz mi jakim sposobem nieporzuciłeś Hrabiny odkąd mąż jej wpadł jak mówisz w idiotyzm? Ty, zawsze tak szlachetny w swoich zasadach, pozwoliłeś sobie uwodzić żonę człowieka który nie jest w stanie ująć się za splamiony swój honor? zastanów się na jaką opinją nie tylko u ludzi poczciwych, ale nawet u ludzi światowych się narażasz?

— O! zawołał Rawicz, z nieudanym smutkiem — o tém niemyślałem!

— Słuchajże moich zagadek. Po przyjeździe do Warszawy odwiedziłem jednego z dawnych moich przyjacioł szkolnych który teraz jest aptekarzem na Nalewkach. Właśnie kiedy wchodziłem do apteki żegnał się z nim i wychodził jakiś mężczyzna bardzo dobrego tonu, mający wybitną postawę wielkiego pana, i który dość często jakby machinalnie powtarzał zabawne słowo piu! piu!

— Hrabia Olborski!

— Niewiedziałem że to on bom go nigdy niewidział, lecz zastanowiło mnie to cokolwiek, po co by magnat *in persona*

chodził do apteki, do tego na Nalewkach? Przywitawszy się serdecznie z moim przyjacielem i pomówiwszy do woli spytałem go o powód wizyty nieznajomego? — A to szczególna historja; odpowiedział, jeżeli mi przyrzeczesz sekret to ci ją opowiem. Naturalnie obiecałem, i nieodkryłbym przed tobą tajemnicy, gdyby tak blisko ciebie się nietyczyła.

— Cha, cha, cha! czyżby Hrabia chciał mnie otruć?

— Gdzież tam! w tym względzie bądź spokojny. Ten człowiek któregoś widział; rzekł mi dalej mój kolega, jest to stary żalotnik, znany w całej Warszawie z tego powodu że na balach maskowych, w ogrodach i nawet na ulicy zawsze ma gotowy komplement dla każdej młodej dziewczyny. Jest to Hrabia Olborski. Przyszedłszy tu do mnie, otworzył drzwi ostrożnie, zamknął je jeszcze ostrożniej, obejrzał się na wszystkie strony i rzekł w pół-głosa — czy mogę z WPanem pomówić na osobności? Aptekarz wprowadził go do osóbnego pokoju.

— Czy WPan możesz mi dać słowo poczciwości i honoru że na to o co go spytam odpowiesz mi sumiennie i wedle znajomości swej professii?

— To mój obowiązek.

— Hojnie to WPanu wynagrodzę.

— Niewymagam tego.

Potem wyjął z kieszeni flakonik z jakimś płynem i rzekł— zobacz no WPan co to jest i powiedz mi.

Rozpatrzywszy dobrze i sprobowawszy częściami za pomocą kilku chemicznych czynników aptekarz zachwiał gło-

wą i oddając mu flakonik, rzekł — jest to wino francuzkie zaprawione trucizną w słabej jednak dozie.

— Jakie mogło by być działanie tego płynu?

— Powolne i stopniowe. Ani zabiło by od razu człowieka ani nawet zmieniło by znacznie stan jego zdrowia. Z czasem jednak może doprowadzić do zupełnej głupoty i wzroku pozbawić.

— Czy potrafisz mi Pan wskazać środki zniweczenia tych skutków które mogły już nastąpić od wypicia połowy szklanki wina, tym sposobem zaprawionego, czy potrzeba mi się udać do Doktora?

— Mogę bardzo łatwo, tylko potrzeba mi wiedzieć jak dawno wino zostało wypite?

— Wczoraj wieczorem.

Aptekarz dał mu lekarstwo.

— Dziękuję WPanu — rzekł Hrabia; proszę rozmowę naszą zachować w sekrecie. To powiedziawszy, zmusił go prawie do przyjęcia znacznej kwoty i wyszedł.

— Mój przyjaciel, opowiadając mi tę historją domyślał się że Hrabia musiał pewnie obrazić jedną ze swych kochanek i ta przez zemstę postanowiła go otruć albo doprowadzić do głupoty. Domysł jego zdawał mi się wtedy trafnym, bo niewiedziałem o tem że Hrabina w tobie zakochana. Teraz, prawie niewątpię że trucizna podaną została Hrabiemu przez jego żonę.

— Bój się Boga, co ty wymyślasz? zawołał Ludwik z oburzeniem, Hrabina nie jest zdolną pokusić się na taką zbrodnią; ty jej nie znasz. . . . .

*

— Może ją znam lepiej od ciebie.

— Nigdy temu nieuwierzę.

— Jak ci się podoba. Z tego jednak com ci powiedział możesz się przekonać kochany Ludwiku, że Hrabia dociekłszy co z nim chciano zrobić, zapewne utrzymuje tylko w błędzie tę osobę która posiągnęła na jego życie lub rozum, i wcale nie jest takim idiotem jakim się być wydaje.

— Z serca mu tego życzę.

— Słuchaj-że dalej. W kilka dni po tym wypadku poszedłem odwiedzić Bielański lasek. Chodząc po nim usłyszałem w gęstwinie częste wystrzały i mimowolnie skierowałem się w tamtą stronę. Wyobraź sobie moje zadziwienie kiedym spostrzegł znów mojego oryginała Hrabiego zajętego strzelaniem z pistoletów do celu. Służący przypinał mu krążki papierowe do drzewa i nabijał broń, a on wesoło z nim żartując, każdą kulę jakby o zakład posyłał w sam środek krążka. Niemogłem wtedy pojąć coby znaczyła ta exercycja — teraz sądzę że się sam łatwo domyślisz dla czego się ćwiczy w strzelaniu.

Ludwik otworzył oczy zdziwione.

— Gotów jestem mu służyć — rzekł z jakimś smutnym uśmiechem.

— A teraz — dodał Stanisław, biorąc go z braterską czułością za rękę; mam do ciebie jedną prośbę, czy dopełnisz mego życzenia?

— Mów.

— Przyrzecz mi że jeżeli będziesz wyzwany przez Hrabiego, albo jeśli Panna Kostyńska będzie w jakim niebez-

pieczeństwie, co łatwo może się zdarzyć, albo wreszcie jeżeli odkryjesz zamach na twoje życie, to natychmiast o tém mnie uwiadomisz i pozwolisz mi ofiarować tobie lub Pannie Kostyńskiej moją pomoc.

— Najchętniej!

Ta rozmowa ze Stanisławem wielkie uczyniła wrażenie na jego przyjaciela. Znał Łaszcza jako młodzieńca prawego i oddanego mu zupełnie; zważywszy więc co od niego usłyszał, powziął przekonanie, że Hrabina w samej rzeczy mogła się pokusić na życie męża; zaczął ją podejrzewać że może dawniej dopuściła się jakiej zbrodni, której szlachetny Łaszcz bez wyraźnej potrzeby niechciał tylko przed nim wykryć. To przekonanie znacznie oziębiło i bez tego rozprzęgający się już związek jego z Ewą.

Zaraz nazajutrz Hrabina, bacznie wpatrując się Ludwikowi w oczy, jęła go wypytywać o szczegóły dotyczące Stanisława, ale z taką pożądliwością dowiedzenia się prawdy, że Rawicz całkowicie uwierzył temu co o niej słyszał: Niewiele wiedząc o przeszłości Laszcza i niechcąc wydawać sekretu wczorajszej z nim rozmowy. Ludwik zbył natrętną jej ciekawość dość sucho, Hrabina wpadła w gniew; zrobiła się gwałtowna między niemi scena, która skończyła się na tem że Ludwik niepożegnawszy ją wyszedł.

Ewa oddając się na przemiany popędom gniewu, rozpaczy i żałości, pod wieczor nie mogła dłużej przemódz na sobie okropnej myśli że Rawicz może ją porzucić i pragnąc uległością zaskarbić sobie jego przebaczenie, sama pojechała do jego mieszkania. Był to krok który namiętność tylko

może podszepnąć kobiecie i zgubił ją całkowicie. Ludwik właśnie siedział między stryjem i stryjenką i setny raz od powrotu do kraju opowiadał im swoje przygody w Hiszpanii, kiedy mu dano znać o wizycie Hrabiny. Spłonął biedny od wstydu, zająknął się, i sam niewiedział jak postąpić; — wreszcie zdobył się na postanowienie i wymówił się od jej przyjęcia. Okoliczność ta jednakże została podchwycona przez stryja który od dawna miał w podejrzeniu jego znajomość z młodą Hrabiną. Zaczął go badać i Ludwik co nigdy w życiu przed zacnym swoim dobrodziejem nie skłamał, i tą razą wyznał mu szczerą prawdę. Długa ztąd wywiązała się rozmowa, niemało usłyszał łagodnych wyrzutów od starego Rawicza, wszakże nakoniec starzy przebaczyli mu nieprzyzwoity romans z zamężną kobietą i pierwszy brak otwartości, a Ludwik solennie przyrzekł im całkowicie zerwać stosunki z Hrabiną.

Podczas kiedy tym sposobem Ludwik oswobadzał się od namiętnego szału i coraz więcej przywięzywał się do dawnej swojej uczennicy, kiedy Helena w ustalającej się jego miłości znajdowała zródło zachwytu i szczęścia, a Ewa miotała się w boleściach rospaczy — Notkiewicz, usunięty zupełnie z towarzystwa Kapitanowej, straciwszy nadzieję pozyskania ręki jej córki, wyrabiał w sobie żołć bezsilnej zemsty i pocieszał się sukcessem spekulacii żydowskiej. Ogromne mnóstwo fałszywej monety było złożone w jego mieszkaniu. Żydzi, właściciele tego produktu, pozjeżdżali się do Warszawy, brali fałszywe złoto od Doktora i z właściwą sobie zręcznością puszczali w obieg, to w drobnym szachraj-

skim handelku, to przy rozpłacie w niewielkich liwerunkach oddając szlachcie za zboże, to wreszcie zakupując konie zdemontowane dalekim marszem, które francuzi zbywali chętnie, wiedząc że po drodze wezmą sobie pod pociągi konie obywatelskie, nie zapłaciwszy za nie ani grosza. Każdy dzień w skutek zawartej z żydami umowy przynosił Notkiewiczowi średnio jakich 30 do 50 czerwonych złotych czystej monety, bez żadnego narażenia się, gdyż przed zaczęciem tej finansowej operacii wziął od nich kwit porządny, w ogólnych wprawdzie wyrazach napisany, lecz w którym jasno było powiedziano, że przybywszy do stolicy, powierzają mu do schowania kufer z summą pieniężną w złocie francuzkim. Zabezpieczywszy się ze wszech względów Doktor, co wieczór, zamykał się w swoim gabinecie, przeliczał lecące do jego kieszeni jakby z rogu obfitości pieniądze, zwijał je w paczki, pieczętował, rachował procenta które miały mu przynieść, budował plany na przyszłość, słowem zatapiał się w roskosznych marzeniach nad potęgą złota. Kuba, uskromiony tajemniczym wpływem Hrabiny, niepokazywał się wcale, co tak uspokoiło Notkiewicza że o nim prawie zupełnie zapomniał. Stan jego dalekim był od szczęścia, ale miał swoje przyjemności. Podobny był do człowieka leżącego w gorączce który zachowuje dosyć przytomności umysłu ażeby czuć fizyczną boleść choroby, lecz w tym samym czasie w rozognionej, zwichniętej wyobraźni napawa się nieraz uczuciem jakiejś fantastycznej exystencii, pełnej dziwnej ruchliwości, oczarowania, marzeń i wdzięku; — exystencii w której człowiek duszą w mgnieniu oka

przelatuje niezmierne przestrzenie, tworzy lub niweczy w jednej chwili to, dla czego w świecie realnym potrzeba by wieków, widzi przed sobą istoty dla zdrowego rozumu niepojęte i doświadcza uczuć nieznanych naturze ludzkiej. Notkiewicz w nocnych marzeniach swoich nad złotem, znajdował niewypowiedzianą roskosz.

List odebrany od Hrabiny tego wieczora, kiedy się rozrąciły ostatnie jej nadzieje i zalecający mu ażeby się natychmiast stawił do jej mieszkania, wyrwał go z extatycznego zamyślenia. Notkiewicz przestraszył się okropnie, wnosząc nie bez przyczyny, że musiało się zdarzyć cóś bardzo ważnego, kiedy Ewa co dotąd nigdy żadnego kroku nieczyniła z pośpiechem, wzywa go tak skwapliwie. Wiedział wprawdzie że między niemi jest jakieś wspólnictwo a zatem i zobopólna pomoc, lecz pojmował też, że Hrabina przez swoje związki prędzej może się ze wszystkiego wywikłać. Wreszcie wspólnictwo to mogło być dowiedzione w jednym tylko zamiarze otrucia Hrabiego, a spełnione w Kutnie morderstwo i podział pieniędzy ze zbójcą, jego samego tylko się tyczyły.

W takim usposobieniu ducha, cały przelękniony i drżący przybył do Hrabiny. W jej gabinecie firanki były starannie zapuszczone, jedna tylko lampa pod alabastrowym daszkiem rzucała mdłe światło, kapelusz ze strusim piórem walający się pod stolikiem, rękawiczki zmięte i rzucone w różne strony, nakoniec sama postać Ewy przechadzającej się w milczeniu wielkiemi krokami, wszystko to zdradzało w jej duszy niezwykłą burzę. Doktor struchlał, mróz przeleciał

mu po skórze, niebyło w nim nerwu który by niezadrżał okropną wibracją strachu. Ach! Pani, zawołał — nieczekając póki do niego przemówi — widzę że zginęliśmy!

Ewa zatrzymała się na środku pokoju, zmierzyła go od stóp do głów z głęboką pogardą, oczy jej zaiskrzyły się od gniewu i jakby do siebie samej mówiąc, rzekła z dziwnym uśmiechem — cha, cha, cha! zginęliśmy! i on wyobraża sobie że może cóś stracić!

— Co pani mówisz? podchwycił Doktor.

— Nic niemówię — tylko mi się zdaje zabawnym twój strach konsyljarzu.

— Aj! cóż w tym zabawnego — każdemu życie i honor miłe!

— Tak — w samej rzeczy — sprawiedliwie pan się lękasz o to życie i o ten honor, chociaż one u lepszych od pana niewiele warte. Ale mniejsza o to — słuchaj konsyljarzu. Od tej chwili stanowczo przechodzę na twoją stronę. Helena musi być twoją żoną. Umów się z dawnym swoim znajomym Kubą — ten ci ją odda w ręce. Teraz w Warszawie większe bezprawia uchodzą — i to przejdzie, a jeżeliby ci jakie niebezpieczeństwo groziło, pojedziesz za granicę. Czy zgadzasz się.

Notkiewicz domyślił się powodu tej niespodzianej protekcii, ochłonął ze strachu i zmieniwszy zupełnie postawę rzekł już z pewną śmiałością — naturalnie że się zgadzam!

— Czy znasz Stanisława Łaszcza w twarz? — spytała dalej Hrabina.

— Znam.

— On mieszka u ojca. Umów się z Kubą żeby go wyprawił tam gdzie jego dziad i pradziad teraz się znajdują. Rozumiesz? — i to niezwłocznie.

— O, rozumiem! — tylko pozwolisz mi pani wydać Kubie obydwa rozkazy nie od mego własnego imienia.

— Rób co chcesz i jak chcesz, byleby tak się stało. Powiedz swemu znajomemu że go zarzucę pieniędzmi jeżeli prędko i dobrze się sprawi. Spiesz się — wracaj do domu, Kuba jeszcze dziś będzie u ciebie.

Doktor pożegnał ją i chciał wyjść. Ewa roztargniona niesłuchała co do niej mówił, zastanawiając się nad czemś z widocznym naprężeniem umysłu. Nareszcie kiedy już brał za klamkę od drzwi, zawołała z pośpiechem — zaczekaj konsyljarzu!

Notkiewicz się zatrzymał we drzwiach.

— Jeszcze jedno polecenie. . . . nad nim także potrzeba mi się zemścić — o, nikczemny! — powiedz Kubie. . . . albo nie, niebędę się kwapić — jeszcze jest czas, namyślę się.

Doktor wyszedł z pośpiechem.

Powróciwszy do domu zastał Kubę siedzącego w jego przedpokoju i pogrążonego w słodkim śnie. Otoż to pomyślał sobie — powiadają że tylko niewinne dzieci i ludzie spokojnego sumienia mogą spać spokojnie! Chciałbym żeby który moralista spójrzał na tego łotra jak on smaczno chrapi! i ja także śpię, choć niezawsze dobrze, Hrabina śpi i wcale ładnie wygląda, i owce i wilki śpią kiedy im głód albo zimno niedokucza, wszystko co ma ciało i krew śpi! A ludzie o tym spaniu szeroko i głęboko rozprawiają jak-

by było o czém? — No, Kubo! zawołał wstrząsając go silnie; — chodź-no zemną.

Kuba przetarł oczy i jeszcze zaspany krzyknął — żebyś zdechł psie! — a poznawszy Doktora dodał, — przepraszam Jegomości, tylko com widział Mistrza szerokiego pola.

— Co ty bredzisz? — rzekł Notkiewicz, ciągnąc go za sobą do pokoju.

— At, bredzisz! Chciałbym żebyś miał taki sen jak ja dopiero. Prawda że się dobrze zaczął, — niema co mówić! tylko szkoda że się bardzo brzydko skończył.

— Cóż to takim ospałym zrobiłeś się?

— Ej! bo widzisz Jegomość, wczoraj był nasz bal, całą noc hulałem.

— Jaki bal?

— A jużci nasz! Cały tydzień pracujemy, to przecie jedną noc trzeba nam się zabawić.

— Cha, cha, cha! pracujecie!

— Rozumie się! — jeden żebrze, drugi kradnie, trzeci rozbija, każdy się stara jak może, a w Sobotę szabas.

— Gdzież ten szabas odprawiacie?

— W naszym domu.

— To wy macie swój dom?

— Rozumie się! nasz własny dom na Solcu. Z nas wszystkich mieszka w nim tylko jeden niby weteran z żoną, a reszta cały tydzień kryje się w piwnicy. — Przeklęty sen! ciągle mi się jeszcze marzy po głowie!

— Cóż ci się tam przyśniło?

— At, widzisz, z początku byłem niby wielkim panem,

siedziałem sobie przy stole z towarzyszami, kapela grała nam same obertasy, jedliśmy i piliśmy i hulaliśmy aż miło było na duszy, ale potem butelka jakiegoś widać djabelskiego wina nawinęła mi się pod rękę — nalałem sobie szklanicę, aż tu zamiast wina, brzydka, gęsta krew! — chciałem rzucić szklanicę, ale zanic niemogłem, bo mnie ktoś ręką trzymał za ramie. To by jeszcze nic, — może bym się był wyrwał, tylko nieśmiałem od strachu, bo ręka była zimna jak lód, i skóra na niej taka żółta jak na nieboszczyku. Kto tam? krzyknąłem nakoniec i obejrzałem się z bojaźnią. Wystaw sobie Jegomość, poznałem tego samego szlachcica, wiesz? co to w Kutnie....

Notkiewicz się wzdrygnął.

— A! to i tobie mrówki po skórze chodzą, zawołał Kuba — niedziw-że się że niemogę snu zapomnieć. Otóż zląkłem się bardzo. A szlachcic mi powiada — moją krew masz w szklanicy Kubo, spróbuj czy smaczna i chodź zemną, bo niemogę spokojnie leżeć w grobie i patrzeć jak moje dzieci chodzą z torbą a ty hulasz; — muszę cię zgładzić ze świata. To powiedziawszy zawołał kogoś i jak raz stanął przedemną ten sam Mistrz szerokiego pola, w czerwonym płaszczu co tu w Warszawie, swoim ostrym mieczem, głowy jak makówki zmiata. Wziął mnie za włosy i zaczął probować swoim narzędziem czy skóra na szyj twarda. Brr! jeszcze czuję zimno od żelaza — daj mi prędzej gorzałki! — tylko wara! bez figlów!

Notkiewicz postawił mu całą butelkę. Kuba wypił parę szklanek, zatarł ręce, gwizdał jakieś piosenki z wczorajszego

balu i nareszcie odzyskawszy zwyczajny swój humor zawołał — no! teraz pogadamy o interesie.

Doktor po cichu długo z nim szeptał, ostrożnie poddawał mu różne projekta, tak jednak iż Kuba zawsze był pewny że sam do nich doszedł własnym rozumem i niezmiernie z tego był zadowolony. Rozprawiali, naradzali się, naresztę ułożyli wszystko stanowczo i Notkiewicz chciał go już wyprawić do domu, kiedy Kuba nagle krzyknął z oburzeniem — ach, ty psie podły! a zadatek? — dawnom już niebył u ciebie, toś zhardział i myślisz że mnie jedną wódką zbędziesz. Ta pani, co mnie z więzienia wypuściła zapłaci mi dobrze, chociaż dla niej i darmo bym się podjął tej roboty, — ale to swoją drogą, a ty dawaj pieniądze! Z tobą osobny rachunek. Wczoraj zgrałem się — dawaj prędzej!

Notkiewicz zaprotestował, i powtórzył jeszcze raz że Hrabina pieniędzmi go zasypie jeżeli się tylko dobrze sprawi.

Kuba stał na miejscu i milczał i gdyby nie oczy co mu coraz więcej błyszczały i pięście które ściskał niecierpliwie, można było by sądzić że albo nie słyszał albo nierozumiał tego co Doktor do niego mówił. Wszakże to samo milczenie więcej podziałało na Notkiewicza niż wszelkie krasomóstwo. Doktor wiedział że z gwałtownym Kubą, rozgrzanym trunkiem, niema co żartować i dla tego udawszy że się rozmyślił, rzekł z wymuszonym uśmiechem — Podobno zdaje ci się że cię oszukam. . . .

— A zdaje mi się, przerwał Kubo, boś mnie już dwa razy oszukał. Raz wyłudziłeś u mnie mój krwawy zarobek,

a drugi raz chciałeś mnie jak psa otruć. Wiadoma u Jegomości natura.

Notkiewicz zaczerwienił się od gniewu — Mniejsza o to rzekł — kiedy chcesz koniecznie, to ci dam zadatek, a sam porachuję się z Hrabiną. Zaczekaj tu, zaraz ci wyniosę — i poszedł do gabinetu.

Kuba roześmiawszy się rubasznie, poszedł za nim. Doktor zatrzymał się we drzwiach niby przegradzając mu wejście, lecz napastnik niezwróciwszy na to żadnej uwagi, popchnął go silnie, odtrącił w stronę i wszedłszy do gabinetu — słuchaj no! — dziś mnie niezaczepiaj, bo jestem tak zły żebym cię gotów jak muchę tu zabić na miejscu. Niech mnie sto tysięcy.... czy to po tym śnie brzydkim djabeł we mnie wlazł, czy co takiego, ale wszystko we mnie się gotuje, — bądź-że ostróżny i nie gniewaj mnie. Pokaż gdzie twoje pieniądze, ja sam wezmę i pewnie sumienniej się z tobą podzielę niż ty kiedyś zemną w Kutnie. Ja ci tego niezapomnę!

Notkiewicz zbladł jak gdyby mu wyrok śmierci przeczytano. Pokazać Kubie szkatułę znaczyło dać się ograbić, zrujnować, zniszczyć z kretesem. W głowie mu się zakręciło od natłoku myśli coraz straszniejszych w miarę jak nalatywały, w uszach mu szumiało i kołatało jak gdyby słyszał wrzawę otwartego piekła, — szukał umyślnie kluczy żeby wygrać chwilę rozwagi i wymyślić środek ratunku. W tej fatalnej katastrofie przypomniał sobie że w biórku jego znajduje się przygotowany dla żydów worek fałszywej francuzkiej monety. Porwał za klucz, jak tonący za brzytwę, i

otwierając szufladę rzekł z udaną rospaczą — na, bierz, ostatnie moje pieniądze! doprowadź mnie do nędzy, już i tak prawie wszystko straciłem, bo wszystkie moje obroty temi pieniędzmi z Kutna, niepowiodły mi się.

— Ha, ha, ha! zawołał Kuba odwiązawszy worek — złotko! złotko! — co tam Jegomość pleciesz o nędzy! toć to kilka lat można porządnie przeżyć a kilka miesięcy porządnie pohulać, nawet nam obójgu! — no, niechaj Jegomość powie wiele chcesz żebym ci zostawił?

— Rób sobie co ci się podoba! zniszcz mnie! puść mnie z torbą! — tylko pamiętaj że już między nami kwita, grosza więcej odemnie niedostaniesz bo więcej niemam.

— At, Jegomość się gniewasz, a ja teraz jestem wesoły. Miałem zamiar oddać ci połowę, ale takiś się zrobił opryskliwy żydzisko, że mnie djabeł kusi zabrać wszystko. Chyba że mnie bardzo będziesz prosił, to ci połowę oddam.

— Idź sobie na złamanie karku! zabierz wszystko albo zostaw wszystko, tylko odejdź z moich oczu.

— A, czy tak mocno mnie nienawidzisz? — patrzaj! a ja ciebie teraz bardzo kocham. No, to widać wypada mi wszystko zabrać.

Notkiewicz, coraz więcej udając zrospaczonego, schwycił się oburącz za głowę i tak naturalnie udawał swoję rolę że Kuba zachwiał się w postanowieniu, zbliżył się do łóżka Doktorskiego i połowę worka wysypał mu pod poduszkę— Żal mi ciebie rzekł — możebyś miał jaki straszny sen dziś w nocy, więc ci połowę zostawiam. Czy Jegomość kontent z tego?

— Dziękuję ci Kubusiu za twoje dobre serce, odpowiedział Doktor — tylko przynajmniej, zrób wprzód coś obiecał, a potem dopiero hulaj za te pieniądze.

—. O robocie niezapomnę — zawołał Kuba i wyszedł.

XVIII.

Każda wojna sprawia pewne rozprzężenie porządku cywilnego w prowincyach zajętych wojskami, osobliwie jeżeli naród przyjmuje żywy udział w celu kroków nieprzyjacielskich, jeżeli wypadek wojny ma rozstrzygnąć jaką ważną kwestją politycznego bytu państwa. Łatwo sobie wyobrazić co się działo w Warszawie. Pułki wojsk sprzymierzonych zdawały się zapominać że Xięztwo czyniło niepospolite wysiłki dla sprawy Napoleona, żołdactwo w przechodzie przez stolicę, obchodziło się z mieszkańcami jak z prowincją zawojowaną, różnica języków usuwając wszelkie porozumienie się czyniła każdą krzywdę tem dotkliwszą, że była spełniona jawnym gwałtem, przemocą i brutalstwem. Oficerowie wojsk cudzoziemskich i nawet wyższe ich władze wojskowe, nietylko patrzyli obojętnie na zuchwalstwo swoich podwładnych, lecz i sami dopuszczali się rabunku i innych nadużyć. Gmin miejski niemający nic do stracenia rozpasał się niesłychanie; zagnieździło się mnóstwo łotrów, rzezimieszków i opryszków, w ciasnych i ciemnych uliczkach niebezpiecznie było pokazać się nocną porą a jeżeli prze-

chodzień był uzbrojony i przez to w części przynajmniej zabezpieczony od napadu, to łotr szpiegujący go z ukrycia' mocnym gwizdnieniem dawał hasło czatującym w oknach wyższych piętr domów, i ci z wierzchu zręcznie zarzucali stryczek na szyję przechodnia, wciągali go do góry i tam obrawszy do nitki, potém trupa zrzucali na ulicę. Niemało zdarzało się pożarów od umyślnego podpalania, dla tego tylko żeby wśród zamieszania mieć zupełną swobodę do kradzieży. Słowem bezprawia szerzyły się bez miary, władza municypalna niemiała dość siły ażeby je powstrzymać, a Kommendant miasta, Jenerał Gros-Boeuf zbyt był zajęty utrzymaniem w wojsku jakiejkolwiek karności żeby jeszcze na nieład miejski miał zwracać uwagę.

Noc była ciemna. Jeden z oddziałów francuzkiej kawalerii zebrał się na Saskim placu dla niezwłocznego wyruszenia z miasta. Oficerowie wpół zaspani, żołnierstwo podchmielone;—wszyscy sarkali na Dowódzcę co tak późną porę wybrał do pochodu, choć zresztą każdy dobrze wiedział że ten nocny marsz miał na celu zachowanie koni od upału dziennego. Nareszcie przybył sam Dowodzca, stary jakobin z ogromnemi wąsami, obejrzał oddział ile ciemność pozwalała, naburczał i naprzeklinał, i kazawszy zajechać trójkami poprowadził oddział przez puste i milczące ulice. Przebrawszy się za Żelazną Bramę, spostrzegł dom objęty pożarem, i niemyśląc bynajmniej o tych którzy ujęci snem niewiedzieli w jakim niebezpieczeństwie się znajdują, ucieszył się że przy świetle łuny łatwiej mu będzie z oddziałem maszerować. Skomenderowawszy kłusem! odezwał się

do kolegi: Diable! le sort favorise toujours la grande armée! — otóż i latarnią nam zapalili. Żołnierze podchwyciwszy ten koncept Naczelnika powtarzali go z rubasznym śmiechem. Tylko jakiś młody oficer zbliżywszy się do dowódzcy, rzekł wesoło — *Commendant!* trzeba by nam przynajmniej się wywdzięczyć tym chudakom, co się tam pieką jak kasztany żeby nam drogę sławy oświecić.

— Cóż chcesz żebym zrobił? — mruknął dowódzca, *le sort est inévitable!* widać że skury ich były przeznaczone na spalenie.

— Czy nieposłać jednego z jeźdźców obudzić choć jedną duszę w domu? — potém nas dogoni.

Dowodzca się namyślał, kłusujący oddział tętnił kopytami po bruku, żołnierze śpiewali na całe gardło sprośne piosenki, hałas i wrzawa rozlegały się, a przecie nikogo nie było na ulicy, ani nikt z okna niewyjrzał, tak wszyscy do podobnych wypadków byli przyzwyczajeni. Dowodzca rzekł:

— Zsiąść z konia a potém doganiać oddział, niepozwalam, szkoda męczyć konia. Wszakże bądź spokojny, już ja tych ospalców obudzę — zobaczysz. Właśnie dojeżdżał oddział do miejsca pożaru, dowodzca zatrzymał go i z wielkim zadziwieniem kolegi kazał wszystkim trębaczom razem zatrąbić marsz Marlboruga! Samotne echa pustej ulicy powtórzyły tę szatańską muzykę, a jednak żadne okno w domu objętym płomieniami nieotwarło się. Francuzi zabawiali się, Dowodzca się niecierpliwił i wspiąwszy się na strzemionach krzyczał z całego gardła — *Eh! dites donc! Vous autres, barbares! marauds! chiens! gare à la peau!* Wreszcie,

widząc że się nikt niepokazuje wyjął już pistolet z olstry i chciał w jedno okno wypalić, kiedy okno się otworzyło i z niego wychyliła się łysa głowa. Francuz uważając że do syć zrobił skoro obudził jednego człowieka w domu, krzyknął mu piorunującym głosem — *descend péquin!* — *ta maison brule!* obojętnie włożył broń na miejsce, kazał trębaczom przestać trąbić i wyruszył z oddziałem w dalszą drogę.

Na szczęście ta łysa głowa co najpierwsza dała znak życia była własnością człowieka który służąc kiedyś przy wojskowych za granicą, miał zręczność obeznać się cokolwiek z francuzczyzną. Słowo *brule* tak dobrze zrozumiał że natychmiast krzyknął — Aj, Jmość, pono gore! — Był to stary Łukasz a w domu co gorzał mieszkała Kapitanowa Kostyńska. Matka i córka słyszały wrzawę na ulicy i choć to było rzeczą dość pospolitą jednakże kazały służącemu wyjrzeć przez okno. Dowiedziawszy się o nieszczęściu narzuciły czem prędzej odzienie, zabrały droższe rzeczy, i z widocznym już niebezpieczeństwem, wśród gęstego dymu, trzymając się za ręce zbiegły ze schodów. Dom był mały, mieszkańców w nim niewiele, wszyscy ocalili się z płomieni, wszakże przy wynoszeniu ruchomości zjawiło się już tylu obcych ludzi, że trudno było poznać kto ratuje, a kto kradnie. Zrobiła się wrzawa straszna, sąsiedzi z ostrożności wynosili się także, ulica się napełniła tłumem, jeden drugiego popychał, wszyscy radzili a pomocy było niewiele. W tym zgiełku pani Kostyńska objąwszy Helenę usiłowała co prędzej wydobyć się na miejsce swobodne. Z tyłu za nią prze-

dzierały się ostróżnie dwie osoby dobrze nam znajome — Notkiewicz i Kuba.

— Czy widzisz je? szepnął Doktor do ucha swemu towarzyszowi.

— Widzę — odpowiedział Kuba, tylko żeby matki przez pomyłkę niewziąć za córkę.

— Córka z prawéj strony — zresztą chwytaj tę którą ja obejmę. Ale nieśpiesz się.

— No, no, dobrze.

— A czy drudzy są przy tobie!

— Są wszyscy trzej.

— Trzymajcież się w kupie, ja zaczynam.

— Zaczynaj.

Notkiewicz przedarł się aż do Heleny i rzekł z wielkim udziałem — ach! jakie nieszczęście! — jadąc do chorego zobaczyłem pożar, pozwólcie panie ofiarować im moją pomoc. Mieszkanie moje niezbyt daleko....

— Dziękuję Panu, odpowiedziała Kapitanowa — propozycii pańskiej przyjąć niemogę, wszakże będę mu wdzięczna jeżeli nam pomożesz dojść do pierwszego hotelu — potém pomyślimy co dalej począć.

— Najchętniej, rzekł Notkiewicz — jednak ciżba tak jest wielka że lękam się Panie z oczu stracić. Nieustannie mnie popychają! To mówiąc wziął Helenę naprzód pod ramie, a potem ją objął. Dziewczyna z przestrachu niebroniła się wcale.

W tem pomocnicy Kuby, idący z tyłu, nagle, jakby popchnięci przez tłum, rzucili się na Kapitanowę i obaliwszy

ją na ziemię, sami z krzykiem i przekleństwem na nią upadli a Kuba tym czasem w mgnieniu oka nalepił plaster na twarz Heleny. Pochwyciwszy ją na barki, spiesznie przedarł się przez tłum, dobiegł do stojącej w umówionem miejscu bryki krytej, złożył w niej Helenę, przemienił swoje odzienie, i kazał jechać wczwał, a sam wrócił na pożar.

Pani Kostyńska oswobodziwszy się nareszcie przy pomocy Doktora od tych którzy na nią upadli i obaczywszy że Heleny niema przy niej, krzyknęła strwożona — Panie Notkiewicz! gdzie moja córka?

— Tylko co tu była, odpowiedział Doktor, wyśliznęła mi się z pod ramienia, myślałem że razem z panią upadła. Bądź pani spokojna, wszakci niemogła przepaść — musi tu być blizko nas w ciżbie.

— Heleno! Heleno!—wołała matka, rożdzierającym głosem. Nikt się nieodzywał. Biedna matka, Łukasz, służące i Notkiewicz gorliwie zaczęli szukać straconej, lecz ani śladu jej niemożna było znaleść.

Tymczasem Kuba uwijając się między tłumem wyszukał nareszcie jakąś pleczystą figurę co go także wypatrywała i spytał — a co?

— Cóż? odpowiedział zapytany, wszystko idzie dobrze. Pod samemi oknami Woźnego krzyknąłem, gore! Ojciec z synem razem wychylili głowy i dowiedziawszy się że pożar za Żelazną Bramą przybiegli tu na ratunek. Widzisz ich tam na lewo, stoją i żałują że się spóźnili.

Kuba szepnąwszy towarzyszowi cóś do ucha zbliżył się z nim do Łaszczów i zawiązawszy z nimi rozmowę, po-

wiedział im że kobiety co pogorzały znajdują się o kilka kroków. Łaszczowie natychmiast zwrócili się w tamtą stronę lecz zaledwie ruszyli z miejsca, pleczysty łotr przypadłszy z tyłu tak silnie uderzył z góry w kapelusz starego Łaszcza, że mu go wbił aż do podbródka, a Kuba w tej samej chwili długim nożem uderzył Stanisława pod lewą łopatkę.

Z wielkim jego zadziwieniem nóż się złamał, jak gdyby trafił na kamień a nie w ciało żywego człowieka. Stanisław się odwrócił, porwał go za ramie i chciał zatrzymać, lecz Kuba jak piskorz wyśliznął mu się z rąk i obydwa złoczyńcy w mgnieniu oka zniknęli w tłumie. Młody Łaszcz niewiedząc co się stało z ojcem, który ogłuszony gwałtownym uderzeniem upadł był na ziemię, nie ścigał łotrów. Podniósł Woźnego, opatrzył go troskliwie i przekonawszy się że mu się nic złego nie słało, zawołał — no, dzięki Bogu! że Jegomość Dobrodziej zostałeś bez szwanku. Ze wszystkiego pokazuje się że oni na mnie tylko mieli chrapkę. Pono tu w Warszawie trzeba być tak samo ostrożnym jak w Hiszpanii. Moje szczęście żem przez prawdziwe natchnienie mego Anioła stróża oparł się Matce i niezdjął dotąd z siebie mojej kolczugi co mnie kilka razy obroniła od hiszpańskich sztyletów.

— Albo co oni chcieli z tobą zrobić? zapytał ojciec.

— A nic więcej tylko mnie zakłuć jak prosię wrzecionem. Dobrze nawet mierzył bo jak raz pod samą łopatkę, i puginał czy nóż musiał być ostry, bo przez stalową nawet plecionkę pono mnie zadrasnął.

— O łotry! niech im Bóg tego na strasznym sądzie nie-

pamięta! — dla kilku talarów któreby przy tobie byli znaleźli chcieli duszę ludzką zgładzić ze świata.

Stanisław zachwiał głową — i po chwili rzekł — Oj, cóś mi się zdaje że to zupełnie inna sprawa. Wiesz Jegomość Dobrodziej z kim był ten co mnie chciał zabić? — z tym samym łotrem co pod naszemi oknami krzyknął *gore!* i tutaj na pożar nas sprowadził. Borukając się ze zbójcą rozpatrzyłem obydwóch. To jakaś umowa. Jegomości widocznie nic złego zrobić niechcieli, ale mnie tutaj wyraźnie pod nóż wywołano.

— At, któby Waści aż tu na śmierć wyciągał — toć by cię mógł był na ulicy zabić?

— Oczewiście że mógł! tylkoć to nie on zbójca, ale ten drugi którego na ulicy niewidziałem. Zresztą nierozumiem tej matni, lecz jestem pewny że nie o moje pieniądze im chodziło. Złodzieje wiedzą że w oficerskich kieszeniach niema czego szukać.

— No, co się zrobiło to się już nieodrobi. Damy na mszą X. Proboszczowi że cię Bóg ochronił od zbójcy, a teraz idźmy szukać tej biednej Pani Kostyńskiej, i jeśli nie pogardzi naszą pomocą to ją razem z córką zabierzemy do naszego mieszkania.

— Chodźmy, — zawołał Stanisław.

Kiedy się to działo za Żelazną Bramą, bryka z Heleną szybko przelatywała ulice miasta, zwracała się umyślnie w różne strony żeby omylić pogoń jeśliby jaka była, i nareszcie zatrzymała się na Solcu przed wrotami drewnianego domu. Na sygnał podany od woźnicy wrota natychmiast

się otwarły, bryka wjechała na podwórze i wrota znów zamknięto. Niebawem dwoje ludzi porwało Helenę, w mgnieniu oka przenieśli ją do podziemnego lochu i tam dopiero położywszy na słomie zdjęli z twarzy plaster co jej dotąd krzyczeć i widzieć przeszkadzał. Panna Kostyńska zostawała w stanie zupełnego omdlenia, twarz jej była pokryta śmiertelną bladością, powieki miała zamknięte jakby snem sklejone, niewidać było na niej żadnego znaku życia.

W izbie tego podziemnego mieszkania zgrai łotrów których Kuba był hersztem, znajdowało się ledwie kilka osób, gdyż inni zostawali w mieście. Na środku palił się kaganiec zwieszony ze sklepienia na żelaznych łańcuchach. Kilku obecnych łotrów pili gorzałkę, śpiewali i pląsali na notę drumli na której jeden z nich wygrywał. Jedna stara baba krzątała się koło gospodarstwa.

— Ej, matko! Ej, Lucyperowa! zawołał jeden z tych co przynieśli Helenę — zobacz jeno tę panienkę czy jeszcze żywa czy już ze strachu umarła, bo chociaż w drodze wyciąłem jej w plastrze dziurkę żeby mogła oddychać, ale kto wie? może już było zapóźno.

Lucyperowa skoczyła jak pantera na swoją zdobycz, — Precz! wy psy, od tej dziewczyny, krzyknęła — jeżeli jeszcze nieumarła, to w waszych pazurach pewnie ducha wypuści, a wtedy ani szeląga niedostaniemy z tego co Kubie obiecano za robotę. Precz! już ja sama się z nią sprawię.

To powiedziawszy, schwyciła omdlałą w silne dłonie, przeniosła ją do drugiej izby i zatrzasnęła drzwi za sobą. Tam, z biegłością pokazującą pewne doświadczenie zajęła

się gorliwie przywołaoiem jej do przytomności. Odsznurowała gorsecik, zdjęła z szyj korale, sprysnęła ją zimną wodą, dawała wąchać ocet siedmiu złodziei, odcierała, szeptała nad nią jakieś tajemnicze słowa, póki Helena nieotworzyła oczu. Lecz odzyskawszy przytomność, biedna dziewczyna zemdlała na nowo, jak tylko rzuciła wzrok na tę obrzydliwość która ją otaczała. Lucyperowa niezrażając się bynajmniej zaczęła pracować na nowo i powtórnie wróciła nieszczęśliwej działalność zmysłów i rozwagę. Helena długo niemogła pojąć co się z nią stało? dopytywała się nieustannie o matkę, wzywała jej z rozpaczą, prosiła Lucyperowę o litość, przemawiała do niej najczulej, najtkliwiej, błagała na kolanach o wypuszczenie z lochu, a gdy to wszystko zostało bez skutku, złożyła ręce i gorąco pomodliwszy się do Matki Boskiej, padła w milczeniu na pęk słomy dla niej przygotowany. Odtąd pomimo wszelkich usiłowań wciągnąć ją w rozmowę, Lucyperowa słowa od niej niemogła się dowiedzieć. W krótce potem Helena znużona całą tą przygodą zasnęła jak gdyby w swoim własnym pokoju. Lucyperowa została przy niej na straży.

Nad rankiem wrócił Kuba, w złym humorze, rozdąsany i wściekły że mu się druga połowa wyprawy niepowiodła. Spójrzał na śpiącą Helenę z ukosa i zaczął się przechadzać po izbie z krótką fajką w zębach. Każdą razą kiedy koło niej przechodził przypatrywał jej się coraz baczniej, nareszcie jakby niemogąc się dłużej oprzeć ciekawości wziął świecę w rękę, siadł na ziemi obok samej Heleny i wypuściwszy z ust lulkę zaczął się jej przyglądać z największą

bacznością. Kilka razy tarł sobie czoło, pracował nad przypomnieniem sobie jakiejś okoliczności życia i niemógł tego dokazać. Zatopiwszy się w zadumaniu, błądził duszą po ścieżkach ubiegłego czasu i wszędzie znajdował coś takiego co go napełniało mimowolnie strachem. Kuba, który nigdy się niezastanawiał, teraz utkwiwszy wzrok w anielską twarz śpiącej Heleny coraz więcej grzązł w dumach, póki zdziwiona tém Lucyperowa silnie targnąwszy go za ramie nie spytała — co tobie Kubo?

— At, nic — tak, rzekł Kuba. Znałem tę panienkę, tego jestem pewny, tylko nie mogę sobie przypomnić gdzie i kiedy?

— To o tem tak się zamyśliłeś?

— I o tém i o drugiem. Wiesz babo, to dziwna rzecz! Kiedy patrzę na nią to tam w piersiach u mnie robi się tak ciepło jak gdybym gorzałki wypił, ale razem tak mi smutno że gotów bym płakać jak dziecko. Ot, powiadam ci prosto że mi się aż tęskno robi.

— Ej Kubo! tylko niezrób głupstwa, żebyś zapłaty nie stracił!

— Ach ty stara czarownico! — krzyknął Kuba z oburzeniem — wara od tych myśli jeżeli niechcesz żebym ci głowę roztrzaskał. Jej tu włos z głowy niespadnie, oddam ją temu z którym umówiłem się, choć prawdę powiedziawszy wolałbym ją wypuścić. Teraz żałuję żem się podjął tej roboty. Prosto żal mi żem ją wydarł matce.

— Kubo! Kubo! co ty pleciesz — zapomniałeś że drudzy mogą podsłuchać?

— Tak to prawda że te pieniądze do nas wszystkich

należą i że sam niemogę się rozporządzać wedle swoje woli. At, i niezrobię głupstwa! — zawołał odwracając się od Heleny — czy ja dzieciuch czy co takiego? wszak ty mnie znasz.

— Otóż ja zaraz i pomyślałam sobie że ty żartujesz.

Lecz zaledwie Kuba znów spójrzał na Helenę, usposobienie zatwardziałości którą usiłował obudzić w sobie, zgasło na nowo. Wzrok jego niemógł się oderwać od rysów śpiącej, jakiś tajemniczy prąd magnetyczny jakby bijący z jepogodnego czoła, kruszył serce bandyty, obudzał w nim uczucia dotąd nieznane — tęsknotę, żal, litość, trwogę czegoś nierozgadnionego w przyszłości; — słowem nad tą zdziczałą grubą naturą dopełniała się jedna z tych niepojętych przemian moralnych które rozum ludzki napróżno by się kusił wytłumaczyć, gdyż one są cudem — prawdziwym i wielkim cudem łaski Bożej.

— Matko! rzekł Kuba, w pół głosa — teraz mnie jakiś strach napada! Weź jeno karty i wróż co to znaczy?

Lucyperowa pobiegła do drugiej iżby i wziąwszy talją zasmolonych kart usiadła przy bandycie.

Kuba był dziwnie zmieniony.

— Żebym ciebie tak nielubiła jak rodzone dziecko, — odezwała się Lucyperowa, rozkładając karty, tobym cię wydała przed drugimi.

— A to wydaj sobie! — odpowiedział Kuba obojętnie.

— Ja bym cię miała zdradzić Kubusiu? — król, król, kralka, niźnik, tuz — ciebie zdradzić Kubusiu? Cha, cha, cha, czy to ja zapomniałam jakeś mnie od stryczka wybawił? —

mnie starą babę! — a dla czego? — dla tego żeś z kościami poczciwy chłopczysko! Otóż za to, niech mnie teraz w kawałki porąbią; a już ja ciebie niewydam i nieopuszczę do śmierci. Niżnik, wyżnik, król! Źle Kubusiu!

— A co takiego?

— Albo niewidzisz że twoja karta wszystko w parze chodzi z wyżnikiem? sto razy tobie ciągnęłam a nigdy tego niebyło! dopiero wczoraj kiedyś wychodził na robotę i teraz przyplątał się do ciebie ten czerwony.

— Cóż on znaczy? powiedz wyraźnie.

— Oj Kubusiu! to mistrz szerokiego pola!

— Głupiaś babo! rzekł Kuba zamyslony, i mimowolnie zmieszał się i zbladł.

— Poczekaj,—teraz wypytam się kart kto tego czerwonego na ciebie sprowadzi?

Kuba skinął tylko głową.

Lucyperowa zmieszała karty, rozłożyła na kupki, ciągle szepcąc pod nosem: brat, swat, przyjaciel, nieznajomy, żona, narzeczona, nieznajoma — i skończywszy rzekła—ona ciebie niezawodnie zgubi!

— Kto? — krzyknął Kuba.

— A ta panienka.

— Ach ty przeklęta czarownico! — wrzasnął rozjuszony bandyta i tak silnie uderzył ją pięścią że baba przewróciła się, prawie bez przytomności.

Helena zbudzona ze snu, otworzyła oczy zdumione, spójrzała na Kubę i bez żadnego przestrachu odezwała się —

śniło mi się że tu przyszedł jakiś człowiek żeby mnie ztąd wyprowadzić; — powiedz, czy to ty?

Te kilka słów zmieszały Kubę; głos ich był mu znajomy. Ja panienkę niewyprowadzę, rzekł nieśmiało, bom to ja wykradł ją dziś od matki i tu przywiózł na schowanie.

— Dla czegożeś to uczynił człowiecze? cóżem ci winna?

— A nic mi panienka niewinna, tylko mi jedna Hrabina przez tego Notkiewicza obiecała za to dużo pieniędzy.

— Hrabina, to pewnie moja siostra! — mój Boże! Kto by się tego spodziewał! — Dziękuję ci człecze żeś mi przynajmniej powiedział kto mnie chce życia pozbawić.

Kuba wstrząsł się cały. Nie panienko — zawołał, takiej umowy między nami niebyło; — ja na to niepozwolę! Miałem panienkę wydać Notkiewiczowi i wydam, ale jeżeli odważy się palcem na nią kiwnąć, to mu łeb jak psu roztrzaskam.

Helena zaczęła mu się baczniej przyglądać.

— Ja ciebie gdzieś widziałam, — rzekła.

— A i ja panienkę kiedyś widziałem — odpowiedział Kuba tylko niepamiętam kiedy?

— Gdzie-żeś był przed przybyciem do Warszawy?

— O, byłem w wielu miejscach! — po wyjściu z Kutna błąkałem się po świecie.

— Toś ty był w Kutnie?

— A jakże; — jam się tam urodził.

— Czy niebyłeś przed siedmiu laty?

— Akurat byłem! Teraz sobie przypominam, panienka byłaś wtedy dzieckiem i uprosiłaś Burmistrza żeby mi karę darował za to żem mu psa utopił w studni.

— Prawda — pamiętam — więc ty się nazywasz Jakób?

— Tak, Kuba! — ażeby mnie sto tysięcy... Poco ja tego szelmy Notkiewicza usłuchał! At, panienko! żebym ja był sam jeden, tobym panienkę zaraz do matki odprowadził, ale ot, tam w drugiej izbie siedzą moi towarzysze, co się na to niezgodzą.

— Więc mnie wydasz siostrze, żeby mnie zabiła?

— Siostra siostrę miałaby zabić? — to być niemoże.

— Ach, ty jej nieznasz!

— Hm! prawda że to ona nieżartuje z ludźmi! — a panienka bardzo się śmierci boisz?

— Życie moje w ręku Boga, niech się dzieje wola jego święta, tylko mi żal matki mojej, biednej mojej matki! ach! co się też z nią teraz dzieje?

Kuba spytał jeszcze raz — a śmierci się panienka boisz?

— Powiadam ci że jeżeli taka będzie wola boska to gotowa jestem umrzeć.

— Ależ to strach umrzeć?

— Kto w Bogu ufa i za grzechy żałuje, ten na drugim świecie znajdzie w Bogu łaskawego sędzię.

Ta niepojęta dla bandyty spokojność z którą Helena mówiła o śmierci, wprawiła go w zadumanie. — A czy to prawda rzekł — że po śmierci dusza żyć będzie?

— Czyż ty sądzisz, odpowiedziała Helena, że między człowiekiem i bydlęciem niemasz różnicy — jużci bydle po prostu zdycha bo duszy niema, przeciwnie w człowieku jedno ciało umiera a dusza idzie do nieba albo do piekła, albo do czysca.

— A tak, rozumie się, człowiek nie to samo co pies. Ale czy to pewno że jak ciało umrze to dusza bez końca żyć będzie?

— Przecie duszę razem z ciałem niemożna w ziemi zakopać — to sam rozumiesz?

— A jużci rozumiem; — duszę w ziemi zakopać niemożna!

Wychodząc z tego punktu Kuba zaczął zadawać pannie Kostyńskiej jedno pytanie po drugim, o sądzie, o wieczności, o grzechu, o miłosierdziu boskiém, o niebie, czyscu i piekle i t. d. Helena starała się objaśnić mu te kwestje sposobem dostępnym dla jego pojęcia, i widząc duszę chwiejącą się na drodze zbrodni, jedną z owiec zbłąkanych pragnących powrócić na gościniec wiary, łaknących pokuty i nadziei, zapomniała zupełnie o sobie i z zapałem zajęła się nawróceniem tego samego bandyty co ją wydarł z łona najczulszej matki. Tkliwe jej serce znalazło prawdziwą roskosz w otwarciu skarbów religijnej pociechy dla człowieka odepchniętego od społeczności przez ciężkie zbrodnie. Słowa jej pełne natchnienia prawdziwej chrześciańskiej miłości, twarz spokojna, jaśniejąca wyrazem niewinności, wreszcie głębokie przekonanie o prawdach które tłumaczyła swemu słuchaczowi, tak mocno podziałały na niego, że Kuba stanowczo oświadczył jej iż przy najpierwszej zręczności niechybnie zaniecha tego towarzystwa w którem się znajdował i będzie żył poczciwie żeby Boga przebłagać.

Potem znów nagle zdjął go strach wielki, zadrżał cały i rzekł — Dziś w nocy chciałem zabić człowieka! Nieudało

mi się i to dobrze; — cieszę się z tego bo to znaczy jednym śmiertelnym grzechem mniej na duszy — ale kiedyeś w Kutnie — może panienka słyszałaś o tym podróżnym w karczmie?

— Ach, słyszałam. To ty go zarznąłeś?

— Ja!

— Czemu żeś się nieprzyznał kiedy cię w sądzie badano?

— Jakżem miał to zrobić, toć by mnie byli powiesili albo ścięli.

— Ach! mój kochany, niechaj cię śmierć ziemska tak nieprzestrasza i niezatrzymuje na drodze zbawienia; lepiej na tym świecie wycierpieć niż na tamtym. Tu, widzisz, to jedna chwila — a tam cała wieczność mąk piekielnych. Pomyśl tylko co to znaczy tysiące tysięcy lat cierpieć, bez końca — zawsze cierpieć, i niemieć żadnej nadziei żeby się męczarnie twoje skończyły! Tutaj na ziemi wszystko prędzej lub później zawsze się kończy — a tam niema końca!

— Aj, panienko cóż robić?

— Trzeba koniecznie przebłagać Boga i ludzi.

— A czy pan Bóg mnie daruje moje zbrodnie?

— Bóg nikomu miłosierdzia nieodmawia, jeżeli tylko szczerze do Niego powraca. Zbawiciel na krzyżu przebaczył łotrowi wszystkie jego grzechy i przyrzekł mu że z nim będzie w Królestwie niebieskim.

— Słyszałem o tem kiedyś w kościele, ale pono ten łotr śpiącego człowieka niezarznął tak jak ja? Och! jak sobie przypomnę tę robotę to mi aż włosy na głowie stają.

— Bądź spokojny i ufaj w Bogu. Miłosierdzie jego niema granic.

Kuba widocznie passował się sam z sobą, zimny pot oblał mu czoło, trząsł się od wewnętrznej trwogi i oburzenia, a jednak w twarzy jego odbijającej jak w zwierciedle walkę którą w sercu jego staczał Anioł stróż z Szatanem wydzierając sobie jego duszę — było cóś wielkiego i wzniosłego. Natury dzikie i gwałtowne więcej od innych są zdolne do heroizmu pokuty ziemskiej. Kuba spytał jeszcze — A jeżeli mnie niespodzianie schwycą, kiedyż ja Boga przebłagam.

— Niezwlekaj tego, do czego sumienie teraz cię skłania. Lecz gdyby i to miało nastąpić czego się obawiasz, wiedź że sprawiedliwość ludzka nikomu nieprzeszkadza pojednać się z Bogiem, owszem każdemu daje do tego czas i środki.

— Tak — to prawda; — widziałem że przy traceniu zawsze jest xiądz. Niech się dzieje wola boża! prawdę panienka mówisz — lepiej tu wycierpieć niż tam!

To powiedziawszy upadł Helenie do nóg i prosił o przebaczenie tej przykrości którą jej wyrządził, a otrzymawszy je zaczął myślić o tém jakby swoją dobrodziejkę, co mu drogę zbawienia wskazała, wyprowadzić z lochu i wrócić matce? — Trzeba naprzód upoić całą bandę — rzekł sobie; wstał z miejsca, wziął kilka sztuk złota fałszywej francuzkiej monety którą w worku chował dotąd nietkniętą i poszedł do najbliższej traktyjerni kupić mocnych trunków.

Traktyjernia była pełna wojskowych francuzkiego pułku który właśnie przechodził przez Warszawę. Starszyzna w jednym, a sierżańci i żołnierze w drugim pokoju, jedli, pili,

śpiewali, palili tytuń z krótkich lulek *brûle-gueule* nazywanych, niewiele płacili gotówką lecz za to obiecywali gospodarzowi sowicie wypłacić się z długu po powrócie z północy. Traktyjernik, niedowiarek z natury, mało widać ufając tym obietnicom, patrzał ze smutkiem na ruinę swego handlu, na butelki i talerze z łoskotem ciskane w komin, na szaloną rąbaninę stołów przez opojów wyobrażających sobie że się potykają z nieprzyjacielem, na łyżki srebrne które starszyzna bez ceremonii chowała do kieszeni jak swoją własność i na inne tym podobne facecje wielkiej armii. Szum i hałas coraz więcej wzrastały — kilku pijaków pojedynkowało się na noże na końcach kijów uwiązane — inni wrzeszczeli, śpiewali, tańczyli lub kłócili się.

Kuba przecisnąwszy się z trudnością do traktyjernika otoczonego francuzami i odpierającego ich napaść za pomocą najętego dragomana, kazał sobie podać kosz gdańskiej wódki. Gospodarz spójrzał na niego jakimś wymownym wzrokiem który zdał się wyraźnie ostrzegać go iż nie w porę przyszedł, lecz Kuba roztargniony, myśląc w cale o czém innym, wyobraził sobie że gospodarz mu nie wierzy na kredyt i dla wyprowadzenia go z błędu parę sztuk złota położył na stole.

— *Tiens!* zawołał stary sierżant, biorąc złoto, *il a de l'or ce péquin là!* i rozpatrzywszy pieniądze dodał — jeszcze złoto francuzkie, z wyobrażeniem naszego Cesarza! — *Mille bombes!* to niesprawiedliwie, żeby takie opryszki opływały w bogactwa, kiedy synowie Francyi, co za nich życie poświęcają, chodzą z pustemi kieszeniami. *Mille ton-*

*

nerres! na to niepozwolę! — to powiedziawszy zaczął, dla ośmielenia siebie do dalszego działania, rzucać pieniądze na stół i przysłuchiwać się ich brzękowi.

Kuba nierozumiał po francuzku, jednakże instynktem pojął że mu chcą odebrać jego własność i nie wiele myśląc wyrwał sierżantowi pieniądze. Po tem stanął w obronną pozycją, gotując się do boju. Wszakże stało się zupełnie inaczej niż się spodziewał. Skwapliwość jego do odebrania monety, i brzęk złota nieodpowiadający oczekiwaniom doświadczonego ucha obecnych francuzów, obudziły powszechne podejrzenie.

— *Ah! cornichon!* — krzyknął rozgniewany sierżant, — śmiesz się targać na wielką armją! — rzucił się na niego, drudzy pomogli, obalili go na ziemię, przygnietli kolanami i odebrali mu wszystko co miał przy sobie. Dopiero zaczęła się próba złota. Poproszono officerów na sąd, porównano złoto Kuby z prawdziwą monetą i przekonano się że pieniądze Kuby były fałszywe.

— Otóż czego dopuszczają się nasi wassale! — krzyknął jeden z officerów — my za nich przelewamy naszą krew a oni puszczają w obieg fałszywe pieniądze ze stęplem Francii i naszego Cesarza! A, to szczególniejsza wdzięczność! niesłychana zuchwałość! — Wiecie Panowie że ten przemysł praktykuje się w Polsce od dawnego już czasu, rząd miejscowy ma najsurowsze polecenia śledzić fałszerzy, Komendant ma rozkaz wszelkiemi środkami wynaleść zbrodniarzy, — a przecie dotąd nic nie zrobiono. Chwała nam

panowie żeśmy pierwsi pojmali łotra, który i innych musi wydać. Ej! żołnierze! podnieście no go na nogi!

Kuba stanął przed officerem — żołnierze dostali powrozów i skrępowali mu ręce w tył.

Officer przywoławszy tłumacza zaczął indagacją. Więzień otwarcie odpowiadał na wszystkie pytania, wyznał że pieniądze wziął od Notkiewicza w przekonaniu iż są dobre; wreszcie spytany czy wie mieszkanie doktora i czy może je wskazać, zgodził się wypełnić co mu każą.

Officer z kilku żołnierzami poprowadzili go przez miasto. Kuba szedł spokojnie, dopiero kiedy wstąpił na próg mieszkania Notkiewicza, a osobliwie kiedy go ujrzał przed sobą przelęknionego i drżącego całym ciałem, gniew go opanował — wstrząsnął się w swoich więzach tak że zdawało się że albo postronki się porwą albo kości się przełamią, oczy mu prawie wylazły na wierzch z wściekłości, a na usta wystąpiła piana.

— Psie podły! — krzyknął Kuba, przyskakując do niego i tak silnie kopnął go nogą, że Doktor poleciał o kilka kroków i głowę sobie o ścianę roskrwawił — paskudny łotrze! więc i ostatnią razą pomimo twojej udanej rozpaczy jeszcześ mnie oszukiwał! Ha bestjo! dając mi fałszywe pieniądze, krzywiłeś się jak gdybym cię ze skury obdzierał! podprowadziłeś mnie pod stryczek myśląc może że jak mnie powieszą to się wszystko skończy? Omyliłeś się! — tak; — ja będę wisiał, niech się dzieje wola Boża! — od pewnego czasu krew tego podróżnego któregom ze świata zgładził niedawała mi pokoju. Krew za krew! Pan Bóg

mi może przebaczy, ale ty coś mnie do tego podjudził, coś jeszcze wczoraj namówił mnie do nowego zabójstwa, do wydarcia matce córki, ty także pójdziesz na szubienicę.

To powiedziawszy skinął na żołnierzy i w obec struchlałego, na poły już martwego Notkiewicza wprowadziwszy ich do gabinetu Doktora, zawołał — tu szukajcie!

Żołnierze zaczęli przewracać wszystkie sprzęty, łamać zamki w stołach, komodach i szafach i niebawem, przy pomocy Kuby, który niewładając rękoma, nogami pokazywał im co jeszcze mieli opatrzyć — znaleźli pod doktorskim łóżkiem wielki kufer żelazem obity.

Notkiewicz nagle tém przywołany do przytomności, pobiegł do stolika i wyjąwszy kwit żydowski, krzyknął — to nie mój kufer! — i podał papier officerowi, który go zaczął opatrywać na wszystkie strony jakby chińskie pismo. Kuba niewiedział coby tam mogło być napisano, wszakże z twarzy Notkiewicza domyślił się że ten szpargał może w części sprawę jego poprawić. Rzucił się naprzód jak szalony, i zębami porwawszy za kwit, w mgnieniu oka wciągnął go do gęby, zżuł i połknął!

Notkiewicz opuścił ręce.

Po odbiciu kufra znaleziono w nim pełno fałszywej monety.

— *Oh! oh! voyez le brigand!* — zawołał officer — piękny zapas sobie przygotował, chwała nam żeśmy samego herszta pojmali! Kommendant pięknie nam podziękuje za ocalenie honoru francuzkiego herbu! Opieczętował kufer,

postawił szyldwacha przy drzwiach i krzyknął na Notkiewicza — *allons maraud! marchons!* Na to hasło, żołnierze go związali i poszli z nim do Generała Gros-Boeuf albo raczej ponieśli go, gdyż od strachu stracił wszelką przytomność. Oczy miał wystrzeszczone a jednak nic niewidział, nogi poruszał machinalnie, padając na ziemię jak kloc drzewa, skoro tylko żołnierze przestawali go trzymać — milczał ciągle dzwoniąc tylko zębami i czasami wykrzykując z rozpaczą — przeklęta Hrabina! przeklęta! przez nią wszystko, początek i koniec! przeklęta Hrabina!

Przeciwnie Kuba postępował za strażą obojętnie i śmiałym krokiem, jak człowiek który ostatecznie na śmierć się przygotował. Dwie tylko myśli snuły się nieustannie w jego głowie — Jedną było gorące pragnienie czém prędzej obaczyć się z kapłanem i za jego pomocą z Bogiem się pojednać — a drugą jedyne jeszcze ziemskie życzenie spotkać kogokolwiek coby mógł uwiadomić Kapitanową o miejscu ukrycia Heleny i ułatwić jej uwolnienie. Wiedząc że jego banda, w razie gdyby jej schronienie zostało odkrytém będzie się broniła, i może posiągnąć na życie Panny Kostyńskiej — tracił prawie nadzieję żeby biedna dziewczyna bez wielkiego okupu mogła być wróconą matce.

XIX.

Tym czasem Pani Kostyńska wyczerpawszy w owej nieszczęśliwej nocy wszystkie siły moralne i fizyczne w daremnych poszukiwaniach straconej córki, rano, prawie gwałtem i na pół martwa została przeniesiona do mieszkania starego Łaszcza, gdzie Woźniowa otoczyła ją przyjazną troskliwością. Biedna matka wpadła jakby w obłąkanie, nieustannie zrywała się z pościeli i chciała biedz szukać Heleny, a siły jej tak były zwątlone, że opuściwszy łóżko dostawała natychmiast zawrotu głowy i chwili nawet niemogła się utrzymać na nogach. Spostrzegając niepodobieństwo spełnienia tego do czego ją serce tak gwałtownie pobudzało, jęczała tylko żałośnie — Bóg nas opuścił, Bóg na nas zesłał to nieszczęście, a ludzie o nas zapomnieli! — nikt nieszuka mojej córki!

— Mylisz się pani — odpowiadała na to Woźniowa, mój mąż i syn i wszyscy ludzie pani rozbiegli się po mieście dla wyszukania Panny Heleny — ufajmy w Bogu że ją znajdą!

— O Boże! Boże! dla czegoż mnie siły opuściły? jabym

ją pewnie wyszukała! Choćby ją pod ziemię schowano, serce-by mnie do niej zaprowadziło, instynktem macierzyńskim domyśliłabym się gdzie moja córka, moje drogie dziecko! Wydarłabym ją zbójcom albo przynajmniej bym przy niej skonała.

Około południa Stanisław Łaszcz i Ludwik Rawicz oba zadyszani, spotkali się na Miodowej ulicy.

— Widzę że odebrałeś moje pismo — rzekł Łaszcz.

— Tak — i dziękuję ci za udzielenie tej smutnej nowiny, wszakże dotąd ani na pogorzelisku, ani u Hrabiny niczegom się nie dowiedział. Jestem w rospaczy. A ty, czy ślad znalazłeś?

— Żadnego, ale może znajdę. W pośpiechu zapomniałem ci napisać że dobrocią, łagodnością - może byś, mógł się czego dowiedzieć od Hrabiny, bo jestem pewny że ona w tej sprawie gra niepoślednią rolę. Niewiem jakeś postąpił — opowiedz mi wasze spotkanie.

— Dobrze żeś mi przypomniał. Odkładałem to do swobodniejszego czasu, wszakże, kiedyśmy się zeszli, to pójdźmy razem ku pałacowi Krasińskich, po drodze dowiesz się wszystkiego.

— Dobrze, chodźmy.

— Szkoda żeś mnie nieostrzegł, bom pono wiele zepsuł a niczegom się niedowiedział o Helenie. Wpadłem do Hrabiny podług dawnego zwyczaju bez żadnej ceremonii i zastałem ją posępnie siedzącą w gabinecie. Twarz jej była okropnie zmieniona. Zbrzydła do niepoznania, a przynajmniej tak mi się wydała.

— Nieprzywitawszy jej wcale przystąpiłem jak szalony i oświadczywszy z góry że porwanie panny Kostyńskiej stało się z jej rozkazu, żądałem żeby mi natychmiast odkryła miejsce jej uwięzienia.

— Panna Helena porwana? podchwyciła Ewa z szyderczym uśmiechem, a, to szczególniejsza nowina! pierwszy raz o tém słyszę. Któż jest ten szczęśliwy *Parys* który jej wdziękami zawładnął? — i czy nie *Meñelaja* obrażonego mam honor oglądać?

— Nieudawaj pani daremnie zadziwienia — rzekłem oburzony. Od czasu naszego rozstania się poznałem ją dostatecznie ażeby wiedzieć o co ją można posądzać?

— Za pozwoleniem — czy to porwanie pięknej Heleny aż do tego stopnia pana obchodzi że mu nawet rozum odejmuje? że mu pozwala mówić kobiecie niegrzeczności we własnym jej domu?

— Hrabino! rzekłem z przyciskiem — nie o grzeczność teraz idzie, ale o życie Heleny, od którego moja exystencja stała się nieoddzielną. Zapowiadam pani solennie, że jeżeli z twojej Hrabino przyczyny włos jej spadnie z głowy, zemszczę się straszliwie! — umrę, lecz pomszczę się wprzód na tobie i twoich wspólnikach!

Oczy Hrabiny zapaliły się wściekłością, porwała z zanadrza mały wenecki puginał i biegnąc z nim prosto do mnie krzyknęła — Niebędziesz jej nigdy oglądał zdrajco! uprzedziłeś chwilę mojej zemsty — sam tu po śmierć przyszedłeś! . . .

Na szczęście niestraciłem przytomności. Odstąpiwszy kilka

kroków w tył, wydobyłem szpadę i piorunującym głosem zawołałem — stój! ani kroku naprzód, bo oręż mój twoją krwią splamię!

Ewa nie ulękła się, przeciwnie z większą jeszcze zapamiętałością skoczyła naprzód z puginałem.

— Tego tylko pragnę rzekła — jeżeli ciebie nie zabiję, najsłodszą dla mnie będzie roskoszą zginąć z twojej ręki. Kochaj mnie-albo mnie zgładź ze świata!

Niewiem jakby się ta szalona scena była skończyła, gdyby przybycie nowej osoby nieprzerwało jej zupełnie niespodzianym dla nas obójga sposobem. Bokowe drzwi otworzyły się po cichu i nagle przed zdumionemi naszemi oczyma stanął Hrabia, naciągnął kurek piostoletu, wymierzył go między nas i odezwał się spokojnie — pierwszy kto się ruszy z miejsca, zginie.

Zatrzymaliśmy się, a Hrabina jak gdyby zobaczyła przed sobą widmo z piekła, wytrzeszczyła oczy zdumione.

— Państwo już się rozprawiacie z sobą — dodał Hrabia, a zapomnieliście o tém że oboje powinniście naprzód obliczyć się zemną. Hrabina znajduje się w moim domu i przed tem obliczeniem się z niego nie wyjdzie. Piu! dałem pani cały miesiąc do namyślenia się i byłbym tych dwóch dni które ci jeszcze zostają, spokojnie doczekał, bo umiem słowa dotrzymywać. Dla czego-żeś mnie zmusiła przed czasem żądać od ciebie rachunku? Co się zaś pana tycze, spodziewam się że jako człowiek honoru nie zechcesz się wymówić od zwyczajnej w podobnych razach rozprawy, i odwiedzisz mnie dla umowienia się, z jednym ze swych przyja-

cioł. A im prędzej to nastąpi, tym lepiej. Teraz żegnam pana. Do zobaczenia się.

Przyrzekłem mu służyć i wyszedłem.

Oto wypadek mojej wizyty u Hrabiny.

Stanisław zachwiał głową i rzekł — pójdziemy razem odwiedzić Hrabiego? — Ludwik ścisnął mu rękę i zapomniawszy o sobie oddał się jedynie myśli wyszukania Heleny.

Przechodząc koło Teatru spostrzegli dwoje ludzi związanych i prowadzonych pod francuzką strażą. Ludwik z daleka poznał Notkiewicza a Stanisław dobrze się Kubie przypatrzywszy odkrył w nim tego łotra, który go chciał zamordować w czasie pożaru za Żelazną bramą. Kuba także przypomniał sobie jego rysy i pierwszy zawołał — panie officerze! proszę zatrzymać żołnierzy, ja mam panu do powiedzenia bardzo ważną wiadomość.

— W tej samej chwili Doktor jęknął znów — Przeklęta Hrabina! przeklęta!

Ludwik i Stantsław spójrzeli po sobie i spytali officera francuzkiego coby za ludzi prowadził? a dowiedziawszy się szczegółów pojmania obu więźniów, prosili francuza żeby im pozwolił rozmówić się z Kubą.

Officer się skwasił, jednakże odpowiedział — *parlez Messieurs*, *mais dépechez vous.*

— Spiesz się rzekł Stanisław do Kuby, bo tylko parę słów możesz nam powiedzieć.

— W takim razie — zawołał Kuba, powiem dwie najpotrzebniejsze rzeczy, a resztę później, jeżeli się jeszcze w tém życiu zobaczemy. Wyproś Jegomość dla mnie xiędza

i oddaj pewnej matce jej córkę którą ostatniej nocy porwałem, na tém samém miejscu gdziem pana chciał zabić.

— Boże! dzięki ci Panie, żeś się zlitował nad biedną matką! — zawołali oba officerowie, i obiecawszy Kubie że się wstawią do Komendanta o przysłanie mu kapłana, spytali go o miejsce gdzie ukrył Helenę.

Kuba najdokładniej jak mógł opisał im siedlisko swojej bandy, niebezpieczeństwo wszelkich gwałtownych środków, rozmaite hasła, i poleciwszy uwolnienie Heleny ich własnej rozwadze, poszedł dalej z żołnierzami.

Ludwik i Stanisław naradziwszy się na prędce wzięli doroszkę i w czwał polecieli zająć się oswobodzeniem panny Kostyńskiej.

Generał Gros-Boeuf zajadał właśnie obiad kiedy przed nim stawiono więźniów — *Ah, les marauds! ah, les chiens!* krzyknął — zawołać mi natychmiast Audytora, złożyć sąd wojenny i rozstrzelać ich obydwóch albo powiesić w miarę tego która śmierć im więcej będzie do twarzy.

Notkiewicz chciał się tłumaczyć.

— Ot ten, zawołał Komendant wesoło, dopijając kieliszek wina — to widać wielki gaduła, tego oczewiście trzeba powiesić żeby przed śmiercią choć kilka minut doświadczył jak przyzwoicie człowiekowi milczeć, choćby zajmował nawet wysokie stanowisko w społeczeństwie. Spodziewam się że jak mu stryczkiem szyję ścisną, to chyba nogami będzie różne pantominy pokazywał. *Allez canaille!* zamknąć ich dobrze w więzieniu — *je vous remercie messieurs!*

Tym czasem dwaj przyjaciele, przebrawszy się w proste

cywilne odzienie i wziąwszy z koszar oddział zbrojnych żołnierzy udali się na Solec. Tam, ostróżnie rozstawiwszy komendę w różnych miejscach na około gospody łotrów, sami zatrzymali się przed wrotami od podwórza i Ludwik trzy razy świsnął. Natychmiast otworzyły się wrota, i stróż zgarbiony, zgięty w kilka kolan, niby weteran, z pewném zadziwieniem spójrzał im w oczy. A czego tu chcecie? spytał słabym głosem, jak gdyby go piersi mocno bolały.

— A jużci z tobą się porozumieć, odpowiedział Ludwik mrugnąwszy na niego.

— Cóż mój człecze, o czém teraz gadać? *Kot biega za sadłem, chłop za jadłem, a wilk za padłem.*

— Prawda, podchwycił Ludwik w pół-głosa, *póki miesiąc się nie ożeni.*

Stróż się uśmiechnął, wyprostował się na jedno ogniwo, zmierzył obu nieznajomych od stóp do głów i spytał — *a gdzie żona miesiąca?*

— *W starym borze, ściele mu łoże*, odstrzelił Stanisław. Stróż w mgnieniu oka wyprostował się jak trzcina, zmieszał się nieco i rzekł — kiedy to wiecie, to pewnie sam Kuba was tu przysłał i nie na przelewki a dla jakiejś ważnej sprawy?

— A tak, szepnął Ludwik, tylko cośmy go widzieli, chodź prędzej z nami.

— Poco? czy Kuba kazał? ja od bramy odejść niemogę.

— Musisz natychmiast — *czarny pies szczeka, bura wilczyca wyje!*

— A żeby mnie jasne pioruny! . . . co to takiego? zawo-

łał przestraszony weteran, idę, idę zaraz, — przymknął bramę i niepytając poszedł zamyślony za nieznajomemi, hasło bowiem które usłyszał od nich znaczyło iż cała banda znajduje się w niebezpieczeństwie i powinna ślepo słuchać tego kto owe słowa wymówi. Odszedłszy kilka kroków szepnął Ludwikowi poufale do ucha — z początku myślałem żeście przynieśli pieniądze za tę dziewczynę którą Kuba w nocy wykradł.

— Cicho, odpowiedział Ludwik — idź przed nami i udawaj że nas nieznasz — patrz na prawo, czy widzisz?

— Widzę, stoi szczygiełek, — co on tu robi?

— A tam dalej pod płotem, widzisz?

— Widzę, leży drugi szczygiełek — co to znaczy?

— Cicho, idź dalej.

I tak, prowadząc go przed sobą pokazał mu że dom ich otoczony do koła i nareszcie rzekł — Czy rozumiesz teraz co z wami chcą zrobić?

— Oj, rozumiem! ale dla czego to?

— Kubę złapano.

— Więc to Kuba nas zdradził? — niemoże być! — i zrobił gest jak gdyby chciał czegoś dostać z pod odzienia, lecz Ludwik i Stanisław domyśliwszy się jego zamiaru, w mgnieniu oka wyrychtowali w niego dwie lufy od pistoletów — Ani się rusz! ani piśnij! bo w tym samym momencie żyć przestaniesz, rzekł Luwik, podał umówiony sygnał i dwóch żołnierzy stanęło z obu stron opryszka ze zwróconemi ku niemu bagnetami karabinów.

— Teraz ci powiem czego chcę od was — mówił dalej

Ludwik — Kuba wzięty siedzi już w więzieniu i on to mnie tu przysłał ale nie dla tego żeby was zdradzić — bo wtedy niebył by mi waszych haseł wyjawił — czy wierzysz temu?

— I wierzę i niewierzę — w głowie mnie się kręci. Czegóż wy chcecie?

— Chcemy żebyście nam oddali tę panienkę którą dziś Kuba wykradł.

— Jak to? oddać wam bez wykupu? za nic! za nic! prędzej ją zarzniemy!

— A więc ty koniecznie chcesz wykupu? — a wiele naprzykład?

— Jużci przynajmniej że sto dukatów.

— Dodrze, będziesz miał co ci się należy.

Na dany znak Stanisław schwycił łotra tak mocno za gardło, że od bolu tylko gębę roztworzył i głuchym głosem zachrypiał. Zatkano mu natychmiast usta i jeden ze szczygiełków odliczył mu sto sztęflów z taką gorliwością że ledwie się na nogach mógł utrzymać. Potem mu szpunt z gęby wyjęto i Ludwik zapytał go — wielu w lochu zostało?

— Czterech i Lucyperowa — odpowiedział bez wahania się.

— Jakim sposobem jednego z nich wywołać do wrót?

— Już tam stoi drugi na mojém miejscu.

— Z kąd to wiesz?

— Przy bramie jest deska co się ugina kiedy na nią

nastąpić i targa za dzwonek w lochu. Kiedym obchodził od wrót ostrzegłem ich że się oddalam.

— Pamiętaj, jeżeliś skłamał, to jak tu wrócimy znów sto dukatów odbierzesz.

— Oj nieskłamałem!

Ludwik ze Stanisławem poszli znów do bramy i tym samym sposobem trzech łotrów jednego po drugim z piwnicy wyciągnęli i podobnie się z nimi obeszli. Ostatni nawet na potężne hasło o czarnym psie i burej wilczycy nie chciał opuścić swego stanowiska, lecz z tym łatwiej było się sprawić. Ludwik powiedział mu że wie iż w lochu niema już nikogo oprócz Lucyperowej, a dwa pistolety skierowane na niego odjęły mu wszelką ochotę bronienia się. Ze skromną postawą udał że się na wszystko zgadza, wprowadził nieznajomych na podwórze i upatrzywszy chwilę pomyślną, wywinął im się i uciekł. Dwaj przyjaciele nie ścigali go nawet, przeciwnie, korzystając z tego wypadku sprowadzili część komendy do wrót, Ludwik stanął u wchodu lochu, a Stanisław tak gwałtownie podał sygnał nastąpiwszy kilka razy na deskę, że Lucyperowa strwożona wybiegła z podziemia zobaczyć co się dzieje u bramy. Lecz w tej samej chwili Ludwik pochwycił ją i oddał żołnierzom.

Niezwłocznie obydwa oficerowie rzucili się pędem do siedziby łotrów gdzie znaleźli przestraszoną i bladą Helenę siedzącą na słomie.

Radość jej daremném było by opisywać. Wyciągnęła do Ludwika drżące ramiona, rzuciła się w jego objęcia i ze łzami roskoszy zawołała — o! ja byłam pewna że ty bę-

dziesz moim wybawicielem! ach! prowadź mnie prędzej do matki, pocieszyć ją w strapieniu.

Uszczęśliwiony Rawicz wyniósł ją z lochu na swoich ramionach i pośpieszył odwieść do pani Kostyńskiej, a tym czasem Stanisław zdał łotrów władzy miejscowej.

Po powrócie swoim do domu rodziców zastał tam już wszystkie drogie mu osoby w stanie najżywszej roskoszy jaką na tej ziemi można oglądać. Patrząc na to koło szczęśliwych westchnął mimowolnie i odwoławszy przyjaciela na stronę rzekł mu — Wiem że ci tu bardzo miło, wszakże muszę cię wydrzeć z tego raju. Wiele jeszcze mamy obowiązków do wypełnienia; — chodź mój drogi.

— Ach barbarzyńco! zawołał Ludwik — gdzież mnie porywasz?

— Naprzód do tego któremu winniśmy szczęśliwe oswobodzenie panny Kostyńskiej. Przez wdzięczność trzeba mu pomódz oswobodzić duszę od zatracenia wiecznego.

— Ach! prawda, odpowiedział Rawicz — spieszmy się. Sąd wojenny długo się nie namyśla.

Generał Gros-Boeuf ziewając wysłuchał prośby dwóch officerów i rzekł im z uśmiechem — *Rien que celà?* O moi panowie, możecie mu przyprowadzić wiele wam się podoba mnichów, opatów, xięży, zakrystjanów, organistów, tylko nierazem, bo by go żywcem do nieba porwali, a on ma wprzód podnieść się na ziemską wysokość, albo po prostu mówiąc ma wisieć między ziemią i niebem. Po jednemu, po jednemu, — na to się zgadzam. Możecie nawet sami go przygotować do tańca śmiertelnego na szubienicy

i pokazać mu najpiękniejsze *pas de zephyr*, żeby mógł się pokazać przyzwoicie przed publicznością. Powiedźcie adjutantowi żeby wam dał cedułkę.

Podziękowawszy Generałowi i wziąwszy cedułkę weszli do więzienia delinkwenta.

Kuba siedział w kącie zamyślony lecz spokojny.

Kiedy mu powiedzieli że xiądz niebawem go odwiedzi oświadczył im najżywszą wdzięczność i błagał Stanisława żeby mu przebaczył targnienie się na jego życie.

— Zapomniałem już o tém — odpowiedział Łaszcz, a usługa którą nam wyświadczyłeś, całkowicie mnie z tobą pojednała.

— A więc oswobodziliście tę panienkę? — och! jakżem szczęśliwy że przed śmiercią mogłem jej przynajmniej w części zawdzięczyć za to co dla mnie zrobiła. Inna byłaby się z obrzydzeniem odwróciła od zbójcy, a ona rozmawiała zemną jak z bratem, tak łagodnie, tak długo, z taką dobrocią upominała mnie żebym się do Pana Boga nawrócił! O! podziękujcie jej jeszcze raz odemnie i poproście żeby chociaż jeden paciorek za moją duszę zmówiła. Jestem pewny że jej pan Bóg w niczém nieodmówi, bo to Anioł prawdziwy!

Po chwili milczenia spytał jeszcze — jakżeście ją wyprowadzili z lochu? — a dowiedziawszy się wszystkiego zachwiał głową i rzekł — żal mi dawnych moich wspólników bo zapewne żaden z nich o swej duszy nie pomyśli.

— Ta kobieta którąśmy wzięli — odezwał się Stanisław musi być chyba twoją matką — gdyż dowiedziawszy się o

twoim losie wpadła w tak gwałtowną rozpacz że gdybym się był niewstydził żołnierzy, byłbym jej prośbę przełożył władzy. Domagała się koniecznie żeby ją do jednego więzienia z tobą posadzić i razem z tobą exekwować. Wszyscy inni przeklinali ciebie.

— Tak, tak, — odpowiedział Kuba, wciąż zamyslony — ona mnie bardzo kochała!

— Powiedz-że nam, — spytał Łaszcz,— kto cię namówił do wykradzenia Panny Kostyńskiej i do zgładzenia mnie ze świata?

— Notkiewicz! zawsze Notkiewicz! — zawołał Kuba, z zaiskrzonym okiem — opowiem wam całe moje życie, żebyście wiedzieli że ten człowiek podjudził mnie do najcięższych zbrodni.

Potem opowiedział im historją morderstwa w Kutnie, swoje uwolnienie z turmy, spotkanie się z Doktorem w Warszawie, umowę zawartą z nim od imienia Hrabiny, wydarcie mu fałszywej monety, podpalenie mieszkania Kapitanowej i resztę wypadków tej nocy.

— Więc to Hrabina kazała ci wykraść Pannę Kostyńską i mnie zabić?

— Ona — przez Notkiewicza.

— Domyślałem się tego — rzekł Stanisław.

Ludwik tylko spuścił oczy, jakby wstydząc się że jej kiedyś bronił.

Opuściwszy więźnia udali się do domu Hrabiego Olborskiego.

Hrabia natychmiast ich przyjął i pierwszy raz widząc Stanisława, spytał kto by był?

— Jestem syn byłego Komissarza dóbr Rozalińskich Stanisław Łaszcz, przyjaciel obecnego tu Porucznika Rawicza z którym Hrabia życzyłeś sobie porachować się.

Twarz Łaszcza przybrała wyraz surowego zamyślenia, jak człowieka który pomimo wielkich zawad postanowił raz powzięty zamiar doprowadzić do skutku. Stanisław pojmował dobrze że niedopuścić do rozprawienia się orężem dwóch ludzi, tak stanowczo do tego kroku przygotowanych jak Hrabia i Rawicz, było prawie niepodobieństwem, a jednak pomnąc słowa swego ojca, chcąc się przyjacielowi wywiązać z długu wdzięczności, chcąc jego stryjostwo, Kapitanowę i jej córkę uwolnić od śmiertelnej trwogi o życie młodzieńca który im wszystkim był tak drogi — postanowił bądź co bądź, choćby z największém poświęceniem siebie samego, przeszkodzić pojedynkowi, a gdyby tego niemógł dopiąć, to przynajmniej naprzod strzelać się z Hrabią.

— Piu! — zawołał wesoło Hrabia — czy i umarli na dzień dzisiejszy wracają do życia? Tegom się nie spodziewał — wszakże rad jestem Panu, choćbyś był prawdziwym nieboszczykiem.

— Czy słyszałeś Pan, — rzekł Stanisław, przystępując prosto do rzeczy — że dziś w nocy dom za Żelazną Bramą w którym mieszkała Pani Kostyńska, został podpalony? że Pannę Helenę porwano na ulicy z objęć matki? że na tej samej ulicy kupiony zbójca kusił się zdradziecko wyzuć

mnie z życia i zmusić zostać nieboszczykiem, tylko mu się to nieudało, tak samo jak innej osobie w r. 1809?

Hrabia i Ludwik spójrzeli na niego z zadziwieniem. Obydwa wprawdzie niewiedzieli o kim mówił z roku 1809, lecz daleko więcej zastanowiła ich zachmurzona twarz Stanisława i jakaś solenna powaga z którą się odezwał do Hrabiego.

— Czy wiesz Pan, — rzekł dalej, nieczekając odpowiedzi, — że podpalacz i zbójca jest schwytany i znajduje się w więzieniu pod dobrą strażą? że Doktor Notkiewicz u którego znaleziono fałszywą monetę, Doktor co wraz z inną osobą był sprawcą tego podpalenia i zamachu na życie officera oczekuje także w więzieniu niezwłocznego sądu i niechybnej szubienicy?

— Piu! cóż to mnie może obchodzić? — rzekł Hrabia.

— Czy wiesz Pan kto jest tą drugą osobą której Notkiewicz był tylko służalcem, i której imie przed sądem niezawodnie wyda?

— A wiem, a przynajmniej domyślam się. Notkiewicz był faktorem mojej żony. Ale do czegóż to wszystko prowadzi?

— Do wielkiego zawikłania w rachunkach Hrabiego.

— Piu! chociaż nie jestem wielki matematyk przecie mam nadzieję że się ten rachunek da rozwikłać jeżeli się Pan jaśniej wytłumaczysz.

— Niezawodnie wyłuszczę to Hrabiemu, wprzód jednak trzeba żebyście mi Państwo obydwa dali słowo honoru że bez obrazy i niecierpliwości będziecie mnie słuchali do końca. Czy dajecie mi to słowo?

Ciekawość wzbudzona tym zwrotem rozmowy spowodowała Hrabiego i Ludwika zgodzić się na jego żądanie.

— Rozpatrzmy naprzód nasze położenie, — rzekł Stanisław; — Hrabia kochasz lub przynajmniej kochałeś swoją żonę, Pan Rawicz się w niej kochał, a ja dotąd ją kocham....

— A toż co znów nowego? — przerwał Hrabia, nachmurzywszy się, a Ludwik z zadziwieniem spójrzał w oczy swemu koledze.

— Tak jest w samej rzeczy. Później się wytłumaczę — a teraz wyprowadzam tę tylko konkluzją, że wszyscy trzej jesteśmy lub byliśmy zakochani w jednej kobiecie, i że Hrabiemu zamiast z jednym wypadłoby z dwóma się porachować.

— Gotów jestem służyć obydwóm — odpowiedział gospodarz z grzecznym ukłonem.

— Mówię dalej. Ta kobieta chciała Panu za jego miłość zapłacić trucizną, Rawicza zgładzić sztyletem, a mnie nożem kupionego zbójcy....

— Skąd Pan wiesz o truciznie? — podchwycił zdziwiony mąż, — chyba sam Szatan odkrył Panu tę tajemnicę?

— Umarli wiele rzeczy wiedzą, a ja jak Panu wiadomo jestem nieboszczyk z r. 1809.

Hrabia pomimo całej swojej niewiary w przesądy, mimowolnie wzdrygnął się — cóż dalej? — rzekł.

— Ponieważ Hrabia niemożesz zaprzeczyć temu com powiedział, więc zapewne zgodzisz się na drugą moją konkluzją — że w obecnej chwili ta kobieta, lubo z rozmaitych

pobudek, przecie z równą żądzą pragnie każdemu z nas trzech wydrzeć życie.

— Piu! to być może.

— Niemam honoru być znajomym Hrabiemu, lecz mój kolega zna mnie i śmiało może zaświadczyć że mi nigdy niebrakło odwagi i męztwa tam gdzie śmierci trzeba było zajrzeć w oczy. Lubo z dzieciństwa mam przekonanie że wszelkie targnięcie się na życie bliźniego jest grzechem śmiertelnym, przecie najchętniej jestem gotów stanąć przeciw kuli jeżeli Hrabia tego zażądasz.

— Podobno nieobejdzie się bez tego — rzekł Hrabia ponuro.

— Wprzód jednakże powiedźcie mi Panowie, — mówił dalej Stanisław — czy z tych dwóch konkluzij do których już doszliśmy niewypada nowa konkluzja; że trzech ludzi z powodu miłości ku jednej kobiecie, i wiedzących iż trucizna, sztylet i nóż użyte przez nią niedopięły celu, sami targną się jeden na drugiego z pistoletem w ręku, niby dla zaspokojenia wymagań honoru, a rzeczywiście tylko jako ślepe narzędzia tej kobiety co trucizną, sztyletem i nożem usiłowała ich zgładzić ze świata. Prawdziwie wypadało by sądzić że ci ludzie do szaleństwa są zakochani w owej kobiecie, kiedy dla spełnienia jej żądzy rachują sobie za obowiązek poświęcić życie. Wypadałoby sądzić że ta kobieta zostawiła im jakąś nadzieję, że za taką ofiarę cały raj miłości temu co na placu zostanie? — Ale nie! — i ten co na placu zostanie jest jej równie jak dwaj inni nienawistny!

Hrabia i Ludwik mimowolnie spuścili oczy bo te zabijające wnioski Łaszcza nagle pokazały im w całym świetle niedorzeczność położenia w którém się znajdowali — lecz wkrótce fałszywe pojęcie honoru, względy towarzyskie, potęgą opinii wzięły nad nimi górę. Hrabia zachwiał tylko głową a Ludwik z niechęcią zawołał — Stanisławie! jak widzę zapomniałeś o tém żeś tu przybył ze mną wcale nie dla tego żeby Hrabiego i mnie uczyć rozumu, lecz jedynie poto żeby być świadkiem tych warunków na które się zgodzimy.

— Dziekuję panu! — rzekł Hrabia do Ludwika.

Stanisław patrzał na nich w milczeniu i smutek głęboki ocienił twarz jego pełną łagodności. Żal mu było tych dwóch ludzi co dla przesądów światowych z taką uporczywością nastawali na swoje życie, odważali się na grzech śmiertelny, wyrzekali się na całą wieczność miłosierdzia boskiego, gardząc tą kobietą co była początkiem wszystkiego. Szczególniej żal mu było Ludwika, bo wiedział jaką przepaść ten pojedynek otwierał między nim i biedną Heleną. Cóż panowie? rzekł nakoniec, czy mamy koniecznie bić się dla zaspokojenia Hrabiny?—dla niej tylko, bo innej przyczyny niewidzę.

— Czas by już skończyć, — zawołali Hrabia i Rawicz.

— Natychmiast. Jeszcze jedną tylko mam prośbę. Życzyłbym sobie w obecności Panów widzieć Hrabinę.

— A to dla czego? — spytał Hrabia.

— Ponieważ mam się bić z Panem, więc uważam za

rzecz słuszną żebyś Hrabia wiedział jakim sposobem pokochałem się w jego żonie.

— Prawdziwie dotąd niewiem do czego cała rozmowa pańska ma prowadzić. Sam oświadczyłeś chęć honorowej ze mną rozprawy, której ani pragnąłem ani spodziewałem się, lecz na którą chętnie się zgadzam. A teraz znów chcesz mi opowiadać rzeczy o których wyjawienie nie proszę. Zresztą jeżeli to koniecznie Panu potrzebne, to opowiedz mnie jednemu. Słuchać będę przez ciekawość.

— W mojej powieści znajdą się rzeczy ciekawe nie tylko dla Pana lecz i dla żony jego i dla P. Rawicza. Jeżeli Hrabia ten warunek odrzucisz, w takim razie odkładam z Panem rachunek, i wiadomą mi tajemnicę wyjawię przed władzą sądową, która nieomieszka powołać Hrabinę natychmiast do stawienia się przed kratki, w sprawie o gardło.

— Co Pan mówisz?— Ha! naturalnie muszę się zgodzić na Pańskie żądanie. Zresztą ponieważ obydwa Panowie jesteście znajomi z moją żoną, więc możemy wejść niezwłocznie do jej gabinetu.

To powiedziawszy wprowadził obydwóch.

Hrabina siedziała zamyślona na ottomance.

— Pani! — rzekł Hrabia, przedstawiając jej gości, — na usilne domaganie się P. Łaszcza, musiałem się zgodzić przerwać jej samotność. Ma nam odkryć pewną tajemnicę, w twojej obecności.

— Łaszcz! Stanisław! — krzyknęła Ewa, przeraźliwym głosem, wytrzeszczyła na niego obłąkane oczy, i jakby ska-

mieniała od przestrachu została nieruchoma i milcząca w tém położeniu.

— Tak, — rzekł Łaszcz, patrząc na nią spokojnie wzrokiem wyrażającym więcej politowania niż wzgardy — kiedyś przyrzekłem Pani, na drodze niebezpieczeństw i sławy dosłużyć się officerskiego stopnia i stanąć przed nią dla odświeżenia pamiątki czasu przepędzonego w Rozalinie. Prawda że inne były w tedy moje widoki a inne teraz. Wtedy miałem nadzieję pozyskania jej ręki, dziś mogę jej tylko podać moją i wprowadzić na rusztowanie. Ale ci Panowie tego nierozumieją,— muszę im to w kilku słowach opowiedzieć.

— Hrabina zatrzęsła się jak gdyby ją nagle febra porwała, zasłoniła sobie dłonią oczy żeby nie patrzyć na Łaszcza i tylko głuchym głosem zajęczała — nietrzeba! nietrzeba! milcz!

— Nie, — odpowiedział Stanisław; gdyby o mnie chodziło, nie otworzyłbym ust, chociaż jeszcze wczoraj Kuba, kupiony przez Panią, targnął się na moje życie, ale mam inną ważniejszą przyczynę. Mam obowiązek do spełnienia, i tuszę sobie że wyświecenie tego co mnie tylko wiadomo, przyczyni się do pomyślnego osiągnienia tego celu, który obecnie mam na względzie. Mówiąc o przeszłości zadaję sobie samemu najcięższą boleść, gdyż niestety! wyznam ze wstydem że nawet oburzenie i pogarda na którą Pani zasłużyłaś w moich oczach, uczuć moich zmienić niemogły.

Hrabina skuliła się w kłębek na ottomance i szalem zakryła sobie głowę.

— Panna Ewa Łobzowska — mówił Łaszcz, była kiedyś piękna jak anioł. Pamiętam, kiedym w r. 1809 przyjechał ze szkół do domu, młody i niedoświadczony, jedno jej spójrzenie odjęło mi spokojność i obudziło w mém sercu miłość tym gwałtowniejszą, im więcej położenie moje zmuszało mnie do starannego jej ukrywania. Niemając zręczności bywać często we dworze, zakradałem się koło jej ogrodu, właziłem na drzewa, całe godziny czatowałem na tajemnym stanowisku, żeby jak wyjdzie na przechadzkę, raz tylko na nią spójrzeć. Myśl o jakiejkolwiek wzajemności nie pieściła mej wyobraźni nawet w snach moich ognistych, bo niemówiąc już o różnicy stosunków towarzyskich, wiedziałem że pewien młodzieniec z sąsiedztwa starał się o jej rękę i że Panna Ewa mu sprzyjała.

Raz, w niebytności ojca, Panna Łobzowska, kazała mi czytać głośno poemat Szymanowskiego Swiątynia Wenery w Knidos. Matka jej spoczątku słuchała mego czytania, a potem wyszła do drugiego pokoju i zostawiła nas samych jednych. Nigdy niezapomnę tej chwili. Panna Ewa przerwała lekturę i w rozmowie ze mną rozwinęła tyle wdzięków swego dowcipu, tyle czułości, tak mnie ośmieliła, zbliżyła do siebie, i dała się domyślać tylu błogich nadziei, że wśród roskosznego upojenia zdało mi się iż znalazłem w jej sercu więcej dla siebie niż ten który uchodził za jej kochanka. Lecz właśnie kiedy byłem na najwyższym szczeblu szczęścia, wszedł kochanek. Panna Ewa porwała się z miejsca na jego przyjęcie, a mnie sucho dała do poznania żebym się oddalił.

Nazajutrz kochanek nagle gdzieś przepadł. Było to w czasie wojny Austryackiej. Po rozmaitych domysłach zgodzono się na to, że musiał wpaść w ręce nieprzyjaciela. Wkrótce przekonałem się że to mniemanie było fałszywe.

W tém miejscu Ludwik zaczął się baczniej przysłuchiwać.

Wieczorem na drugi dzień umyślnie przysłano po mnie ze dworu. Ojciec mój grał w karty z Panem Łobzowskim, a mnie kazano znów czytać głośno xiążkę dla Panny Ewy, która żeby nieprzeszkadzać grającym wyszła ze mną do osóbnego pokoju. Tam z początku przyglądała mi się niezmiernie czule, co mnie całkowicie zmieszało, potem jak wytrawiona zalotnica rozpłomieniwszy moją wyobraźnią udaną przychylnością, odezwała się z głębokim westchnieniem:

— Ach, Stanisławie! wiesz, że w tej chwili znajduję się w największém niebezbieczeństwie, i od ciebie jedynie spodziewam się ratunku.

Na to poufałe wezwanie mnie po imieniu, krew rzuciła mi się do głowy, zdało mi się żem się skąpał w ogniu, lecz usłyszawszy iż jej zagraża niebezpieczeństwo, zadrżałem — Mów Pani! rzekłem natychmiast, — co się takiego stało? rozporządzaj moją osobą, na tysiąc śmierci gotow jestem rzucić się, byle jej oszczędzić najmniejszej przykrości.

— Ach, mój Stanisławie! muszę cię wyprowadzić z błędu; ja nie o przykrości mówię, nie o fraszce, lecz o prawdziwém i wielkiém niebezpieczeństwie. Nie idzie tu o jakiś kaprys kobiecy, lecz o los całego mego życia, o moje do-

bre imie i spokojność moich rodziców. Zastanów się dobrze czy masz prawdziwe postanowienie być moim wybawcą, ocalić mnie od niezasłużonej hańby?

— Pani! zawołałem, przysięgam na zbawienie mojej duszy, na miłość którą mam dla rodziców, że z narażeniem własnego życia uczynię wszystko czego odemnie zażądasz. Żadne poświęcenie nie wyda mi się uciążliwém.

— Spodziewałem się tego po twojej szlachetności mój drogi Stanisławie, i dla tego udałam się wprost do ciebie. Jestem pewna że mnie nie zdradzisz—że będziesz miał litość nad kobietą która przez niesłychany zbieg okoliczności znajduje się w najsmutniejszém położeniu.

— Mów Pani prędzej. Co każesz, wszystko spełnię.

— Słyszałeś zapewne że sąsiad nasz zniknął?

— Tak, odpowiedziałem, nagle zasmucony, wyobraziwszy sobie że kochając go nad życie, każe mi go odbić z niewoli Austryackiej — słyszałem o tem. Czy go mam wyszukać?

— Było by to rzeczą zbyteczną, bo on jest w moim pokoju, albo raczej już nie on, tylko jego trup!

Przyznam się Panom, że jakkolwiek zazdrość czyniła dla mnie nienawistnym kochanka Panny Ewy, wszakże dowiedziawszy się o tak nagłej jego śmierci, usłyszawszy że trup tego samego człowieka, któregom niedawno widział żywym, leży w pokoju dziewczyny, która mi to sama opowiada— mimowolnie zadrżałem. Zrobiło mi się tak ciężko na sercu jak gdybym był winien jego śmierci. Odwróciłem twarz z niechęcią od Panny Ewy, łza mi się zakręciła w oczach i

miotany najokropniejszém podejrzeniem odezwałem się — Jakimże sposobem ten trup znalazł się u Pani?...

— Niemamy wiele czasu, odpowiedziała, muszę ci więc jak najkrócej tę katastrofę opowiedzieć. Ojciec mój chce mnie wydać za jakiegoś Hrabiego.... i tu opisała mi przyszłego narzeczonego, w wyrazach niebardzo pochlebnych, których niechcę powtarzać.

W tém miejscu Hrabia skrzywił usta jakimś sarkastycznym uśmiechem i zaczął się pilniej przysłuchiwać.

— Wiedząc oddawna o tym projekcie mego ojca i postanowiwszy sobie prędzej umrzeć niż oddać rękę Hrabiemu, chciałam uciec z domu z tym biednym nieboszczykiem.

— Więc pani jego mocno kochałaś — spytałem mimòwolnie.

— Tak mi się zdawało — odrzekła, spójrzawszy na mnie z dziwną tkliwością — bo to był pierwszy młody męczyzna którego spotkałam w życiu. Zresztą może też bojaźń zostania żoną Hrabiego wpłynęła na ten wybór, dość że umówiliśmy się uciekać, właśnie w ten wieczór kiedyście się tu z sobą ostatni raz spotkali. Lecz inaczej było sądzono. Wyobraź sobie Stanisławie, ten nieszczęśliwy ledwie wszedł do mojego pokoju, ledwie mi powiedział że wszystko gotowo, potoczył się i padł jak martwy na podłogę.

— Jak to być może? zawołałem z pewną niewiarą.

— Śmierć jego wydaje ci się zadziwiającą. Nie potrafię ci jej wytłumaczyć ale przysięgam na wszystko co jest najświętszego, że tak się stało w samej rzeczy. Z początku sądziłam że to było omdlenie, wszakże przesiedziawszy całą

noc w najokropniejszej trwodze przekonałam się, że z niego został tylko trup — zimny, skościały trup. Apoplexia go pewnie zabiła.

— I pani niezawołałaś nikogo z ludzi? niepowiedziałaś nikomu o tem? — możeby mu w pierwszej chwili można było podać ratunek?...

— Powiadam ci, odparła z taką rozumną spokojnością że aż mi mrówki przeszły po ciele — powiadam ci że z początku miałam nadzieję iż to jest przypadkowe omdlenie, a potém już bałam się żeby na mnie nie padło podejrzenie o zabójstwo człowieka. Zresztą wstyd, narażenie mojego dobrego imienia i nawet honoru moich rodziców wstrzymały mnie. Schowałam trupa — i teraz błagam cię, drogi Stanisławie, wytrwaj w danem słowie, nie łam uczynionej przysięgi, bądź wybawcą biednej kobiety która w twojej szlachetności ostatnią swoją nadzieję położyła. To powiedziawszy padła przedemną na kolana i wyciągnęła do mnie błagające dłonie. W tej chwili była tak piękna, że nikt ze śmiertelnych niemógłby był odmówić jej żadnej prośby.

— Jabym miał być krzywoprzysiężcą? rzekłem podnosząc ją skwapliwie — nigdy się tego niedopuszczę. Mów Pani śmiało czego żądasz odemnie?

— Uwolnij mnie od tego trupa — weź go z mego pokoju — i pogrzeb!

— Bez xiędza? spytałem przelękniony, zakopać go jak bydlę? mój Boże!

— Co tu myśleć o takich drobnostkach — odpowiedziała

z pewną zatwardziałością, która znów mnie przeraziła — potém będzie czas za niego się pomodlić.

Pomyślawszy, zdziwiłem się że Panna Ewa nie kazała mi wziąć na siebie i podejrzenie i odpowiedzialność za smierć nieboszczyka! Pogrześć umarłego, rzekłem sobie, jest to obowiązek chrześciański i chętnie go spełnię; — jeżeli zaś z tego powodu narażę się na jakiekolwiek niebezpieczeństwo, to mając czyste sumianie miło mi będzie przenieść wszystko dla Panny Ewy. Umówiłem się z nią, jakim sposobem wykonać to czego odemnie wymagała, i przy tej okoliczności musiałem znów podziwiać zimną jej rozwagę i przebiegłość umysłu; — ja, co miałem zupełnie spokojne sumienie, próżno usiłowałem wynaleść stosowne środki do uskutecznienia jej prośby, a ona, co zdaje się powinna była być nadzwyczajnie zmieszana i roztargniona, sama obmyśliła wszystko, sama mnie nauczyła jak mam postąpić i ułożyła wszystko takim sposobem, że ani na nią ani na mnie niemogło paść żadne podejrzenie.

Przyszedłszy do domu, przesiedziałem połowę nocy bezsennie w mojej izdebce, potém ostrożnie wylazłem przez okno. Na nieszczęście xiężyc świecił. Jak zbrodniarz musiałem się tajemnie przemykać żeby mnie który ze stróżów nocnych nie dostrzegł i tak nareszcie przybyłem do bramy dworskiego ogrodu. Tam trzy razy zahuczałem głosem puszczyka ostrzegając tym sygnałem że się już znajduję na umówionym stanowisku.

Panna Ewa jeszcze z wieczora niby spacerując po ogrodzie, przeciągnęła nóżką swoją po ziemi sznur od szklan-

nych drzwi swego pokoju do wrót ogrodu przy których stałem. Usłyszawszy mój sygnał wydobyła trupa z ukrycia, przywiązała mu koniec sznurka do nóg i targnęła mocno dając mi tém znać że już zrobiła swoje, i że mogę zacząć działać. Służąca panny Ewy spała jak kamień i ani wyciągnienia trupa z kryjówki ani otworzenia szklannych drzwi słyszyć niemogła, gdyż jej pani już wtedy znała się z aptekarstwem i przed snem dała jej w napoju opium.

Wiedziałem że od szklannych drzwi do ogrodu było siedm stopni schodów i pomyślawszy że skoro pociągnę za sznur trup będzie głową uderzać o stopnie, nagle uczułem w sobie taką zgrozę do tego barbarzyństwa, że niemogłem się na nie odważyć. Taki mi się żal zrobił nieboszczyka, taka mnie z tego powodu opanowała trwoga, że już gotów byłem uciec ze swego stanowiska. Wszakże gwałtowne targania panny Ewy za sznur dając mi do zrozumienia w jakiej się znajdowała niespokojności, i przywoławszy mi na pamięć przysięgę, zniewoliły mnie do dokonania zaczętego dzieła. Pociągnąłem za sznur — w milczeniu nocnym, uwaga moja tak była natężona że słyszałem wszystkie 7 uderzeń głowy nieboszczyka o schody i czułem jak ciągniony po ogrodzie zaczepiał się między krzakami i drzewami. Nimem go przyciągnął do wrót wycierpiałem najstraszliwszą męczarnią. . . . .

Hrabia i Ludwik przysłuchując się opowiadaniu Łaszcza pobledli od oburzenia. Hrabina ciągle zwinięta w kłębek na ottomance, osłoniona szalem zaczęła drżeć całym ciałem i jęczeć głucho jak gdyby ją szarpano rozpalonemi kleszczami.

— Nie będę panom wyłuszczał dalszych szczegółów tej nocnej wyprawy — mówił dalej Łaszcz, gdyż na jedno jej wspomnienie dotąd włosy podnoszą mi się na głowie. Wziąłem trupa na barki, poniosłem do bliskiego lasu, pogrzebłem i pomodliwszy się na mogile, ostrożnie wróciłem do domu. Ale uważam żem dotąd niepowiedział panom ani imienia ani nazwiska nieboszczyka. Zrobiłem to dla tego żebyś mi nieprzerwał opowiadania mój drogi Ludwiku. Teraz mogę ci wszystko wyjawić. Módl się za duszę nieszczęśliwego Walerego Prądnickiego, którego zniknienie było dotąd dla ciebie tajemnicą.

— Brat mój! krzyknął Rawicz z boleścią — O mój Boże! i ja tę kobietę kochałem!... Smutek jego był tak głęboki że nawet Hrabia, co dotąd siedział zachmurzony i milczący zwrócił się do niego i rzekł z widocznym wzruszeniem — pomimo mojego położenia żałuję pana.

Stanisław mówił dalej.

— Nazajutrz byłem we dworze. Pod pozorem czytania panna Ewa znalazła znów zręczność widzenia się zemną w dalekim pokoju. W prawdzie wynurzyła mi najszczersze dzięki za okazaną jej przysługę, jednak zmiana obejścia się jej zemną była za nadto widoczna żebym się na niej nie poznał. Zaczęliśmy czytać romans. Panna Ewa usiłując zniszczyć to przykre wrażenie które wyczytała w mojej twarzy, jęła mnie namawiać do wojska i tak dalece rozpłomieniła moję wyobraźnią że byłem pewny, iż skoro zostanę oficerem, niebawem odda mi swoją rękę. Zaręczyła mi, że do tego czasu za mąż niepójdzie, i ściśnieniem ręki dała poznać że

ucieczka moja z domu będzie zadatkiem szczęścia dwóch osób. Wpojone mi z dzieciństwa posłuszeństwo woli rodzicielskiej i baczna troskliwość matki która każdy krok mój śledziła, wreszcie bojaźń kary Bożej wstrzymały mnie od porzucenia domu rodzicielskiego. Panna Ewa, wyrzucała mi lękliwość charakteru i widocznie pokazywała mi swoje nieukontentowanie. Niedomyślałem się że jej potrzeba było pozbyć się człowieka co za wiele o niej wiedział — i przypisywałem jej natarczywość zupełnie innym pobudkom.

Pewną razą, wracając z polowania, spotkałem dwóch kolegów szkolnych, którzy pragnąc przyjąć udział w wojnie przeciw austryakom, uciekli od rodziców żeby się zaciągnąć do wojska. Niemając śmiałości prosić ich do naszego domu, wszedłem z nimi do karczmy żeby pogawędzić. Przyjaciele moi wypili kilka kieliszeków wódki — ja nie piłem, ale rozweselony ich rozmową, odezwałem się żartem do kuchty dworskiego który był właśnie w karczmie, czyby niemógł przynieść od panny Ewy butelkę wina, którą bym pożegnał przyjaciół? Kuchta po niejakim czasie wrócił nazad z butelką.

Niemając najmniejszego podejrzenia wypiłem jeden kieliszek, resztę wysączyli koledzy. Teraz domyślam się że wino było zaprawione znaczną dozą opium, bo towarzysze moi za kilka chwil usnęli kamiennym snem a ja wpadłem w jakieś gorączkowe marzenie wśród którego usiłowałem podnieść się z miejsca i wrócić do domu, lecz niemogłem. Zresztą miałem pewną przytomność.

Po niejakim czasie zrobiło mi się strasznie gorąco, dym

gęsty dusił mnie, z drugiej izby rozlegały się rozpaczające krzyki i jęki familii żyda arendarza. Przytomność wróciła mi zupełnie; spostrzegłem że karczma się pali. Otoczony już płomieniami, słysząc tuż obok siebie krzyki boleści mych towarzyszów na pół już spalonych, zostałem nagle przywalony gorejącą belką co się od pułapu oderwała. Ból był tak gwałtowny że zapomniawszy o drugich rzuciłem się z rospaczą do okna i szczęśliwie zdołałem jeszcze przez nie na dwór wyskoczyć. Tam odbiegłszy na kilka kroków spójrzałem na pożar. Boże litościwy! z mieszkania arendarza, z czeladnej izby, ze stajni, zewsząd rozlegały się najokropniejsze jęki, widziałem jak żyd rwał sobie włosy krzycząc że jedno dziecko mu się spaliło, a sam byłem tak opalony i potłuczony żem upadł na ziemię i płakałem z bolu i żałości. W tém, namacałem przy sobie jakąś rzecz gładką i miękką — wziąłem ją machinalnie w rękę i rospatrzywszy przy świetle pożaru, spostrzegłem że to była rękawiczka panny Ewy! Coby ta rękawiczka tu robiła? pomyślałem sobie uderzony tą osobliwością, póki bowiem karczma exystowała, nigdy panna Łabzowska nieodważyła się zwrócić ku niej swoją przechadzkę. Przeciwnie wszystkim było wiadomo że chociaż gościniec przechodził o jakich 50 kroków od karczmy przecie panna Ewa utrzymywała iż dobrze wychowanemu podróżnemu trzeba nos dobrze zatknąć żeby zapachu wódki niepoczuł. Co ta rękawiczka może znaczyć tak blisko od karczmy? pytałem siebie nieustannie i niemogłem z pewnością rozstrzygnąć tej zagadki. Teraz, wszystko mi się wyjaśniło. Panna Łobzowska pragnąc się

mnie pozbyć, przysłała mi wino z opium, a potem sama karczmę podpaliła. Czy wierzycie państwo temu?

Nikt nieodważył się zaprzeczyć.

— Powieść moja zbliża się do końca. Właśnie kiedym rozmyślał nad tą zagadką, oddział austryaków przechodził po gościńcu rejterując się od Torunia. Oficer spostrzegłszy mnie, zbliżył się z kilkoma ludźmi, pomyślał, uderzył się w czoło i rzekł — *Ej der Tausend! das Regiment wird doch keinen soldaten verlieren!* Chodziło mu o to że właśnie co padł żołnierz uderzony apoplexią, i zamiast nieść z sobą trupa, postanowił zabrać lepiej żywego człowieka. Kazał więc umarłego położyć na moim miejscu, a mnie zatkano gębę i wzięto pod bagnety. Z tym oddziałem przybyłem aż do Wiednia. Po zawarciu pokoju stawiłem się przed pierwszym francuzkim jenerałem i prosiłem o służbę w Hiszpanii, co natychmiast zostało spełnioném.

Teraz spytajcie państwo Hrabiny czy może mi w czémkolwiek fałsz zadać?

Hrabia i Rawicz milczeli. Ewa zostawała ciągle w jednym położeniu, skurczona, zwinięta w kłębek z głową osłoniętą szalem, z pod którego słychać było głuche chrypienie, jakby mimowolna oznaka wielkiego bolu który usiłowała w sobie potłumić. Cała jej postać drzała pod odzieniem od konwulsyjnych wzruszeń.

Po kilku chwilach nieprzerwanej ciszy Hrabia zbliżył się do niej i bez wszelkiego oporu odsłonił szal z głowy. Hrabina miała oczy zawrócone, smiertelna bladość powlekła jej lica, w ręku trzymała jakiś próżny flakonik.

— Otruła się! zawołał strwożony.

Te słowa zdawało się wróciły jej na moment przytomność, wzrok jej rozjaśnił się, spójrzała na męża i dwóch młodzieńców i słabym głosem rzekła — przebaczcie mi! — modlcie się za mnie!

Stanisław pierwszy padł na kolana.

Hrabia westchnął i obracając się do Rawicza i Łaszcza, zawołał — Panowie! śmierć kończy na ziemi wszystkie rachunki. Niesądzę iżby honor lub opinja świata zmuszały mnie w obec martwych zwłok mojej żony posiągać na wasze życie. Podajcie mi dłonie i jeśli cięży na was jaka wina w tej sprawie, niechaj Bóg wymierzy sprawiedliwość w przygodach kampanii na którą niezwłocznie macie wyruszyć.

XX.

ZAKOŃCZENIE.

Po tej katastrofie którąśmy opisali w poprzedzającym roździale wypadałoby nam zwyczajem dawnych powieścio-pisarzy, tylko podziękować tym czytelnikom co opowiadanie nasze doczytali do końca, a innych jak najgrzeczniej przeprosić, wszakże pragnąc powieść doprowadzić do ostatecznego kresu dodamy jeszcze słów kilka. Zkąd inąd jest to nawet chwalebna ostrożność którą przy tej okazii zalecamy naszym towarzyszom w rzemieśle pisarskim. Ciekawość nawet w błahych rzeczach, bywa dla pewnej klassy czytelników niekiedy tak uciążliwą iż nieznajdując w xiążce dokładnej wiadomości o wszystkich osobach które w niej spotkali, gotowi autora listownie o to zapytać. Oczewiście, lepiej zawczasu tę ciekawość zaspokoić.

Sąd Wojenny bez najmniejszej zwłoki rozstrzygnął los Notkiewicza i Kuby. Obydwa zostali wskazani na szubienicę. Wprawdzie władza cywilna dowiedziawszy się ze śledztwa o udziale ich w morderstwie dopełnionem w Kut-

nie, reklamowała winowajców, lecz Generał Gros - Boeuf bardzo krotochwilnie odmówił wszelkiej zwłoki.

— Moi Panowie! rzekł do tych którzy mu jej konieczność przedstawiali, — powiem wam jakim sposobem pewien Król Francuzki, podobno Dagobert czy Karol Wielki, ale mniejsza o to który z Kapetów — rozstrzygnął podobną kwestją. Przy wjeździe jego do jakiegoś miasta, Burmistrz z ławnikami spotkał go u bramy i usprawiedliwiając się z tego że na wałach miejskich nie strzelają z armat, rzekł— Najjaśniejszy Panie! stało się to dla 125 przyczyn. Naprżód w mieście niema ani krzty prochu. . . . . . Dosyć! dosyć! zawołał Król — uwalniam WPana od 124 zostających przyczyn. Otoż i ja wam powiadam; — jestem pewny że ci dwaj łotry zasługują na powieszenie dla 125 przyczyn, lecz dość mi pierwszej, to jest tego, że ich pojmano na fałszowaniu francuzkiej monety.

Co powiedziawszy, zamknął deputowanym trybunalskim drzwi przed samym nosem, a Notkiewicza i Kubę w pół godziny potem powieszono.

Stanisław i Ludwik, przebywszy wszystkie koleje nieszczęśliwej wojny 1812 roku i ocalawszy w następnych kampanjach dopiero w 1815 roku, powrócili do kraju. Łaszcz poświęcił się zupełnie na usługi starych swoich rodziców i niemogąc zapomnieć Ewy, został bezżennym. Ludwik wziął dymissyą i z niewypowiedzianą radością stryjostwa poprowadził do ołtarza szczęśliwą Helenę, która czasy wojen i rozłąki przepędziła w nieustannej trwodze o jego życie.

Szlub ich odprawił się w końcu karnawału. Wkrótce potem, kiedy na wielkim tygodniu przed Zmartwychwstanim Pańskim, odwiedzali groby w kościołach, u samego wejścia do Fary jakaś mniszka kwestująca dla klasztoru, spójrzała na Ludwika i zemdlała na miejscu. Rawicz i Helena poznali ją oboje — była to biedna Kasia!

Teatr Warszawski pod dyrekcją Bogusławskiego doszedł był w owym czasie do pewnej wziętości. Szczęśliwa para nieomieszkała odwiedzić scenę narodową i tam znów spotkali dawną znajomą z Kutna; jedna z najlepszych aktorek którą tego wieczora publiczność osypała oklaskami, była ta sama Urszulka co to ją Kassier kiedyś uważał tak akuratnie stosowną dla Ludwika partją.

KONIEC.